ELŻBIETA TURLEJ

F*CK, FAME & GAME

CO FACECI ROBIĄ W SIECI

NIE-FIKCJA

ELŻBIETA TURLEJ

F*CK, FAME & GAME

CO FACECI ROBIĄ W SIECI

Wstęp

Antek ma 18 lat. Nie pamięta, kiedy ostatni raz płakał. Gdy jest mu smutno, odpala internet w smartfonie i ogląda, jak jego idol, youtuber Kaluch, gra w GTA V Prawdziwe Życie. Nie pamięta też, kiedy ostatni raz się nudził. Nie ma na to czasu, bo tuż po lekcjach online wchodzi na platformę Twitch, gdzie może skakać od jednego streamera do kolejnego. Na obskoczenie wszystkich nie starczy dnia, bo na Twitchu swoje życie przed komputerem transmituje prawie dwa miliony nadawców.

– Nigdy nie czuję się samotny. Mam komórkę, komputer stacjonarny i laptop – zapewnia.

– A kiedy ostatni raz byłeś na randce? Na wyjeździe pod namiot z kolegami? Na koncercie? W kinie? – pytam.

– Nigdy – mówi Antek.

– Nie brakuje ci ludzi? – dziwię się.

– A dlaczego miałoby mi ich brakować? – Teraz z kolei dziwi się Antek. – Same z nimi kłopoty. No i rozczarowują. Dziewczyny w internecie są ładniejsze od tych na ulicach. I milsze, bo kiedy zaczynam oglądać ich profile na Instagramie, one odwdzięczają się tym samym. Na co dzień nie czuję się zauważany.

– Może dlatego, że cały czas spędzasz pochylony nad telefonem? – pytam.

– A gdzie mam patrzeć? – odpowiada Antek. – Wystarczy, że człowiek podniesie głowę, to zaraz dostanie po łbie, że się gapi, bo pewnie czegoś chce, coś mu nie pasuje albo szuka zwady. A ja nie szukam zwady, chcę tylko spokoju.

Spokój to dla Antka stały dostęp do internetu, regularne spotkania z ojcem i zmiana ustroju Polski na monarchię konstytucyjną. Nowa, lepsza Polska przypominałaby Księstwo Liechtensteinu. Raj podatkowy, w którym każdy ziomek ma kasę i pewność, że nie musi się martwić o kolejny rząd, bo przecież władza przechodzi z księcia ojca na księcia syna.

– Dziękuję Bogu za Facebooka – mówi Antek. – Dzięki niemu trafiłem na strony Janusza Korwin-Mikkego, przede wszystkim na Koalicję Odnowy Rzeczypospolitej Wolność i Nadzieja. W skrócie KORWiN. Kiedy wchodzę na sociale koalicji, widzę, że jest nadzieja na spełnienie moich marzeń dotyczących zmiany ustroju. Ale nie tylko moich, bo na samym Facebooku jest nas kilkaset tysięcy!

Marzenia dotyczące częstych spotkań z ojcem są trudniejsze do realizacji. Po rozwodzie rodziców dziewięcioletni wówczas Antek zamieszkał z mamą i jej nowym mężem. Ojciec wyprowadził się kilka ulic dalej, gdzie stworzył nową rodzinę z rozwódką z małym dzieckiem. We własnym domu Antek – jak mówi – szybko poszedł w odstawkę, bo mama zaszła w ciążę, a potem na kilka lat skupiła się na wychowaniu córeczki. W drugim domu nie był mile widziany przez nową partnerkę taty. Z ojcem spotykał się więc w weekendy w parku albo chodzili razem do kościoła w centrum miasteczka. Antek lubił, jak je nazywa, wspólne wypady do Bozi. Niestety, kiedy miał 15 lat, ojciec przeszedł na protestantyzm i zaczął jeździć do kościoła w innym mieście. Antek źle się tam czuł. Wbił sobie do głowy, że przez ojca zdradził Bozię i dlatego nie dostał się do wymarzonego liceum. I nie da sobie wmówić, że zawinił efekt reformy szkolnictwa, czyli kumulacja roczników, przez którą starczyło dla niego miejsca tylko w jednym z kilku liceów mundurowych w mieście. Już się pogodził, że niewiele od niego zależy, a Rzeczpospolita Polska chłopakom podcina skrzydła. Chciał

być humanistą. Chciał dyskutować o życiu. Uczy się w klasie o profilu strażackim.

Każdy dzień zaczyna musztrą. Jest karny, ale nie wierzy, że kiedyś uda mu się dostać do gwarantującej stałą pracę służby mundurowej. Zna statystyki: z kilkuset uczniów do straży zawodowej dostało się dwóch.

– Na co w życiu mam wpływ? – zastanawia się głośno Antek. – Na wiarę w Boga, telefon do taty i wybór strony w internecie. I dziwi się pani, że nie podnoszę głowy znad komórki?

Przyznaję, że na początku zbierania materiałów do tej książki dziwiłam się, że mężczyźni urodzeni po 1989 roku uciekają przed życiem do internetu. Wydawało mi się, że powinni garściami korzystać z wolności, którą wyszarpnęło dla nich moje pokolenie. Wierzyłam, że są nam wdzięczni za szeroki wachlarz uczelni i kierunków studiów, wybór wakacyjnych destynacji, możliwość legalnego zarabiania w Europie. Słowem: za wolność wyboru.

Niestety, z każdą rozmową moja wiara słabła. Okazywało się, że przeciętny współczesny młody facet najlepiej umie wybierać szybkość internetu, nowy model iPhone’a i kilka ulubionych stron www. I to nie dotyczy tylko najmłodszych, takich jak Antek. Wolność wyboru spośród wielu modeli życia jest największym problemem dla dwudziestoparolatków. Oczekują jasnych zasad i jednego kierunku rozwoju. No i jasnej definicji tego, co to znaczy być facetem i czego oczekują kobiety. To wychodziło na jaw, kiedy pytałam: Kiedy po raz pierwszy poczułeś się mężczyzną? Najczęściej słyszałam: „Jeszcze nie czuję się mężczyzną”; „Jestem chłopcem, który lubi grać w gry komputerowe”; „Po raz pierwszy poczułem się facetem, kiedy przeleciałem laskę z Tindera”; „Prawdziwy mężczyzna nie płacze. Poczułem się prawdziwy, kiedy nie płakałem na pogrzebie ojca”; „Jestem prawdziwy, odkąd pozbyłem się brzucha, nabrałem mięśni i przestałem wierzyć,

że dziewczyny z Instagramu są prawdziwe. Co nie przeszkadza mi przy nich walić konia”. Wszyscy moi rozmówcy, łącznie z osiemnastoletnim Antkiem, przyznawali się do masturbacji przy internetowych stronach porno. Codziennie. Niektórzy z dumą opowiadali o kilkugodzinnych maratonach masturbacji, podczas których byli w stanie opóźniać albo przyspieszać wytrysk. „Z żywą kobietą tego nie da się zrobić” – mówili. „Nie da się przecież człowieka przyspieszyć albo zwolnić. A film, tak”.

Inni byli dumni ze swoich podbojów w realnym życiu. Kobiety traktowali jako trofea. Chwalili się nimi w social mediach, zestawiając je z nowymi butami i torbami Louis Vuitton.

Jeszcze inni zwierzali się ze swoich lęków dotyczących kobiet: „Nie rozumiem, o co im chodzi. Chcę być ich rycerzem, żołnierzem, bodyguardem, walczyć o nie, chronić je. Chcę, żeby były moimi księżniczkami, ale one wolą się umawiać z chłopaczkami w rurkach”.

Kolejni opowiadali, jak nienawidzą rówieśniczek. Oskarżali je o interesowność, brak serca. Zdarzali się i tacy, którzy byli przekonani, że młode Polki opętał szatan. Albo złapał je zachodnioeuropejski wirus lewactwa, czyli biorą pieniądze z Niemiec, żeby demoralizować dzieci i niewinne dziewczęta. Wszyscy, którzy narzekali na dziewczyny w realu, intensywnie poszukiwali ich w internecie.

Jeśli udało im się spotkać z dziewczynami na żywo, nie umieli z nimi rozmawiać, a realny seks opisywali jako rozczarowujący. Większość wracała więc do poszukiwań w internecie, coraz bardziej zawiedziona, że prawdziwe kobiety nie przypominają gwiazd porno. Obarczali więc te realne dziewczyny odpowiedzialnością za brak wzwodu, bo to przecież z nimi coś musi być nie tak, skoro na pierwszej randce nie chcą uprawiać seksu analnego albo nie zgadzają się na podduszanie. Część z nich grzęzła na lata na stronach porno i w aplikacjach randkowych.

Początkowo wydawało mi się, że mam niezwykłe szczęście do rozmów z mężczyznami, którzy wychowywali się bez ojców. Szybko jednak okazało się, że to jedno z doświadczeń chłopaków urodzonych po 1989 roku. Ich ojcowie wyjeżdżali zarabiać w otwartych dla Polski krajach ue i zjeżdżali do domu raz na miesiąc. Albo byli obecni w domach ciałem, ale duchem niekoniecznie. Przerosła ich wolność, której wcześniej tak zazdrościli Holendrom, Szwedom czy Duńczykom. Jedną nogą utkwili oni w prl-u, nie umieli się przestawić na tu i teraz. Pili alkohol, nadużywali narkotyków, które długo można było kupić w sklepach z dopalaczami.

– Gdyby nie internet, poszedłbym na pętlę – powiedział mi jeden z dwudziestoośmiolatków. Weekendowy raper, w tygodniu budowlaniec. – Powiesiłbym się jak ojciec, którego przygniótł kredyt we frankach. W internecie spotkałem swoją ekipę, takich jak ja chłopaków z problemami. Gadaliśmy na forach, wymienialiśmy się bitami. Człowiek był w kupie, nie wychodząc z domu.

Jednak to, co w rozmowach z chłopakami mnie najbardziej zasmuciło, to ich brak wiary w możliwość bycia szczęśliwymi. Szczęście rezerwowali dla innych, bogatszych, z większych miast, metropolii, krajów. To im należało się szczęście, czyli dostęp do kobiet i pieniędzy, potrzebnych do tego, aby je przyciągnąć i utrzymać.

„Jedyna nadzieja w zmianie ustroju i odsunięciu PiS-u od władzy” – powtarzali jak Antek. „Uratuje nas uwolnienie podatków, powszechny dostęp do broni, zamknięcie granic dla imigrantów. Polska ma być dla Polaków, a nie obcych. Wtedy przeciętny Polak dostanie szansę, żeby stać się prawdziwym facetem”.

Na razie jednak prawdziwi mogą być inni.

Zabieram cię w podróż po świecie młodych Polaków. Do czytania poszczególnych części książki będziesz mógł wrzucić kawałek, którego słu-

chają albo z którym utożsamiają się moi rozmówcy, znajdujący się na początku każdego rozdziału. W opracowaniu tej listy pomógł mi Marcin Flint, najlepszy w Polsce znawca współczesnego polskiego młodego rapu. Wszystkie teksty obcojęzycznych piosenek tłumaczyłam sama, korzystając między innymi z tłumacza Google, ale z paroma pomógł mi dwudziestoletni Andrzej Znidericz – Anglik urodzony w Polsce, syn nauczycieli angielskiego i tłumaczy, Sally i Marka.

Pojawiające się w nich słownictwo albo poglądy mogą wydać się szokujące. Pamiętaj, pokazuję ci świat, w którym rośnie kolejne pokolenie chłopców.

Na wszelki wypadek trawestuję ostrzeżenie pojawiające się przed każdym odcinkiem *Warsaw Shore – Ekipa z Warszawy*, reality show emitowanego na antenie mtv Polska, które wydało na świat potężnych „włodarzy” polskiego internetu.

Ostrzegam więc: ta książka zawiera treści nieodpowiednie dla czytelników niepełnoletnich oraz poglądy, które mogą urazić niektórych dorosłych. Czytacie na własną odpowiedzialność.

CZĘŚĆ PIERWSZA
DOM

Gdzie byliście, kurwy, jak nie miałem grosza, a za dwa dni chuj wyłączy prąd?
Gdy zdychałem trzeci dzień po prochach i tak bardzo chciałem już, by skończyć to
Kiedy byłem metr od Boga, wystarczyło wejść po schodach, ale brakło sił
Lub odwagi, żeby przeholować, więc się pierdol, o nas, kurwa, nie wiesz nic
Gnoje chcą mnie uczyć życia, bo się któryś skirał trochę mocniej i ma dół
Gnoje chcą mnie uczyć pisać, czaisz, bo podobno teraz to niewypał już
Pojebaniec, który szedł po linach, jeśli stałbyś obok, tobyś nie powstrzymał
Zamieniłem chyba z każdym słowo, jeśli stałbyś obok, tobyś się porzygał
Byłem na dnie schlany, zaszczany i z nadzieją, że się nie obudzę
Matka mówi: „Jesteś jak stary", a obiecywałem, że się nie pogubię
Widziałem piekło, chwilę byłem tam, dziś mam wysrane na cokolwiek, czaisz?
A ty chcesz mi mówić, czym jest rap… czy Ty jesteś pojebany?

BonSoul (BonSon x Soulpete), *Lepiej nie pytać*

(ponad 3 miliony wyświetleń na YouTubie)

Prorodzinni, patostreamerzy i juhasy z Londynu

– Co to jest dom? – pytam osiemnastoletniego Antka, którego największymi marzeniami są spotkania z ojcem i zmiana ustroju Polski na monarchię konstytucyjną.

– Dom to willa. Miejsce, w którym mieszka Ekipa, czyli kolaboracja kilku popularnych youtuberów – odpowiada Antek. – Razem tworzą *daily*, czyli codziennie wrzucają filmiki ze swojego życia. Wille wynajmują im agencje, które zapewniają członkom ekip najlepsze kontrakty z reklamodawcami. W domach mieszkają też managerowie.

– Jaką rolę odgrywają managerowie? – dopytuję.

– Ojców youtuberów, chociaż są niewiele starsi i biorą za opiekę pieniądze – odpowiada Antek. I dodaje: – Czasem, kiedy tata nie odbiera telefonu albo nie ma go na Skypie, wchodzę na *daily*. Wyobrażam sobie, że jestem członkiem Ekipy i mam swojego managera. Kilka razy wziąłem udział w internetowym konkursie na wejście do willi, ale nigdy nie udało mi się zebrać dostatecznej liczby punktów.

Wykorzystałam przywilej, jaki daje legitymacja dziennikarska. Zwiedziłam – w imieniu Antka i milionów chłopaków czekających na codzienną porcję filmów na YouTubie – kilka willi ekip. W internecie pełne życia, w realu wyglądały na opuszczone.

W przedpokojach leżały buty. Z rozwiązanymi sznurówkami, porzucone w pośpiechu, w różnych rozmiarach i fasonach. Mogły pasować do wszystkich i do nikogo.

Garnki stojące na blatach kuchennych wysp sprawiały wrażenie nieużywanych. Lśniły, ale tylko po to, żeby się w nich przeglądać. Naczynia po-

układane kolorystycznie zachęcały nie do nakładania potraw, tylko do robienia zdjęć.

Nieomal wszędzie pachniało świeżym tynkiem, cytrynowym odświeżaczem powietrza i karmą dla psów, które – małe, chude, nieufne – nerwowo obwąchiwały obcych.

Swoi – jakby obudzeni nagłym ruchem przy drzwiach – nawoływali z oddali:

– Idziesz do Żabki?

– Kup mi parówki i colę light!

– Mleko, mleko dla mnie!

Szłam za tym nawoływaniem i docierałam do centrów życia willi. Salonów. W zależności od internetowego stażu ekip – mniejszych lub większych. Z wyjściem na taras albo połączonych z kuchnią. Czasem niskich, czasem z wysokim sufitem, ze szklanymi albo drewnianymi spiralami schodów prowadzących do sypialni.

Obowiązkowo jednak z długim stołem konferencyjnym o najmodniejszym, nowoczesnym designie i rustykalnym charakterze (korespondującym na przykład z meblami z serii Nomad). Nad stołem zazwyczaj dyndał wielki kryształowy żyrandol, a na utrudzonych czekały kanapy ustawione w literę l.

Mieszkańcy willi – piątek, świątek czy niedziela – wyglądali na utrudzonych. Pochylali się nad stertami papierów, przyglądali plątaninom linii i cyfr znajdujących się na tablicy ścieralnej albo zwisających z trójnogów arkuszach papieru.

Przypominali ekipę zarządzającą przedsiębiorstwem, które szykuje się do wypuszczenia na rynek nowej linii produktów. Gdy podchodziłam bliżej, okazywało się, że opracowują kolejny pomysł na film. Zazwyczaj coś chwytliwego, w stylu: spędziliśmy noc w parku trampolin, polowaliśmy

w Biedrze na świeżaki, pływaliśmy na flamingu, jedliśmy tylko czerwone produkty, na jeden dzień zamieniliśmy się dziewczynami.

Byli utrudzeni tak bardzo, że nie mieli siły podnieść głów znad stołów i telefonów. Ożywiali się dopiero na widok wycelowanego w ich stronę iPhone'a.

Nieliczni i dopiero po długich negocjacjach zapraszali do swoich pokoi, w których na próżno szukałam książek, roślin w glinianych donicach, ulubionych, wyszczerbionych kubków, oprawionych w ramki zdjęć narzeczonych, dziadków, babć, rodziców.

W pokoju Mini Majka (prawie dwa miliony śledzących na Insta), członka ekipy Friza (niemal trzy miliony followersów), jedynym osobistym przedmiotem była jego srebrna kurtka. Wisiała na fotelu gamingowym i niepokojąco połyskiwała na tle błękitu i marynarskich elementów wystroju. Poprzedni mieszkaniec pokoju musiał być dzieckiem.

Mini Majk, mężczyzna wzrostu pięciolatka, bez problemu wpasował się w jego terytorium, ale nie miał wiele do powiedzenia na temat domu. Przez 25 lat zwiedził ich kilka, w niewielu został na dłużej. Przez trzy lata mieszkał w domu rodzinnym, potem – po śmierci rodziców – w domu dziecka, wreszcie zostały mu już tylko „tymczasy": lokal małżonków, którzy przez kilka lat zapraszali go na święta, i wynajmowane mieszkania.

– Domy jak domy. Ludzie jak ludzie – powiedział mi Mini Majk, który choć cierpi na karłowatość, nauczył się patrzeć na innych z góry. Zanim został youtuberem i influencerem, pracował jako barman. Siedząc na wysokim barze, wlewał gościom – jak mówi – alkohol „wprost do dzioba". Każdy chciał się napić z mężczyzną wzrostu dziecka. Szczególnie tam, gdzie właśnie powstawały przykładne, polskie rodziny: na wieczorach panieńskich, kawalerskich, poprawinach, pępkowych.

Jeździł też po klubach w całej Polsce. Początkowo mijał się w drzwiach z telewizyjnymi celebrytami. Szybko jednak i on, i oni zaczęli przegrywać z cybermanami – youtuberami i influencerami z Insta. Właściciele dyskotek i barów chętniej wybierali ich jako przynętę dla gości.

Pomyślał: dobrze, gdyby i jego przygarnął internet. Dzięki niemu złapałby stały grunt. Poczuł się kochany. I chciany. Jego tęsknotę, ale też przydatność, wyczuł Friz, youtuber, który wybił się na grze w Pokemon Go i właśnie wprowadzał spółkę Ekipa na giełdę. Zaprosił go na swój kanał *family friendly*, czyli produkujący treści przyjazne rodzinie. Z sukcesem, bo Mini Majk aka Mały M aka Majkel samym swym pojawieniem się robił content.

Inne ekipy szybko wyczuły clickbait i zaczęły szukać podobnych Mini Majkowi, chorych na karłowatość. Za późno, bo Ekipa Friza, również dzięki Majkelowi, szybko przejęła YouTube. I do dziś jest jak w ich piosence (60 milionów wyświetleń): „Robimy, co chcemy, a wy macie ból dupy / Żyjemy dla jajec i ciągłej boruty / wip Bros Ekipa, bujasz się do tej nuty”.

Inni twórcy internetowych treści – jak Team x, który właśnie wystartował w nowej odsłonie i z nową ekipą – o takiej liczbie wyświetleń mogą tylko marzyć.

Marcin Dubiel, były uczestnik Team x, obserwowany na Insta przez ponad dwa miliony osób, o domu wie więcej niż Mini Majk. Urodził się i do 19. roku życia mieszkał w Jaworznie, gdzie jego dziadek był górnikiem. Nie wie jednak, czy dołowym. I czy pracował w słynnej, działającej od 1920 roku, kopalni węgla kamiennego Jan Kanty, która zmieniała nazwy na Dachs (w czasie okupacji niemieckiej), Jaworzno (w początkach prl-u), Komuna Paryska (od 1953 do 1989), aby tuż przed zamknięciem w 2000 roku wrócić do starego miana.

Więcej może opowiedzieć o ojcu, który jako pierwszy w rodzinie skończył prawo i został prokuratorem w katowickiej prokuraturze apelacyjnej. I o mamie, która po rozwodzie z ojcem założyła nową rodzinę, dzięki której Marcin zyskał dwu młodszych braci i siostrę.

Najstarszy z braci ma 11 lat. Od wyprowadzki Marcina częściej patrzy na niego i słyszy jego głos przez szkiełko smartfona. Bywały lata, kiedy na żywo widział go rozpaczającego, że wkłada w budowę social mediów całe serce, a zamiast ludzkiej miłości dostaje hejt. Ale też kolejnych obserwujących, którzy przyrastali wprost proporcjonalnie do rozpaczy Marcina.

Weźmy taki przykład: Dubiel jedzie do Kenii, żeby pomagać siostrze zakonnej, Alicji, budować ośrodek dla osób z niepełnosprawnościami. Codziennie dodaje relacje na InstaStories, mówi, że przytłacza go ludzka bieda i bezradność. Głównie dzieci – porzuconych, zapomnianych, cierpiących. Robi coś konkretnego (przytula, bierze na ręce, karmi, głaszcze, bawi się, wreszcie jedno z dzieci adoptuje i finansuje na odległość), ale też ulotnego (jak zdjęcia czy filmiki). Wszystko po to, żeby miliony internetowych podglądaczy dały od siebie coś realnego (na przykład datek na rzecz ośrodka siostry Alicji). Mimo to w Polsce zostaje ochrzczony rasistą. Wszystko dlatego, że na jednym z InstaStories zaśmiał się, kiedy kolega powiedział o kenijskim dziecku „skośny murzyn”. Przeciętny klikacz po wyśmianiu czyjegoś koloru skóry musiałby zmienić nick i content. Cyberman „Marcin Dubiel – rasista” zyskał kolejne setki obserwujących. Cyberman „Marcin Dubiel – samotny” po rozstaniu z dziewczyną i kumplami z pierwszego Teamu x (zjednoczeni herosi polskiego YouTube’a: Burton, Blonsky, Chaplin, Kostera zostali wymienieni na innych, młodszych youtuberów) dostał dodatkowe tysiące subów.

– Jesteś pionierem na nowym lądzie – mówię, jakbym wiedziała więcej, a przecież samą mnie to dziwi. – Wyrwałeś się, tak jak twój ojciec, z utar-

tego szlaku. Ale ty masz trudniej. Musisz sam dojść do tego, co nasze pokolenie mogło podpatrzeć u swoich rodziców. U nas i u nich wyznacznikami wyższego statusu społecznego były dyplom wyższej uczelni i paszport. Dla was to tylko papiery. O statusie świadczą suby.

A skąd niezrozumiały dla Marcina fenomen przyrostu po hejcie? Odpowiedź jest prosta i stara jak świat. Tym z większą liczbą subów można życzyć więcej złego. Do tych z większą liczbą subów fajnie zaglądać, żeby sprawdzić, czy już im się noga powinęła.

Niestety, nie miałam szansy zajrzeć do pokoju Marcina Dubiela w nowej grupie youtuberów i nowym apartamencie wynajętym na warszawskim osiedlu Wilanów. Jednak kuchnia – połączona z minisalonem i prowadząca na taras pokryty sztuczną trawą – wskazywała na niewielki, ale rokujący potencjał rozwoju projektu. Reszta była jak u tych zasiedziałych: pokreślony i zwisający z trójnoga rulon papieru, wszechobecne laptopy, smartfony i pośpiech. Na szczęście zdążyliśmy, siedząc przy niewielkim stoliku i pijąc zieloną herbatę, porozmawiać o jego psychoterapeutce. Trafił do niej, kiedy to, co w smartfonie, a to, co w życiu, kompletnie się rozjechało. Dzięki niej dokopał się do emocji towarzyszących dzieciństwu, rozwodowi rodziców, opuszczeniu domu, porzuceniu (po trzech miesiącach i ku niezadowoleniu rodziców) studiów dziennikarskich, reakcji ojca na Fame MMA.

Terapię zakończył, ale do terapeutki wrócił niedługo przed decyzją o udziale w Fame MMA. Przygotowała go na trudy rozmowy z ojcem. Bał się, że ten na wieść o walce zerwie z nim kontakt. Nie zerwał, ale dawał mu do zrozumienia, że nie akceptuje jego pomysłu. Mówił, że walka to wyłącznie jego decyzja i – kiedyś – konsekwencje. Przez trzy miesiące przed walką dzwonił do ojca codziennie i zdawał mu relację z treningów. Ojciec nie komentował, nie dopytywał. On mówił o nowym rytmie dnia, ćwicze-

niach, diecie. Ojciec milczał. W dniu walki – przez telefon – poprosił, żeby na siebie uważał.

– Jesteś taki chudzieńki, powinieneś trochę przytyć, bo spodnie spadają ci z tyłka – rzuciłam na pożegnanie. Kiedy opowiedziałam o tym Antkowi, złapał się za głowę. Powiedzieć coś takiego? Cybermanowi? Bohaterowi milionów chłopaków?

Nie potrafił zrozumieć, że w tamtym momencie Marcin Dubiel był dla mnie tylko dwudziestopięciolatkiem, który nie przepuścił mnie w drzwiach. Który po pięciu latach pracy w internecie miał sławę i pieniądze, o jakich ja – dziennikarka z trzydziestoletnim stażem w papierowych mediach – mogę tylko pomarzyć. Albo mogę próbować zagłuszyć żal z powodu znikania mojego świata, oglądając po raz setny *Dzień świra* Marka Koterskiego.

Nie miałam szansy przeprosić, że na zakończenie rozmowy o lajkach jednak go oceniłam. Przepraszam.

Nie miałam też szansy zapytać, czy słyszał o Adasiu Miauczyńskim i jego synu, Sylwusiu. Na szczęście zdążył mi zdradzić, z jaką postacią się utożsamia: – Bardzo utożsamiam się z Justinem Bieberem w piosence pod tytułem *Lonely*.

Teledysk do piosenki Biebera obejrzałam na przystanku autobusowym pod centrum Miasteczka Wilanów, czyli Świątynią Opatrzności. Mijały właśnie dwa miesiące od premiery klipu. Według statystyk YouTube’a byłam 84 868 001 widzem.

Scenariusz teledysku jest prosty. Kilkuletni Justin, siedząc przed lustrem w ogromnej przebieralni, przygotowuje się do wyjścia na scenę. Nad pustą widownią wisi ciężki, kryształowy żyrandol, a małego Justina, który śpiewa „I am so lonely”, słucha jedynie dorosły Justin Bieber.

Słowa piosenki, w wolnym tłumaczeniu, też wydają się proste:

Wyobraź sobie, że wszyscy wiedzą o tobie wszystko
Jakbyś mieszkał w domu ze szkła
Taka jest cena
Sławy i kasy zdobytych zbyt szybko
A teraz wyobraź sobie, że widzą, jak cierpisz
Ale mają to gdzieś
Wolą cię krytykować za to, co robiłeś
Jako głupi dzieciak
Pomyśl – dostajesz to wszystko
I nie masz do kogo zadzwonić
Tak jak ja, który
Mam wszystko, ale nikt mnie nie słucha
W mojej cholernej samotni
Jestem taki samotny
Samotny
Jestem taki samotny
Samotny

– Szklane domy są niepraktyczne. Najlepiej mieszka się w budowanych z cegły i na porządnej podmurówce – powie mi kilka tygodni później dwudziestosiedmioletni Adrian Szeloch ze wsi Parsęcko, czyli patostreamer Mahonek (100 tysięcy obserwujących na Insta i prawie 230 tysięcy subów na YouTubie). Ktoś przylepił mu łatkę patostreamera, ale to kompletnie do niego nie pasuje. Wystarczy porównać Mahonka (ksywka od nazwiska agenta federalnego Alexandra Mahone z pokazywanego kiedyś na Polsacie serialu *Skazany na śmierć*) z Majorem Suchodolskim, Rafatusem albo Danielem Magicalem.

Major Suchodolski, były bezdomny, aktualnie współlokator Krzysztofa Kononowicza (autora hasła wyborczego „Żeby nie było niczego”) na streamach pije alkohol, kłóci się z Kononowiczem i jedząc, mlaszcze. Wszystko na tle krzyża, zdjęcia świętego Jana Pawła II albo obrazka z Matką Boską.

Rafatus, jeszcze zanim wyjechał do pracy za granicę, współżył online ze swoją narzeczoną.

Daniel Magical, trochę z Torunia, ale bardziej z kanału Polska Rodzinka, pił ze swoją matką, Małgorzatą, oraz jej konkubentem. W ramach tak zwanych donejtów, czyli datków od widzów (często połączonych z poleceniem zrobienia czegoś i pokazania live), prowokował ich kłótnie i bitki.

– W porównaniu z nimi uprawiam streamingowy stand-up – mówi Mahonek, a ja się z nim zgadzam. No i znam go, chociaż nigdy się nie spotkaliśmy na żywo. Nieraz w weekend mijaliśmy się na OmeTV reklamowanym jako „najlepszy i najszybszy czat wideo z losowymi osobami”. Akurat do tej apki i portalu bardziej pasowałaby nazwa Czat Ruletka, ale niestety, już została zastrzeżona przez producenta z runetu, czyli rosyjskiej połaci internetu, w której patostreamerzy – jak mawiają rodzimi cybermeni – nie pierdolą się w tańcu. Na przykład taki Stas, youtuber z podmoskiewskiej wioski Iwanowka, za tysiąc dolarów od tajemniczego donatora zamknął swoją dziewczynę Walentynę na balkonie. Polał ją wcześniej wodą. Był mróz. Dziewczyna wytrzymała kwadrans. Potem zmarła. Oczywiście live.

U nas – chyba – jeszcze by to nie przeszło. Na pewno jednak nie u Mahonka, który podobnie jak paru innych streamerów wpada na OmeTV, żeby porobić dymy. Czyli, w dużym skrócie, pokłócić się, pożartować albo napić się czy potańczyć (każdy przed swoim komputerem albo iPhone’em) z przypadkowym rozmówcą. Najchętniej z „zarobkowym”, czyli emigrantem z Polski, który po robocie na budowie czy zmywaku zasiada przed

kompem w Holandii, Niemczech, Belgii, Szwecji czy Wielkiej Brytanii. I żeby nie jeść czy pić samotnie, je i pije z OmeTV.

Przez szkło komputera widać wynajęte domy zarobkowych i ich dzieci, eurosierot, które po latach spędzonych z dziadkami ściągnięte zostały do Londynu albo Berlina. Domy wyglądają podobnie. Biel ścian i szarość frontów mebli z Ikei są przełamywane czerwienią, fioletem i błękitem obić foteli gamingowych. Nad stołami obowiązkowo dyndają tanie podróbki kryształowych żyrandoli. Nie widać książek, zdjęć, pamiątek pierwszej komunii, roślin w glinianych donicach. Wszystko to za ciężkie dla słowiańskich nomadów, którzy co rok straszą albo przyrzekają, że zjadą zrobić porządek w starej, dobrej Polsce, ale jeszcze muszą zarobić u obcego pana na kupno kolejnej działki, rozkręcenie biznesu czy spłatę długu.

W tygodniu, kiedy nie ma zmiłuj, bo jest kolejny *job*, takie życie jeszcze ujdzie. Najgorzej w weekend, kiedy ciągnie na pole, na dwór, na powietrze, za chałupę. Wtedy siadają przed nowoczesnymi mikrofonami do streamingu i krzyczą w dal internetu:

– Skąd jesteś, chłopie?

– Z Piły, teraz Manchester.

– Kiedy się urodziłeś?

– W epoce Dragon Balla.

– Z Polski wyjebałeś do Irlandii czy wyrok cię goni?

– Ty chamie, juhasie z Londka, zamiast z tobą gadać, wolę walić konia przy nastolatkach.

– Ej tam, zluzuj szelki i polej coś sobie, ziomuś. Kapeńkę Smirnoffa albo ciutkę Absolutu. Ja dziś piję jak pan. Zoba, mam Soplicę, Żubrówkę i Krupnik. A ty zazdrosny!

– Pij, ziomal. Popatrzę. Może prawdziwy dom mi się przypomni.

Prawdziwy dom Mahonka w Parsęcku koło Szczecinka jest piętrowy i poniemiecki. Jak większość domów we wsi do 1945 roku nazywającej się Persanzig.

Po 1945 roku do domów, z których musieli odejść Niemcy, weszli Polacy: repatrianci z Wileńszczyzny, Grodzieńszczyzny, byłego województwa lwowskiego, ale też Wołynia. Do nich dołączyli przesiedleńcy z Małopolski i Śląska. Wśród tych ostatnich byli pradziadkowie Mahonka, ale po kilku latach wszyscy przestali mówić o sobie jako o napływowych. Ten ludzki przepływ ze wschodu na zachód miał być dla nich ostatni. Po tym, co przeszli, nikomu nie chciało się tryndać[1] w inne miejsca.

Wracajmy jednak do Adriana Szelocha, czyli Mahonka.

Na dole domu, kiedyś należącego do anonimowych Niemców, a potem PGR-u, dziś mieszkają jego dziadkowie. Na górze mniejszy pokój zajmują mama i tata. Większy należy do Adriana.

Na ścianie pokoju, naprzeciw stołu z komputerem i czarnym fotelem, połyskuje srebrna tapeta z oprawionym w ramkę kolażem zdjęć. Na oknie przysłoniętym firanką stoją kwiaty w doniczkach. Z łóżka, zazwyczaj zasłanego pościelą w czerwone renifery, można sięgnąć po stojące na białym stoliczku z Ikei piwo Perła, wódkę Bocian albo małpeczkę Żołądkowej o smaku mięty. Na bocznej ścianie, obok zamkniętych drzwi na strych, stoi ciężka szafa gdańska z lustrem.

Do tego pokoju zagląda ojciec, nazywany przez followersów Killerem, pracownik fizyczny pobliskiej kopalni surowców mineralnych. W tygodniu robi przy załadunku żwiru, piasku, grysu. W weekendy lubi wyzerować bronxa, czyli wypić piwko. Mama – jeśli akurat nie pracuje za granicą jako opiekunka osób starszych – lubi pokrzyczeć na męża. Czasem z wizytą wpada Gruby, czyli nastoletni brat stryjeczny Mahonka. Co dwa tygodnie przyjeżdża jego dziewczyna, Andżela, albo on jedzie do niej, pod Poznań.

Po piętrach domu gania kundelek Nana. Słowem: żyje się na kupie, na swojej ziemi. Gwarno i fajno. Po bożemu. Mahonek, który przedstawia się jako wieczny chłopiec, internetowy świr, skończył liceum ogólnokształcące w Szczecinku. Myślał o studiowaniu informatyki, ale nie był dostatecznie mocny z matematyki. Wziął więc, co dają, a w liczącym tysiąc dusz Parsęcku można na przykład pracować jako stróż na budowie. Albo zatrudnić się przy produkcji, albo transporcie cmentarnych zniczy. Mahonek pracował i tu, i tu. Na budowie mu się nudziło, więc przyklejając telefon do monitora laptopa, grał w rozmaite gry i pokazywał to na platformie gamingowej Twitch. Siedział w małej, ciasnej stróżówce, grał i gadał. Najpierw do siebie, ale woli do innych. Włączył więc możliwość komentowania na czacie. Nawijał za frajer, ale potem odpalił tak zwane donejty. Niewielkie, tak o, żeby starczyło na kebsa albo bronxa.

– Początkowo łączyłem weekendowe streamingi z pracą – mówi. Lubił pracę przy zniczach. Ekipa była zgrana. Były śmichy-chichy, nawijka o tym, co w domu, co u znajomych. Jak w życiu. Człowiek nie czuł się sam, bo w kupie raźniej. Potem przez pół roku rozwoził znicze do przycmentarnych handlarzy i sklepikarzy. Jeździł z kolegą Tomkiem, który stracił prawko. Nie mógł chłop prowadzić, to chociaż pomagał w rozładunku.

Kiedyś Mahonek podsłuchał, jak Tomek rozmawia przez telefon z ubezpieczycielem. Wykupił polisę na życie. Żartowali potem, że chyba coś planuje, bo młody taki, a już ubezpiecza się na wypadek śmierci. Pół roku później Tomek odzyskał prawko i sam ruszył w trasę ze zniczami. I zginął w wypadku. Ubezpieczyciel wypłacił pieniądze jego żonie i dzieciom. – Czasem myślę, że widzę Tomka na ulicy, ale to nie on, tylko jakiś obcy człowiek boży – mówi Mahonek. – Życie jest krótkie.

Dlatego kiedy co tydzień wychodzi na swój kawałek YouTube’a, cieszy się tym, co dają. A dają dużo. I nie chodzi tylko o pieniądze, choć zdarza

się, że na jednym streamowym stand-upie zarobi nawet kilkanaście tysięcy złotych. Mahonek się nie wstydzi: z komputera, którego jego ojciec nie potrafi włączyć, płynie do niego dużo dobra. Sympatii internautów bożych. A nawet miłości, szczególnie od zarobkowych i ich dzieci, byłych eurosierot, obecnie obywateli UK, Szwecji, Holandii czy Niemiec.

Ale, żeby nie było za słodko, również hejtu.

Dla niektórych jego rodzina jest – jak piszą – patologiczna, bo kto to widział, żeby stary chłop mieszkał z rodzicami i dziadkami? No i kto to widział, żeby siedzieć w jednym miejscu, i to na wsi! Albo jak można mieć taki tupet, żeby siadać do streama w rozciągniętych, zielonych spodniach dresowych i koszulce za 20 zeta? Słowem, nosić się niby młodsza wersja Ferdka z polsatowskiego serialu *Świat według Kiepskich*.

– A gdzie ja mam się wynosić? I co mam nosić u siebie w domu? – pyta retorycznie Mahonek. – Tu mi dobrze. I tak mi dobrze. Mam wszystko na miejscu. Poza tym, czy w Szczecinku, czy w Parsęcku, czy w Poznaniu – wszędzie robiłbym to samo, czyli siedział przed kompem. Kiedyś myślałem, żeby zostać policjantem, ale kogoś z przeszłością youtuberską do służby pewnie nie wezmą. Co do *Kiepskich*, to bardzo lubię ten serial. Za dzieciaka oglądałem i się śmiałem. Teraz budzi we mnie rozrzewnienie. – Dlatego zawsze w piątek i sobotę Mahonek, porządny chłop na swoim kawałku internetu, odpala live boży. Najpierw trochę pogada, wyzeruje parę bronxów, potem porobi sobie jaja i podzwoni na numery podane w ogłoszeniach na OLX. Wreszcie rzuca hasło: „jadymy na OmeTV!”.

No i jadymy. Kręci się ruletka czatów, samotności i tęsknoty.

Sylwek „Silver Fox”

Poznaliśmy się na forum dla rzeźników. Wrzuciłam post:

Szanowni członkowie grupy! Jestem dziennikarką „Newsweeka”, piszę książkę o młodych mężczyznach. W jednej z grup dla wegetarian pojawił się ostatnio post o chłopaku, ubojowcu, który ma kłopot ze znalezieniem partnerki. Pod postem znalazły się wiadomości, w których kobiety pisały, że dla nich związek z rzeźnikiem byłby powodem do wstydu. Ogromnie interesują mnie Wasze doświadczenia w tej kwestii. Czy doświadczacie odrzucenia z powodu Waszej profesji? Czy to tylko pretekst? Szukam rozmówców. Rozmowa anonimowa, przez telefon, ale też chętnie zapraszam na kawę.

Sylwek napisał na priv: „Interesują Cię relacje mężczyzn rzeźników z kobietami? Jestem informatykiem, ale i – w pewnym sensie i z powodu kobiety – rzeźnikiem. Zadzwoń. Pogadamy”.

Rozmawialiśmy kilka razy. Za pierwszym razem był nieufny, jakby badał grunt. Za drugim pytał, co o nim myślę. Czy go potępiam? Czy czuję obrzydzenie? Czy uważam, że tacy drapieżcy jak on mają prawo do życia? Trzecia rozmowa to był monolog. Mówił długo. Swobodnie. Pod koniec zadał pytanie, które – gdybym nie znała jego historii – potraktowałabym jako żart. Wrzucę je na koniec. Najpierw monolog.

Opowieść Sylwka „Silver Foxa”

Od dziecka wiedziałem, że na czułość trzeba zasłużyć. Mama, księgowa w firmie skupującej owoce dla Hortexu, była chłodna i skupiona na sobie. Ojciec, krawiec damsko-męski, ustępował jej we wszystkim. Mimo to, odkąd pamiętam, miała do niego żal. A to nie zapłacił w terminie za światło, odłączyli prąd i mięso w lodówce szlag trafił. A to po raz kolejny zgodził się na mniejszą stawkę za uszycie garnituru ślubnego i nie dość, że szył „na cito”, to jeszcze po nocach. A to nie chciał – jak inni koledzy po fachu – przerzucić się na handel ściąganymi z Turcji dżinsami marmurkami, chińskimi podkoszulkami i białymi tenisówkami z gumką, nazywanymi (na cześć miejsca produkcji) czeszkami.

Mówił: „Mam w dupie upadek komuny i uwolnienie rynku. Lubię dokładnie obszywać dziurki do guzików i będę to robić niezależnie od tego, czy mamy komunę, kapitalizm czy monarchię”.

Jego szyte na wymiar garnitury, sukienki i bluzki to było mistrzostwo świata. Mimo to przegrał walkę z zalewającą bazary turecko-indyjsko-czeską taniochą.

Matka wyrzuciła go z domu, kiedy miałem pięć lat. Rzucała w niego poduszeczkami na igły (kolekcjonował je i najeżone kolorowymi łebkami szpilek układał na półce w sypialni). „Wynoś się” – krzyczała. „Nie jesteś mi do niczego potrzebny, bo do niczego się nie nadajesz”. Ojciec zbliżał się do drzwi tyłem, z twarzą zwróconą w moją stronę. Nie pamiętam, czy się uśmiechał, czy coś mówił. Akurat w „Dzienniku” TVP pokazywali leżących na śniegu, rozstrzelanych niedawno Nicolae Ceauşescu i jego żonę Elenę. Oboje mieli na sobie ciepłe płaszcze obszyte futrem. Już wtedy fascynowały mnie futra. W przedszkolu miałem kolegę, którego odbierała mama. Całowała go na przywitanie i głaskała po głowie. Zimą przychodziła w futrze z lisa. Przed snem – przypomniałem sobie o tym wiele lat później, podczas psychoterapii – wyobrażałem sobie, że jestem skórą z lisa, z której zrobiono jej futro. Leżę na jej ramionach, a ona głaszcze mnie i dotyka pieszczotliwie. Czułem, że należy mi się, bo oddałem dla niej życie.

Matka nigdy mnie nie przytuliła. Nie kochałem jej i pewnie już nie pokocham. Wykasowałem ją z kontaktów. Do ojca przez wiele lat miałem żal, że poddał się bez walki i zostawił mnie z matką. Szybko też zacząłem się go wstydzić, bo przegrał z wolnym rynkiem. Stracił pracownię krawiecką i został stróżem w hotelu wybudowanym z marmuru i szkła. Służył tym, którym się w nowej rzeczywistości udało. Widziałem, jak – niczym niespokojna, siwa surykatka – wyciąga szyję i spogląda z okien dyżurki na zaparkowane na tyłach hotelu mercedesy, ople, SUV-y. Wiedziałem, że spieszy

się, żeby opuścić głowę i zawiesić wzrok na robótce ręcznej: znoszonych przez sąsiadów i przerabianych za grosze wełnianych spodniach, jedwabnej bluzce, apaszce pewnie jeszcze od „Cioci Unry”[2], w której po pierwszej wódce, pierwszym pocałunku i papierosie została pamiątka w postaci przepalonej dziurki.

Nie imponowało mi zamiłowanie ojca do naprawiania starych rzeczy. Już wtedy wiedziałem (matka wbijała mi to codziennie do głowy), że nie mogę być taki jak on, bo żadna dziewczyna mnie nie zechce. „Pamiętaj, synu – mówiła – facet nie jest potrzebny kobiecie do seksu, ale sukcesu. Odnieś sukces, a kobiety same przyjdą”.

Wujek odniósł sukces. Chciałem być taki jak on: mieć warsztat samochodowy, do którego nocą zjeżdżałyby auta na niemieckich numerach (rano wyjeżdżałyby na polskich blachach), umawiać się z dziewczynami z miasta, hodować biało-czarne króliki i zabijać je na mięso.

Po raz pierwszy poczułem się mężczyzną, kiedy wujek podał mi żelazny pręt i wyjął z klatki królika. Miałem 16 lat. Już wcześniej widziałem cielęta przywożone do wujka na ubój. Nie płakały jak owce, które przeczuwają zbliżającą się śmierć. Skrępowane sznurkiem, leżały na przyczepce. Oddychały spokojnie, nieświadome, że wujek ostrzy noże, babka szykuje miednicę na krew, a ciotka układa świeżą słomę na klepisko. Kiedyś – już po ułożeniu jednego z cieląt na sianie – pogłaskała je ukradkiem po miękkich i ciepłych nozdrzach.

Zabicie królika nie było tak spektakularne jak uśmiercenie cielaka. Wystarczyło podnieść go za uszy i uderzyć prętem w głowę. Mimo to czułem, że zrobiłem to, co od wieków robili moi ziomkowie: zabiłem zwierzę na mięso. Nie po to, żeby się nad nim znęcać (nigdy nie miałem przyjemności z zabijania), ale po to, żeby nakarmić rodzinę. To nie był jeszcze sukces,

o którym mówiła matka, ale niedługo po zabiciu królika poznałem dziewczynę.

Wyobrażałem sobie, że oddaję za nią życie, a ona dotyka mnie z czułością. Któregoś dnia szliśmy przez wieś. Przechodziliśmy koło obejścia sąsiada, myśliwego. Jego syn akurat czyścił na podwórku wiatrówkę. Wycelował w dziewczynę. Instynktownie zasłoniłem ją własnym ciałem.

– We mnie celuj, we mnie! – krzyknąłem.

– Jaja sobie robię, zwariowałeś?! – Śmiał się, ale nie chciałem, żeby to był żart. Chwyciłem dziewczynę za rękę, pociągnąłem w stronę stodoły. Czułem napięcie, które do tej pory rozładowywałem masturbacją.

Nie była dziewicą. Przekonywała mnie, że nie powinienem się martwić, bo przy pierwszym razie przedwczesny wytrysk to coś normalnego. Nie martwiłem się. Nie wiedziałem tylko, jak jej powiedzieć, że skończyłem szybciej, bo mi się nie podobało. W seksie nie było nic z czułości ostatniego dotyku przed śmiercią. Nie przypominał – jak sobie wyobrażałem – błogości, jaką odczuwać można podczas operacji w częściowym znieczuleniu, kiedy nie czujesz bólu, ale widzisz krew i słyszysz dźwięk rozcinanej skóry. Był jak wbijanie szpilki w miękką, kolorową poduszeczkę. Nijaki. Bezkrwawy. Zbyt łatwo zasłużony.

Nie pamiętam, czy to ja zerwałem, czy dziewczyna odeszła. Być może ona, bo zasypialiśmy razem, ale budziła się sama. Ja w tym czasie siedziałem przed połyskującym ekranem komputera i polowałem na zdjęcia kobiet w futrach z lisa. Zapełniałem nimi folder nazwany „Fox pelt”. W pewnym momencie miałem 30 tysięcy zdjęć. Wykasowałem je, bo nigdy do nich nie wracałem. Liczyła się tylko pogoń. I napięcie, kiedy na ekranie komputera pojawiała się kolejna. I kolejna. I następna. Skóra.

Długo myślałem, że tylko ja pragnę być współczesnym myśliwym, który jest gotów oddać życie za czułość. Wszystko zmienił polski czat na

furfashionguide.com. Dziś już nieistniejący, dla mnie okazał się drogą do współbraci. Byłem zdumiony, jak wielu nas jest – spragnionych dotyku futer, stawania się futrem albo oczekiwania na śmierć w imię wiecznego życia na czyichś ramionach.

Rozmawialiśmy godzinami o futrach, sposobach ich zdejmowania z martwego ciała, oddzielania wewnętrznej warstewki tłuszczu i wietrzenia. Czasem ze wspólnego czatu przechodziliśmy do oddzielnych pokoi, gdzie dwójkami albo trójkami dzieliliśmy się swoimi marzeniami o czułości doświadczanej na granicy życia i śmierci. Czasem z ciekawości zaglądaliśmy do pokoi, w których ktoś inny marzył o byciu świnią szorowaną wiechciem albo bykiem prowadzonym do pokrycia krowy.

Po zamknięciu furfashionguide.com przenieśliśmy się na inne fora: fetlife.com, therian-guide.com. Założyliśmy też własne czaty na Gumtree, CZATerii i Facebooku.

Jako Silver Fox zyskałem sławę nie tylko wytrawnego teoretyka, lecz także – do czego dojdę za chwilę – praktyka. Najpierw jednak opowiem, jak próbowałem złapać więź z ojcem i wpasować się w matczyną wizję mężczyzny sukcesu.

Zacznę od matki. Wykasowałem ją z kontaktów, kiedy skończyłem informatykę. Przez lata pracowałem jako programista iOS. Odpowiadała mi filozofia Apple’a, z przyjemnością zgłębiałem jego ekosystem. Zarabiałem 8–9 tysięcy miesięcznie, a kiedy zostałem architektem systemów IT, na moje konto co miesiąc wpływało 14 tysięcy. Odpowiadałem za holistyczne przygotowanie software’u, czyli badałem zależności oraz wymagania, którym trzeba sprostać, aby powstał nowy program. Odniosłem sukces, ale – wbrew temu, co mówiła matka – żadna kobieta się mną nie zainteresowała.

Żadna sama do mnie nie przyszła, mimo że byłem inny niż ojciec. On się nie cenił, a ja nigdy nie powiedziałem, że zrobię coś taniej. On kombi-

nował, jak zachować i utrzymać przy życiu stare (łącznie z przerabianiem zniszczonych polipropylenowych worków na wielorazowe torby na zakupy), ja tworzyłem wyłącznie nowe. On został w starym ekosystemie (po śmierci wujka zamieszkał w jego domu na wsi), ja tworzyłem nowy, cyfrowy. On kolekcjonował kolorowe poduszeczki na szpilki, ja zdjęcia nagich kobiet w futrach.

Mimo to udało nam się nawiązać kontakt. Moja terapeutka – poszedłem na psychoterapię, żeby zrozumieć swoją fascynację futrami – powiedziała, że bez rozmowy z ojcem będę skazany wyłącznie na historię matki.

Hipnotyzer, do którego zgłosiłem się po to samo, sprawdził, czy w poprzednim wcieleniu byłem lisem. Zrobiłem to, co kazał, ale nic nie zobaczyłem. Moja przeszłość wyglądała jak migający, szary ekran peceta. Albo mgła.

Ojciec już dawno nie pracował w stróżówce na tyłach hotelu z marmuru i szkła. Siedział przy oknie w chałupie z widokiem na pustą oborę i przerdzewiałe klatki dla królików i robił to, co kocha: uzdatniał stare ciuchy i worki na odpady. Obserwowałem, jak z pedantyczną dokładnością obrabia dziurki na guziki – wcześniej nawlekał igłę i nakładał na palec stary, metalowy naparstek. Śledziłem, jak z czułością układa w koszyku grzybki do cerowania, poprawia nożyczki, żeby leżały w równym szeregu, wpina w poduszeczkę szpilki z kolorowymi łebkami.

Byłem zły na matkę, że poznałem ojca tak późno. Pochylony nad ścinkami materiałów, był bardziej dzieckiem niż mężczyzną. Nie mógł mi zdradzić nic, czego sam nie wiedziałem. Widział też coraz słabiej, jakby sam brodził w gęstej mgle. Mimo to darzyłem go czymś na kształt czułości.

Dzwoniliśmy do siebie codziennie.

– Przyjedź, bo umieram – mówił. – Musisz mnie umyć i ubrać do trumny.

– Tato, masz dopiero 78 lat. – Z biegiem czasu ta liczba zmieniła się na 79, 80 i 81. – Jesteś zdrowy, dobrze się odżywiasz, dużo śpisz. Nie umrzesz tak szybko.

– W dupie to mam. Umrę – odpowiadał, a potem gadaliśmy o wszystkim i o niczym.

Mój głos niósł się po pustym domu (po ośmiu latach pracy kupiłem go za gotówkę), a potem cichł, zastępowany szelestem klawiszy. Tuż po rozmowie z ojcem wchodziłem w ekosystem czatów dla fetyszystów. Kiedy rozmawiałem z tatą, stawałem się – do dziś nie mogę tego przeżyć – miękki i czuły. W tak zwanym *role play* znów mogłem być lisem, czekającym albo prowadzonym na śmierć.

– Jesteś ze mną? W klatce – pytałem Niemkę, z którą korespondowałem po angielsku.

– Jestem – odpisywała. – Jestem lisem jak ty.

– Widzisz, że właściciel fermy idzie do nas z jakąś kobietą? – pisałem.

– Widzę. Pewnie wybierają lisy, które oddadzą dla niej życie – odpowiadała.

– Co czujesz?

– Włosy mi się podnoszą, a oddech przyspiesza, ale chcę stać się częścią jej futra.

– Widzisz podziw w jej oczach?

– Czeka na naszą śmierć. Nie widzi naszego strachu i bólu.

– To dobrze. Ja się nie liczę. Ważne jest tylko moje piękne futro.

Jarka, właściciela fermy lisów, poznałem w jednym z wirtualnych pokoi. Uprosiłem, żeby pozwolił mi asystować przy uboju lisów. Miałem nadzieję, że będąc przy ich śmierci, poczuję coś, co w życiu choć na moment zbliży mnie do wirtualnego *role play*. Albo – w ostateczności – doda trochę wiedzy praktycznej, przydatnej podczas wirtualnych konwersacji.

Asystowałem przy ponad 201 śmierciach lisów. Najpierw z Jarkiem dokładnie sprawdzaliśmy, czy ich futro nie jest wygryzione, a sierść nie wypada na przykład wskutek choroby skóry. Nie lubiłem wyłapywania chorych samców. Ich życie i śmierć nie miały sensu, bo tuż po uboju trafiały do utylizacji. Nikt nie zawracał sobie głowy zdejmowaniem wybrakowanego futra. W przypadku zdrowych samców wszystko było prostsze. Łapaliśmy je specjalnym chwytakiem, tak zwanym poskromem. Na jednym końcu chwytaka była dźwignia, której naciśnięcie powodowało zaciskanie aluminiowych szczęk znajdujących się na drugim końcu urządzenia.

Jarek zaciskał szczęki na szyi lisa, ja łapałem za ogon. Potem nieśliśmy go do tak zwanego stanowiska ubojowego z dwoma drutami podpiętymi do akumulatora. Ja trzymałem lisa, Jarek wkładał jeden drut do jego odbytu, drugi do pyska. I puszczał prąd.

W tej śmierci nie było nic z czułości, romantyzmu czy chwały. Lis stawał się po prostu elementem obwodu elektrycznego. Mimo to czekałem na telefon od Jarka, że mogę znów do niego wpaść. Fascynowała mnie łatwość i szybkość śmierci. Od momentu wyciągnięcia lisa z klatki i włączenia prądu mijało przeciętnie 10 sekund. Po nich byle jakie życie w klatce zamieniało się w wieczną szczęśliwość na ramionach kobiety. Byle jaki kawałek mięsa obleczonego w sierść stawał się futrem: dotykanym z czułością i podziwem. Byle jakie życie zyskiwało głębszy sens.

W połowie września ojciec zamilkł. Nie dzwonił i nie odbierał telefonów. „Zabrało go pogotowie” – poinformowała mnie sąsiadka, której wycerował całą garderobę, łącznie z pończochami pamiętającymi lata 70. „Jest na oddziale zakaźnym w szpitalu w Z.”.

„Ojciec ma obustronne zapalenie płuc” – powiedziała lekarka z oddziału. „Niestety ma również covid, dlatego nie może się pan z nim zobaczyć”.

Dzwoniłem do niej przez kolejne dwa dni. Trzeciego zadzwoniła sama: „Ojciec umarł we śnie. Nic spektakularnego. Nie podpięliśmy go nawet do respiratora. Prosił, żeby pochować go w garniturze. I umyć przed śmiercią. Niestety nie wydamy panu ciała. Zmarli po covidzie są wydawani zakładowi pogrzebowemu w specjalnych workach. Zalecamy spalenie ciała, bo trumny ze zwłokami – nawet dobrze zabezpieczonymi – nie wolno eksponować w kościele. No i proszę się zastanowić nad kolejnością pochówku. W przypadku ciał zabezpieczonych w workach kolejność pochówku będzie odwrotna: najpierw pochówek, potem msza. Najlepiej byłoby, gdyby zlecił pan wszystko miejscowemu zakładowi pogrzebowemu R. W. Zakład zorganizuje kremację, urnę i właściwą kolejność rzeczy na cmentarzu”.

Chciałem powiedzieć: „W dupie to mam!”.

Dałem się nabrać na czułość i co mi zostało? Ból? To wszystko? Powiedziałem jednak: OK.

Odpaliłem komputer. Znalazłem R. W. Napisałem mail. Odpisali natychmiast. W załączniku wysłali kilka modeli urn kremacyjnych na popioły. Wybrałem model ze stali nierdzewnej z grawerką „Love You Infinity”. Nie chodziło o napis. Nakrętka urny przypominała mi naparstek, który ojciec nakładał na palec wskazujący tuż przed rozpoczęciem szycia.

Nie pojechałem na pogrzeb. Zapłaciłem za wszystko, łącznie z dopilnowaniem transmisji pogrzebu online na YouTubie. Oglądałem go na laptopie ustawionym na kuchennym, marmurowym blacie. Licznik YouTube’a wskazywał jeszcze dziewięciu oglądających. W kościele – zobaczyłem to, kiedy pracownicy R. W. ruszyli z urną do wyjścia – wszystkie ławki były zajęte.

I wtedy na ekranie mojego smartfona pojawiło się powiadomienie, że nieznajoma Lizzy Fox chce się ze mną skontaktować na FB. Zrzuciłem po-

grzeb na belkę, wszedłem na Facebooka. I znów byłem w klatce, czekając na śmierć.

To koniec mojej historii. A teraz pytanie: Czy chciałaby pani futro z takiego chętnego lisa jak ja?

Mirek z Tindera

Spotkaliśmy się w miasteczku powiatowym na wschodzie Polski. Czekałam na niego w kawiarni naprzeciwko kwiaciarni Bratek. U sufitu wirowała kolorowa kula, zasłonki w oknach falowały od ciepłego powietrza z kaloryferów, z głośników płynął szlagier z lat 80. Al Bano i Rominy Power *Felicità*. Wpadł z bukietem frezji – dowodem wdzięczności za zainteresowanie.

Wzięliśmy specjalność zakładu: Różę Królowej Zofii (herbatę smakową za 5 zł), torcik W-Z (po 2,90 zł) i Zielono Mi, czyli trzy gałki lodów owocowych z bitą śmietaną (za 16,80 zł).

– Całkiem tu tanio. I miło – powiedział Mirek, dwudziestodwuletni pracownik Wydziału Spraw Społecznych pobliskiego urzędu gminy. – Szkoda, że tyle razy przechodziłem, a nigdy nie wszedłem.

– A gdzie umawiasz się na randki? – zapytałam.

– W internecie. Tam jest najbezpieczniej. Zawsze możesz kogoś zablokować albo wyjść z konwersacji, bo niby ci bateria w smartku siada, musisz zrobić szybki przelew albo masz telekonferencję. – Po chwili dodał: – Poza tym w R. nie ma dziewczyn, z którymi chciałbym się umówić. Prawie wszystkie wyjechały do szkół i na studia do Warszawy. Robią za baristki w modnych kawiarniach, układają ciuchy w sieciówkach, chodzą na manify. Widzę, jak zmieniają na FB status związku…

– A ty?

– Ciągle sam, chociaż wciąż szukam na Tinderze, Lovely, Badoo i eDarling – odpowiedział. – Siostra mówi, że utknąłem między życiem a aplikacją randkową. Po godzinie korespondencji (średnio) profile, które wcześniej przesuwały mnie w prawo, zaczynają mnie blokować. Jedna osoba napisała, że z gadki przypominam dziadersa, a to mało seksi. Inna zażartowała, że z takim profilowym (zdjęcie zrobione na weselu, w garniturze) lepiej bym się prezentował na FINALLY (randki dla samotnych facetów po pięćdziesiątce). Kolejnej nie podoba się, że pracuję w mieście, ale mieszkam na wsi. Czuję się oszukany, bo internet miał być demokratyczny, a jest – tak jak kobiety – dla wybranych. Czyli: facetów z kasą, furą i z miast.

Opowieść Mirka z Tindera

W mojej pierwszej grze komputerowej czarny ludek wdrapywał się na ścianę. Komputer poskładany przez wujka z części (ściągniętych z tak zwanych wystawek w Niemczech) stał w salonie, na stole przy oknie. Stukałem w klawiaturę z wywieszonym językiem. Spocony z emocji, bo wiedziałem, że im ludek wejdzie wyżej, tym ja dostanę więcej punktów i przejdę na kolejny poziom.

Spieszyłem się, żeby wleźć na samą górę, bo w kolejce do peceta stali starszy brat i siostra. Czarny ludek służył również im, ale wolałem myśleć, że jest tylko ze mną. Miałem cztery lata, ale nie bałem się dźwięków odpalanego sprzętu. Lubiłem szum następujący po naciśnięciu guzika, serię piknięć, wreszcie białe cyfry wyskakujące na czarnym tle. Wszystko to – tak sobie wyobrażałem – było zaszyfrowanym przekazem do mnie od czarnego przyjaciela.

Rodzice patrzyli na komputer z lękiem i szacunkiem. Matka co kilka dni delikatnie przecierała go wilgotną ściereczką, a ojciec, w drodze przez

salon do kuchni, omijał go szerokim łukiem. Telewizora, który stał (przykryty serwetą po babci) w ich sypialni, już dawno się nie bali. Wyraźnie też stracili do niego szacunek. Matka oglądała tylko „Agrobiznes”. Ojciec psioczył, skacząc po kanałach: „A weź! Kiedyś to były programy: dla dzieci «Ekran z Bratkiem», dla ojców «Zrób to sam», dla matek «Studio Gama», dla dziadków «Z kamerą wśród zwierząt»”.

Chłopaki uciekały z podwórek, jak puszczali *Czterech pancernych i psa*, *Janosika* albo *Wakacje z duchami*. Na ostatni odcinek brazylijskiego serialu *Niewolnica Isaura* nauczycielki usadziły nas przed telewizorem w sali gimnastycznej. Wspólne oglądanie *Isaury* w ramach „filmu dla drugiej zmiany”[3] – to było coś! Dziś wszystko takie samo i dla nikogo.

Po raz pierwszy z internetem zetknąłem się w zerówce. W zamykanej na klucz sali stały trzy komputery. Na dużej przerwie sprzątaczka otwierała salę i pozwalała dzieciakom – jak mówiła – popatrzeć na internety. „Żebyśta nie czuli się gorzej niż ci z miasta” – dodawała. Raz zostawiła nas samych, a wtedy Gimbus, najstarszy, największy i najbardziej odważny z nas, wystukał na klawiaturze: HUJ. Dziewczyny z piskiem wybiegły na korytarz, a my, chłopaki, poczuliśmy się królami nie tylko pracowni internetowej, ale też całych internetów!

Do naszego domu, na wieś, internet dotarł w 2008 roku. Popłynął z bieluśkiego routera podłączonego do komputera siecią kabelków. Kosztował 80 złotych za 35 dni. „Drogo jak za coś, czego nie widać i co nic nie waży” – powiedział wówczas ojciec. Mimo to oboje z matką coraz częściej prosili: „Weź coś mi sprawdź! Weź wejdź tam i weź zobacz!”.

Matkę interesowały przepisy, horoskop, ceny skupu. Ojca – KRUS, nowe metody uprawy truskawek i kalendarz oprysków wiśni. Wbijałem dyktowane przez nich hasła w przeglądarkę, a oni stali nade mną w ciszy.

Patrzyli z podziwem, jakbym odpalał frachtowiec kosmiczny i leciał na Księżyc.

Razem ze mną do frachtowca wsiadała już tylko starsza siostra. Brat uczył się w technikum ogrodniczym i mieszkał w internacie. Przyjeżdżał do domu raz na miesiąc. Zamykali się wtedy z ojcem w kuchni i snuli wizję rozwoju gospodarstwa. Mnie i siostrę bardziej interesowała gra w FIFĘ 08, ale któregoś dnia siostra pokazała mi Naszą Klasę. „Muszę cię tu wpisać! Jak cię tu nie ma, to nie istniejesz!" – powiedziała. Przestraszyłem się, bo chodziłem do piątej klasy podstawówki i bardzo chciałem istnieć.

Nie pamiętam, jak i czym zrobiła mi zdjęcie profilowe. Wisi do dziś w internecie i czasem oglądam je dla beki. Mam na nim odświętny sweter w paski, który rodzice kazali mi zakładać do kościoła. Nie lubiłem go, bo gryzł pod brodą. Może dlatego na zdjęciu wyglądam na – jak mówił dziadek – szóste dziecko stróża.

Na szczęście chłopaki i dziewczyny z klasy (żadne z nich nie miało w domu internetu) nie zauważyli, że jestem na NK. Siostra za to była dumna, że ma takiego cool brata.

W szóstej klasie pokazała mi czat 6obcy.pl. Było w nim coś z horroru science fiction, bo aby rozpocząć anonimową rozmowę, wystarczyło kliknąć w przycisk „Połącz z obcym". „Kim jesteś?" – wystukałem, kiedy na moje „hej" pojawiło się bezosobowe „hej". Niedawno obejrzałem film *Obcy – ósmy pasażer Nostromo* i bardzo chciałem, żeby odpisał mi ciemnoskóry Nigeryjczyk, który wcielił się w rolę tytułowego Aliena. Zadałbym mu proste pytania: Jak to jest przeobrazić się z poczwarki w młodego obcego? Kto ma być moim żywicielem? Czy żywiciele i obcy nie mogą się dogadać? Czy faktycznie – żeby istnieć – trzeba zabijać? Może lepiej dla wszystkich byłoby, gdyby kot Jonesy, oficer Ripley i Alien dogadali się w kapsule zmierzającej w stronę Ziemi?

Niestety, ósmy pasażer Nostromo nigdy nie odpisał. Na ekran wypełzały zdania pisane przez samotne matki, galerianki poszukujące sponsora na zakup nowych adidasów. Najczęściej jednak to było „hej” samotnych chłopów w wieku mojego brata albo ojca. Wchodzili na czat, bo – jak pisali – nie mieli nic ciekawszego do roboty. „Obudziłem się. Idę na nockę do hurtowni” – pisał jeden z obcych. „Na hali robię. Mam przerwę. Kebsa bym zjadł” – zagajał kolejny. „Może razem zwalimy konia?” – wystukiwał następny.

Niestety żaden z nich nie był mierzącym ponad dwa metry Bolajim Badejem – nigeryjskim studentem z plemienia Jorubów, wypatrzonym w londyńskim barze i zaangażowanym do roli obcego przez reżysera Ridleya Scotta.

Nie mogłem porozmawiać o obcych z ojcem czy matką. Nie mieli pojęcia nie tylko o tym, kim jest Alien, ale też na czym polega rozmowa przez bieluśki router. Wierzyli w ludzi i ludziom, których znali. Odpowiadali na pytania zadawane w cztery oczy. Nie zrozumieliby, dlaczego (wnioskując z tego, co napisała o sobie) dwudziestopięcioletnia nauczycielka matematyki pyta, ile mam centymetrów we wzwodzie, a ile w zwisie. Poza tym nie mieli w zwyczaju ze mną rozmawiać.

Z pewnością jednak chcieli dla mnie dobrze, dlatego przystawili biurko z komputerem do pustej ściany (żebym się nie rozpraszał widokiem za oknem) i kupili specjalny (przypominający miniaturową kościelną ławę) tak zwany klękosiad. Ponoć zdrowy dla kręgosłupa.

Na wpół siedząc i klęcząc, wchodziłem więc na kolejne czaty, gdzie mogłem być – bez grzechu i pokuty – kim tylko zechcę.

„Młody, musisz wejść na Facebooka! Nie masz profilu na FB – nie istniejesz!” – rzuciła któregoś dnia siostra. Miałem już 14 lat i również dzięki czatom wiedziałem, że w przypadku chłopaków to hasło powinno brzmieć

inaczej. Na przykład: Nie zaistniejesz, jeśli wrzucisz na profilowe swoje prawdziwe zdjęcie! Pamiętaj: pod żadnym pozorem nie pokazuj twarzy! Nie patrz w oczy! Nie uśmiechaj się!

O chłopakach, którzy mizdrzyli się z foty na FB, ziomki mówili: pedały, lachociągi, męskie pizdy. Nie trzeba było dużo: uśmiech, grzywka zakrywająca czoło, T-shirt z większym dekoltem, spodnie rurki albo kot. Zdjęcie z psem, do dziś nie wiem dlaczego, było OK.

Ale najbardziej cool był profil bez zdjęcia. Ziomale mówili, że rozpala wyobraźnię lasek, które cisną po Messengerze, prosząc o jakiekolwiek zdjęcie.

Już wtedy cieszyłem się wśród dziewczyn z sąsiednich wsi opinią lowelasa i podrywacza z internetu. Nie, nie pisałem do nich, nigdy żadnej z nich nie zaczepiłem. Ale do stworzenia mojej złej sławy wystarczyło to, że jako jeden z kilku chłopaków w szkole miałem profil na FB. I codziennie tam zaglądałem. Któregoś dnia – chodziłem już do pierwszej klasy technikum – dostałem wiadomość od dziewczyny ze starszej klasy. Napisała, że codziennie widuje mnie na korytarzu i bardzo jej się podobam. Prosiła też, żebym wysłał jej jakieś swoje zdjęcie. Wysłałem. Wyglądałem na nim dobrze. Stałem tyłem. Byłem z psem, z miejska uwiązanym na smyczy. Podszedłem do niej następnego dnia, na dużej przerwie. Zapytałem:

– Zdjęcie OK?

– OK! – odpowiedziała.

Po zajęciach czekałem na nią przed szkołą. Razem poszliśmy na dworzec PKS. Po drodze jest park. Usiedliśmy na ławce. Na profilowym dziewczyna miała tylko głowę, a teraz – po raz pierwszy z bliska – widziałem ją całą. Nawet ładna była. Włosy miała długie, blond. Na nogach adidasy. Widziałem je już na udostępnionym przez nią zdjęciu („Moje nowe musthave!”), ale z bliska wyglądały na długo używane. No i sznurówki nie

były oryginalne. Pewnie kupiła je w pasmanterii na rynku. Patrzyłem na te sznurówki i nie wiedziałem, o czym z nią gadać.

Moi rodzice ze sobą nie gadali. Dzielili się pracą w gospodarstwie. On dźwigał cięższe rzeczy, ona lżejsze. Ona gotowała, on trzepał dywany. On wędził kiełbasy, ona strzygła mu włosy. Raz tylko słyszałem, jak przekomarzali się w kuchni: „Oj, tatuś, oj, weź, oj, przestań” – śmiała się matka. „Oj, matka, oj, weź” – chichotał ojciec.

To nie był dobry wzór. Dlatego wtedy, na ławce, trząsłem się, jakby ktoś wystawił mnie gołego na mróz. Ona też się trzęsła.

Ktoś musiał się pierwszy przełamać, więc zapytałem:

– Na jakie tematy ogólnobieżące chcesz porozmawiać?

– Może o tym, że za trzy miesiące idę na wesele do kuzynki?

Odetchnąłem, kiedy wsiadła do swojego autobusu, ale jednocześnie czułem się spełniony. Stawiłem temu czoła. Przetrwałem to. I – co okazało się, kiedy w domu odpaliłem komputer – zrobiłem dobre wrażenie! Napisała:

– Dziękuję za cudowny spacer! – I dodała uśmiechniętą buźkę.

– Zawsze do usług, księżniczko! – odpisałem i wstawiłem buźkę z przymkniętym oczkiem.

Odprowadziłem ją na PKS jeszcze 10 razy. Zaprosiła mnie też na wesele kuzynki, ale nie miałem pomysłu, o czym mógłbym z nią gadać przez całą noc przy weselnym stole. Wymówiłem się pracą w gospodarstwie, a wtedy ona napisała na FB do mojego kolegi z klasy. Widziałem, jak czeka potem na nią przed szkołą, i poczułem ulgę.

W trzeciej klasie technikum wyjechaliśmy całą klasą na praktyki. Na dyskotece poprosiłem do tańca koleżankę. Chemia była. Pocałowaliśmy się. Chciałem coś powiedzieć, ale rozstaliśmy się bez słów. Kiedy wróciłem do domu i odpaliłem komputer (nie miałem jeszcze internetu w komórce), za-

uważyłem, że zmieniła na FB status związku. Ja też zmieniłem. Posypały się lajki. Byłem szczęśliwy, bo pierwszy raz w internecie zrobiłem coś tak ważnego i zauważonego przez innych. Opowiedziałem o tym rodzicom, ale nie rozumieli, o co mi chodzi. Ojca interesowało, czy dziewczyna jest ładna i co robią jej rodzice. Matkę, czy chodzi do kościoła i czy jest porządna. Odpaliłem komputer, pokazałem jej profil na FB. „Weź ją zaproś na wiśnie" – powiedziała matka. „Pomoże i zabierze trochę dla swoich" – dodał ojciec.

W pierwszej chwili pomyślałem – OK. W drugiej przypomniałem sobie jej profil na Instagramie. I zdjęcia: robione w mieście, na zakupach, u fryzjera. Dziewczyna była jak ja, ze wsi, ale chciała na zawsze przenieść się tam, gdzie tylko pozowała. Fotka ze zbioru wiśni nie pasowała do tego świata. Na drabinie, w chustce i czarnym drelichu ubrudzonym ciemnoczerwonym sokiem wyglądałaby na Insta jak obcy. Alien.

Mimo to przez kolejne trzy lata lajkowałem każdy jej post i wrzucałem czerwone serduszko pod nowym zdjęciem. Co było, kiedy nasze telefony zostawały na komodzie w sieni, a my zamykaliśmy się w pokoju, zostawię dla siebie.

Po maturze zostałem z rodzicami na gospodarstwie. Siostra wyjechała do miasta na studia, poznała chłopaka na Tinderze, pobrali się. Spodziewają się dziecka. Brat wyjechał do Holandii, żeby zarobić u tamtejszego gospodarza na nowy sprzęt do gospodarstwa. Spodobało mu się w Niderlandach. Czasem na Skypie mówi, że jeszcze kilka lat i zjedzie, żeby z ojcem prowadzić nowoczesną gospodarkę, ale ja mu nie wierzę.

Moja dziewczyna też wyjechała do miasta, do pracy w hotelu. Kilka miesięcy pisała: „Misiek, tęsknię"; „Misiek, słyszałam naszą piosenkę"; „Misiek, przepraszam. Poznałam kogoś".

Wreszcie zmieniła status na: To skomplikowane. Pewnie jak wszystkie młode, kłusujące na znudzone małżeństwem stare, tłuste lisy poznała żonatego.

Czy cierpiałem? Odpowiem przysłowiem, które usłyszałem od dziadka: łatwiej się szlachcicowi wyśmiać, jak chłopu wypłakać. Nie umiem płakać, tylko jak ojciec, przez 30 lat budujący razem z matką dom (dosłownie, bo zaczęli za komuny, a skończyli kilka lat temu), zawijam rękawy i biorę się do roboty. Założyłem konta na Tinderze, Lovely, Badoo i eDarling. Trochę kasy poszło, bo wziąłem ze wszystkimi udogodnieniami i zabawami. No, ale za swoje się bawiłem. Pomagałem ojcu w gospodarce i pracowałem w urzędzie gminy. No i miałem już – podobnie jak rodzice – smartfon na wypasie.

Tyle że oni używali go po staremu. Czyli od rana czekali na telefony od mojego brata i siostry. Ceny skupu, pogodę i kalendarz oprysków nauczyli się sprawdzać na starym komputerze, z przystawionym do biurka klękosiadem. Pięć razy w roku (święta, rocznice śmierci dziadka i babci, odpust w naszej parafii) prosili, żebym wysłał SMS-y do wujków i ciotek. „Weź ty to zrób, bo my z matką grzebiemy po tym szkiełku jak kura pazurem” – mówił ojciec.

Pisałem (do każdego musiało być coś innego), a potem szedłem do swojego pokoju i szukałem na Tinderze księżniczki. W promieniu maksymalnie 40 kilometrów. W moim wieku albo dwa, trzy lata młodszej. Panny.

Niestety, nikogo takiego w moim promieniu nie było. Wyskakiwały za to profile kobiet z odległych Łodzi, Warszawy, Radomia. Wreszcie kolega z pracy przypomniał sobie, że jego ciotka wspominała, że jej córka (19 lat) założyła sobie właśnie konto na Tinderze. Zadzwonił do niej, żeby się upewnić. „Stary, jest!” – odetchnął z ulgą. „Znajdź ją na Tinderze i weź w prawo. Obiecała, że też cię weźmie w prawo!”

Profil wydawał się idealny: mieszkała niecałe 40 kilometrów ode mnie. Była panną. Szukała chłopaka na studniówkę. Przez tydzień pisaliśmy na FB (było łatwiej niż na słabowatym czacie Tindera), wreszcie umówiliśmy się na parkingu przy Tesco. Podjechałem swoim autem. Wsiadła. Przywitaliśmy się i pojechaliśmy na lody do Makro. Cały czas mówiła o ludziach, których nie znam, i napojach wyskokowych, których nie piję. Przeklinała, a ja nie lubię ordynarnych dziewczyn. Dla mnie to są patusy, a nie księżniczki.

Odwiozłem ją do domu i pomyślałem, że powinienem jednak celować w miastowe, których na Tinderze do wyboru, do koloru. Może wśród nich znajdzie się jakaś normalna dziewczyna. Czyli taka, która doceni chłopa za to, jaki jest, a nie za jego profil. Idealnie, gdyby kochała przyrodę, nie bała się bronić swoich wartości i nie dzieliła ludzi na gorszych i lepszych.

Ilona wydawała się idealna. W opisie zaznaczała, że jej myśl jest lewicowa, a ona sama określa siebie mianem rewolucjonistki, która chce rozwijać aktywizm nie tylko w modnych, miejskich centrach lewakowania.

Wziąłem ją na prawo. Odpowiedziała tym samym, a kiedy wrzuciła w konwersację numer telefonu, pomyślałem, że trafiłem na – jak ojciec nazywa niezłe laski – git dziewczynę.

– Nie lubię pisać – odpowiedziała, kiedy zapytałem, dlaczego woli gadać. – Myślałam, żeby zupełnie zrezygnować z telefonu i Facebooka, ale wtedy nie dostawałabym powiadomień o demach, blokadach eksmisji i wystawach.

A potem zaczęła mnie egzaminować. Czy aby nie jestem fatfobem (czy nie gardzę otyłymi)? Co myślę o osobach transseksualnych i czy aby nie jestem transfobem? Czy przed stosunkiem seksualnym pytałem moje poprzednie dziewczyny o świadomą zgodę na współżycie?

– Świadomą zgodę? A co to jest? – dopytywałem, chociaż fatfobia i transfobia też były dla mnie tajemnicą.

– Musisz usłyszeć, że osoba chce uprawiać z tobą seks – odpowiedziała. – Najlepiej przed rozpoczęciem stosunku upewnić się kilka razy. Inaczej będziesz uczestniczył w kulturze gwałtu, na którą jedyną odpowiedzią jest *callout*, czyli demaskowanie oprawcy, na przykład udostępnianie jego danych (ze zrzutem profilu) jako gwałciciela.

– A jeśli ofiara rzekomego gwałtu nią nie jest? Co wtedy z takim facetem? Przecież nie będzie miał życia – zdziwiłem się.

– Rewolucja wymaga ofiar. Nawet jeśli jeden z was nie zgwałcił, inne faktycznie zgwałcone poczują, że mogą mówić o swoich oprawcach. Taka jest cena postępu – odpowiedziała Ilona.

– Ale dlaczego muszą za nią płacić biedne chłopy? – dopytywałem.

– Uważaj, co i jak mówisz! – krzyknęła Ilona.

– Przecież mamy wolność słowa!

– Ale nie mowy nienawiści, ty rasisto!

I mnie zablokowała.

Wkurwiłem się, bo chciałem pogadać. Ale potem przypomniało mi się przysłowie powtarzane przez dziadka: kto na innych kładzie znaki, sam taki.

Na kilka godzin wyłączyłem smartfon. Posiedziałem z ojcem i matką w kuchni, posłuchałem, jak mówią, że stary już jestem, powinienem się ożenić, bo natury nie oszukam.

A potem wróciłem na Tindera. Bo gdzie indziej mogę dziś znaleźć swoją księżniczkę? Gdzie mogę o nią zawalczyć? Najpierw słowem, potem gestem?

Na pewno nie na lokalnej ogłoszeniowej podstronie Facebooka, czyli Spotted. Tu bezimienni wolni ziomale zamieniają się w chłopów pańsz-

czyźnianych. Oddają inicjatywę kobietom. Piszą na przykład:

Nie wiem już, jak zwrócić na siebie uwagę pięknej pani z Ziai w Kauflandzie! Poprosiłem już o numer telefonu, ale go nie dostałem. Nie znam nawet Pani imienia. Miała Pani dziś czerwoną szminkę. Proszę o docenienie moich starań i zostawienie lajka, komentarza, czegokolwiek.

Widziałem Cię koło Lidla i drugi raz, jak przechodziłaś przez pasy od strony szpitala. Przepuściłem Cię, zawołałem z samochodu, ale mnie olałaś. Chciałem pogadać o dresach, gdzie kupiłaś? Jeśli to czytasz, proszę zostaw w komentarzu serduszko.

Szukam prześlicznej szatynki, która była 30.08 w McDonald's (na os. K.) o godzinie 16.30. Miałaś ciemnozieloną bluzkę, byłaś z koleżanką, blondynką, później siedziałaś przy stoliku z czterema koleżankami i jednym chłopakiem. Twój numer zamówienia to 024.

Pozdrawiam prześliczną dziewczynę, która była wraz z koleżanką (31.08.2017 r.) na Festivalu Disco Polo&Dance w Tychach na stadionie. Miałaś jasną bluzkę i wielką czarną torebkę oraz chyba ciemne spodnie. Koleżanka, z którą przyszłaś, miała bordową bluzkę, okulary i aparat na zęby. Przez część koncertu staliśmy obok siebie, wymieniając się uśmiechami, później spotkaliśmy się na sektorze przy barze. Niestety, w pewnym momencie weszłaś w tłum pod sceną i zgubiłem Cię z pola widzenia. Odezwij się pod postem, zostaw like lub napisz do administratora.

Chłopak ubrany cały na niebiesko, chociaż powinnaś wiedzieć, o kogo chodzi.

PS *Dziewczyna, z którą przyszedłem, była tylko koleżanką, więc no…*

Takie wpisy w internecie są poniżej godności białego, heteroseksualnego chłopa.

Żywiciela. Soli ziemi. Tej ziemi.

Krzyś z Grindra

Z Krzysiem spotkaliśmy się w jednej z modnych warszawskich kawiarni przylegających do Centrum Bankowo-Finansowego, czyli dawnego Domu Partii.

– Jeszcze niedawno na parterze był salon sprzedaży Ferrari. Szkoda, że się zwinął. Lubiłem ich logo: czarny koń stojący na tylnych nogach. Symbol szczęścia – powiedział, bo przez telefon umówiliśmy się przecież na

rozmowę o szczęściu. Szczęście było mu potrzebne podczas umawiania się z chłopakami z Grindra, czyli apki dla gejów. Przychodzili do knajpki koło dawnego Domu Partii i tak jak on siadali przy stoliku.

– Miałem ich mono i stereo – mówi Krzysio, uśmiechając się. – Widziałem, kto i z jakiego punktu knajpy loguje się do apki. Mogłem przejść obok, porównać zdjęcie z życiem. A potem zaczepić. Na apce. Na przykład pisząc: „Akuku, pedale, spójrz przed siebie”.

Lubił ten moment zaskoczenia. Człowiek podnosił wzrok znad telefonu i patrzył na niego oczami jeszcze ciepłymi i zamglonymi od przewijania profili. Trochę tego ciepła – niezasłużenie – spływało na niego. Rozpływało się po całym ciele niczym orgazm. Który dostał ot tak, bez spełniania warunków, strojenia min, fochów. I przemocy.

Opowieść Krzysia

Czego nie lubię w byciu facetem? Tego, że nie można być kimś innym. Na przykład kobietą, dziewczynką albo po prostu dzieckiem. Facet musi wyszarpywać coś światu, walczyć, bezustannie udowadniać, że jest zwycięzcą.

A co, jeśli ja oczekuję od świata, że sam mi coś podaruje? Bez rozlewu krwi odda należny mi szacunek? Rozepnie parasol ochronny i opromieni chwałą za friko? Ale przede wszystkim uratuje przed wszystkimi, którzy mogą mnie zranić myślą, mową i uczynkiem?

Poza tym faceci są smutni, przegrani, nudni, tokują w kółko o tym samym. I są nieobecni wtedy, kiedy się ich najbardziej potrzebuje. Na przykład mój ojciec. Przedstawiciel pokolenia boomerów, którym do szczęścia wystarczało drugie albo trzecie miejsce. Nigdy najwyższe podium, bo – jak mawiał – szef idzie pierwszy na stracenie. Zastępca może zdążyć uciec.

Dlatego w czasach swojej chwały ojciec był zastępcą dyrektora zakładów drobiarskich, wicedyrektorem firmy przewozowej, wreszcie szefem rejsów międzynarodowych. Nie pamiętam go w glorii, bo szybko zaczął jeździć tirem. Z towarem po Europie. Wychodził rano, wracał po trzech tygodniach, był w domu przez weekend i znów wychodził rano, żeby wrócić po miesiącu. Zostawały po nim kupowane w Niemczech gumy rozpuszczalne Maoam (w papierku z zielonym ludkiem całującym truskawkę), kocie języczki Katzenzungen (w opakowaniu z pięcioma szaro-buro-brązowymi kotami), przywożone z Anglii batony Cadbury Double Decker (odwijałem je z fioletowo-żółto-pomarańczowego papierka), czarne, karbowane stożki szwedzkich cukierków (o niepokojącym, słodko-słonym smaku).

Pamiętam, że częstowałem nimi kuzyna. Był 10 lat starszy. Opiekował się mną, kiedy matka wychodziła do szpitala. Pracowała w rejestracji, na zmiany. Raz wychodziła na 6.00, raz na 12.00, ale nigdy nie wracała punktualnie. Zawsze musiała być – jak lubiła powtarzać – do ostatniego pacjenta.

Lubiła też powtarzać – szczególnie gdy marudziłem, płakałem albo coś mnie bolało – że po powrocie do domu chciałaby wreszcie odpocząć od roszczeń i pretensji. Kuzyn przychodził do mnie w krótkich spodenkach. Miał mocno owłosione nogi. Łydki mocniej. Górę ud słabiej. Dotykałem ich albo one mnie dotykały.

To był człowiek. Szukający do mnie dostępu. Człowiek dla mnie. Nie pamiętam rozmów z kuzynem (miałem wtedy trzy albo cztery lata), ale tę jego dostępność i słono-słodki smak. Nie wiem, dlaczego przestał przychodzić. Kiedyś matka wróciła przed ostatnim pacjentem i krzyknęła, żeby nigdy więcej jego noga u nas nie postała. Początkowo tęskniłem za dostępnością kuzyna, ale szybko mi przeszło. Może dlatego, że zacząłem chodzić do przedszkola, a panie przedszkolanki mnie faworyzowały?

Jedna z nich miała ojca chorego na cukrzycę i matka zawsze załatwiała jej skierowanie na szybsze badania, nową receptę czy konsultację przez telefon z zabieganym ordynatorem. Koledzy z grupy się jej bali, ale ja wiedziałem, że upiecze mi się, nawet jeśli nawalę w majty. Jeden z naszych nawalił i za karę musiał potem chodzić cały dzień bez majtek. Naciągał koszulkę na tyłek, ale i tak coś wystawało. A to kawałek brudnego tyłka, a to – jak mawiała mama – fifrak, siusiak, pisiorek. O tym, że pisiorek to penis, dowiedziałem się dużo później. Najpierw jednak musiałem przeżyć przedszkole i kawałek podstawówki, czyli etap, w którym o moim losie decydowały wyłącznie kobiety. W przedszkolu byłem zakładnikiem pracy matki. Panie mnie kochały, ale nasi, czyli chłopaki z grupy, nie chcieli się ze mną bawić. Mówili na mnie fujara. Albo pedał.

W podstawówce też (na szczęście razem z kolegami) byłem zakładnikiem kobiet.

W klasach 1–3 nasza wychowawczyni powtarzała: „Dziewczyny, pokażcie chłopakom, co to znaczy płynnie czytać!” albo „Małgonia, zademonstruj, proszę, Krzysiowi, jak pięknie narysowałaś szlaczek!”, albo „Dlaczego tylko dziewczynki nauczyły się wiersza na pamięć?!”.

Solidarnie nienawidziliśmy pani i dziewczyn, które pływały w systemie nauczania jak rybki welonki w szkolnym akwarium. W czwartej klasie było łatwiej. Znów dostałem coś za friko, bo nasza nowa wychowawczyni pamiętała moją świętej pamięci babcię, położną z lokalnego szpitala. „To była święta kobieta” – powiedziała mi kiedyś, ale nie rozwinęła wątku. Mama wyjaśniła, że babci zdarzało się kilka razy (za bombonierkę albo kopertę) przemycać noworodki, żeby trochę poleżały na matczynych piersiach czy brzuchach. Normalnie nikt się z nimi nie cackał. W PRL-u kobieta po porodzie trafiała do jednej sali, dziecko do drugiej. Tak musiało być. „Musiało boleć, aż do płaczu” – mówiła matka. „Babcia czasem opowiadała, jak pier-

woródki – przywiązywane do łóżek, żeby się nie rzucały – mdlały podczas zszywania krocza. Albo trzymając się ścian (w wielorazowych szpitalnych koszulach z rozcięciem do pępka wyglądały komicznie), lazły w stronę sal noworodków. Nie mogły wejść, więc pytały babcię – jak tam dziewiątka? A szóstka? Pani powie, co z jedynką? Czy to ona tak płacze?”.

Nie rozumiałem, dlaczego godziły się na te wielorazowe koszule z rozcięciem do pępka i dlaczego ich dzieci tuż po porodzie dostawały numer, a nie nazwisko rodziców. „Krzysiu, jako facet nie zrozumiesz, co to znaczy dać i utrzymać życie” – ucinała dyskusję matka. „Mężczyzna ma z tego samą przyjemność. Kobiecie zostaje cierpienie i obowiązki”.

Ojciec nadal jeździł z towarem po Europie. Zjeżdżał dwa razy w miesiącu. Mimo że miałem aparat na zębach (i większość kupowanych przez niego słodyczy była dostępna w naszych sklepach), przywoził mi czekoladki i słodko-słone szwedzkie cukierki. Jadłem je, choć przyklejały się do drutów.

W tamtych czasach ojciec był jeszcze do wytrzymania, ale widziałem, że odkleja się od świata. „Kiedyś to były czasy” – mówił, oglądając „Wiadomości” w TVP. „Ludzie szli do pracy, wracali po ośmiu godzinach do domu. Mieli to życie rodzinne i socjal. Nie to co teraz”. Albo denerwował się, oglądając program o sztuce, która nie szanuje symboli religijnych: „Nasi katolicy powinni brać przykład z muzułmanów! Muzułmanie mają swoje zasady! Tam nikt nawet by nie pomyślał, żeby w stringach iść do świątyni! Zobaczycie, Ruscy tylko czekają, żeby nas zmieść z planszy”. A potem walił pięścią w stół na wieść o podejrzanych kontaktach jakiegoś kandydata na posła.

Nie rozumiałem, dlaczego tak się irytują. Ojciec tymi wszystkimi wiadomościami, a matka tym, że ojciec, zamiast patrzeć na nią, patrzy na telewizor. Krzyczała na niego albo zamykała się z papierosem w kuchni. Ojciec

dopiero po godzinie, dwóch zauważał, że jej nie ma. Podrywał się z kanapy i biegł do kuchni. „Chodź tu, mój naburmuszeńcu” – mówił.

A potem wyjeżdżał w Europę z towarem.

– Mamo, ojciec jest przegrywem – powiedziałem kiedyś. – Cały czas pracuje i nic z tego nie ma. Nawet telefon ma stary, badziewny samsung z klapką.

– Krzysiu, nie waż się nigdy tak mówić o tacie! – krzyknęła. – Robi to dla ciebie, żebyś miał lepsze życie. Odkłada każdy grosz, żebyś kiedyś mógł wyjechać na studia za granicę!

– Ale po co? – zapytałem.

– Żebyś miał to, czego my nie mieliśmy! – krzyknęła matka. Nie miałem pojęcia, czego oni nie mieli. Nie rozumiałem, dlaczego matka dyrygowała: „Trzymaj łyżkę palcami, a nie w garści!”; „Jak wyjdziesz do ludzi, to cię wyśmieją!”; „Wychodzisz? Ubierz się jakoś. Co ludzie powiedzą?”.

Po co miałbym się starać? Życie społeczne mogę mieć w necie. Nie wychodząc z łóżka.

W realu zależało mi tylko na tym, żeby mieć łatwo dostępnego człowieka. Najlepiej w moim wieku, bo na powrót na stałe ojca albo przynajmniej kuzyna dawno przestałem czekać.

W drugiej klasie gimnazjum przeżyłem pierwszą fascynację drugim człowiekiem. Mariuszem. Jego rodzice przeprowadzili się ze wsi do naszego miasta. Postawili tu dom, rozkręcali interesy. Mariusz dołączył do naszej klasy i od razu znalazł grupkę znajomych.

Był wysoki, postawny, miał najnowszy model iPhone’a. Kiedy było ciepło, przychodził do szkoły w krótkich spodenkach. Nie miał owłosionych nóg, ale i tak miło było na nie popatrzeć. Matka dziwiła się, że siadam razem z nią do „Wiadomości” na TVP, a ja czekałem na prognozę pogody. Wiedziałem, że jeśli będzie ciepło, Mariusz przyjdzie do szkoły w szortach.

Ochłodzenie oznaczało, że – niestety – założy dresy. Obserwowałem go, jak na przerwach siłuje się z innymi chłopakami, zakłada im nelsona, powala na kolana. Marzyłem (to chyba znaczy, że już wtedy byłem gejem), że kiedyś usiądzie mi na kolanach. Co będziemy robić dalej, nie miałem pojęcia.

Na szczęście miałem już – jak Mariusz – najnowszy model iPhone'a. Wrzuciłem w Google hasło, co może robić mężczyzna z mężczyzną. W niespełna 0,46 sekundy wyskoczyło ponad 87 milionów stron. Niestety, większość to wypisane w punktach porady dla kobiet, co robić, aby mieć w domu szczęśliwego mężczyznę (*Pięć sposobów, aby zaspokoić go w łóżku*; *10 faktów o męskim orgazmie*; *20 tipów, jak go zniewolić i zatrzymać*). Wreszcie, metodą prób i błędów, trafiłem na Pornhub, reklamowany jako najlepsza na świecie witryna z darmową pornografią.

Na Pornhubie obejrzałem, na co mężczyzna może liczyć w obcowaniu z innym mężczyzną: kontakt oralno-analny techniką płatka róży (lizanie odbytu), wspólne używanie wibratora, *docking* (kontakt penis–penis), *water sports* (wzajemne obsikiwanie się), *fist fucking* (wprowadzanie dłoni i pięści do odbytu). Nie byłem w stanie wyobrazić sobie, że robię to Mariuszowi albo Mariusz mnie. Przydałoby się do tego jakieś przeszkolenie, ale nigdy nie chodziłem na lekcje z wychowania do życia w rodzinie (były dobrowolne i matka mnie nie zapisała). Poza tym z tego, co widziałem w spisie treści, nie było na nich ani słowa o homusiach albo przynajmniej biseksach.

Dlatego zapisałem się na fellow.pl – stronę randkową dla gejów. Miałem 16 lat. W regulaminie było wprawdzie napisane, że trzeba mieć 18 lat, ale nie wierzyłem, że ktokolwiek mnie sprawdzi. Facebook jest od 13. roku życia, a logują się na nim już kumate siedmiolatki.

Na pierwszą randkę z fellow.pl umówiłem się z dwudziestopięcioletnim celnikiem z Ciechanowa. Prosił, żebym dojechał pociągiem. Dojechałem. Czekał na dworcu w zielonej, wojskowej pałatce z kapturem. Lało i było

zimno. Wsiedliśmy do jego samochodu i pojechaliśmy gdzieś w pole. Masturbował mnie, a ja jego, ale w pewnym momencie powiedział, że mu to nie wystarcza. Było mi niewygodnie, ciasno i chciałem wracać do domu. Niestety, zmusił mnie do penetracji. Puste to było i mechaniczne. Na szczęście z prezerwatywą, chociaż – dziś to wiem – powinien użyć jej wersji do seksu analnego, nawilżanej, albo przynajmniej lubrykantu. Wracałem do domu tak, jak przyjechałem, czyli pociągiem. Nie powiem, łezka żalu z powodu takiej utraty dziewictwa poleciała. Albo nawet dwie. Czy myślałem, żeby zgłosić to na policję?

A co miałem powiedzieć? Że podczas randki z fellow.pl zgwałcił mnie celnik z Ciechanowa? Słyszałaś kiedyś o mężczyznach, którzy zgłaszają gwałt albo molestowanie? O gejach? Heterykach? Transach? Widziałaś jakiś film na Netfliksie albo HBO o facecie, który dostaje tabletkę gwałtu? Wyobrażasz sobie kampanię społeczną w obronie mężczyzn wykorzystywanych seksualnie w domu, pracy, na uczelni? Nie? No widzisz.

Seksualne wykorzystanie jest zarezerwowane dla kobiet albo, w ostateczności, transek. Tylko one – jak mawiała matka: do ostatniej pacjentki – mogą być ofiarami. Dzisiejsi faceci muszą – padając na kolana, bijąc się w piersi i szepcząc: *me too* – przepraszać za wszystkie lata wydzielania kobietom rozkoszy. Na rzecz obowiązków i cierpienia.

Mariusz nigdy nie usiadł mi na kolanach. Pod koniec gimnazjum poszliśmy całą klasą na piwo. Komary cięły, więc założył dresy Nike. Pił Perłę. Ja wypiłem duszkiem Żywca. „Szacun, Krzysiu” – powiedział, klepiąc mnie po plecach. To był nasz pierwszy i jedyny kontakt.

Kilka dni później ojciec przestał odbierać telefony. Był z towarem we Włoszech. Matka wydzwaniała do jego pracodawcy, ale nie odbierał telefonów. Oddzwonił dopiero po SMS-ach straszących policją. W ostatniej chwili wysłany przez niego kierowca odnalazł ojca na parkingu. Okradzio-

nego, z rozbitą głową, umierającego. Całe oszczędności poszły na sprowadzenie ojca z Włoch, leczenie, wreszcie trwającą wiele lat batalię sądową z pracodawcą. O odszkodowanie i rentę.

Wiedziałem, że nici z mojego kształcenia za granicą i nie było mi z tego powodu żal. Bo co za tą granicą mógłbym znaleźć, czego nie ma u nas albo czego nie mogę znaleźć w internecie? Hej, boomer, uwierz wreszcie: hasło „żyję w Polsce” nie ma dziś znaczenia. Polska może być tam, gdzie masz zasięg wi-fi. Na Alasce, w Kanadzie, pod kołem podbiegunowym możesz złapać kogoś z podobnymi parametrami. Czyli: rodaka. Naród to kwestia umowna. Dla jednego to może być fanpage na FB z kilkoma tysiącami lajków, dla innego piosenka Bedoesa i Lanka *Mam to we krwi* z refrenem: „Jestem dumny, że jestem Polakiem, nie przeszkadza mi chłopak z chłopakiem”.

Wykształcenie to również kwestia właściwego ustawienia algorytmu, ale ja pod tym względem jestem starej daty. Uważam, że studia są potrzebne, żeby wyjechać z domu i spróbować życia na własną rękę.

Najpierw jednak dostałem się do dobrego liceum. Uczyłem się tyle, żeby zdać z klasy do klasy. Wiedziałem, że i tak o mojej przyszłości, czyli zaplanowanych studiach w Poznaniu, zadecyduje liczba punktów z matury. I tak było – na przykład z polskiego, który z klasy do klasy zdawałem na trójе, zdobyłem 100 procent możliwych punktów. Z pozostałych przedmiotów również uzyskałem większość albo prawie wszystko, co było do zdobycia. Skupiłem się na systemie, a nie treści.

Ale wcześniej, przez całe liceum, zamiast się uczyć, myślałem tylko o sobie. Zastanawiałem się, kim jestem, bo zewsząd atakowały mnie komunikaty: Bądź sobą! Oryginał jest więcej wart niż kopia! Bądź najlepszą wersją siebie! Ojciec, po stracie pracy i przejściu na rentę, stał się najgorszą wersją siebie. Siedział w domu. Palił papierosy. Wyciągał z szafki alkohol.

Zjadał stare batony, szwedzkie cukierki i ciastka. Matka, na starość też najgorsza wersja siebie, jazgotała nad nim: „Nie pal, nie pij, nie jedz, rusz się, dbaj o siebie, człowieku, bo wyjedziesz z tego domu nogami do przodu”.

Nie byli mi już do niczego potrzebni. Do odkrywania, kim jestem, wystarczała mi apka randkowa dla gejów, Grindr. Dzięki niej poznałem trzydziestopięcioletniego nauczyciela geografii z Pucka. Przyjeżdżał do mnie pociągiem. Był delikatny, pozwalał siadać sobie na kolanach. Nie nalegał na penetrację.

Niestety nie podobał mi się tak bardzo jak czterdziestoletni pracownik biurowy z Niska. Na pierwszą randkę umówiliśmy się u niego w domu. Odebrał mnie z dworca. Wiedział, że mam hopla na punkcie nóg. Była zima, ale przyjechał po mnie w krótkich spodenkach i sandałach. Pisałem potem do niego: „Masz taką łatwość uszczęśliwiania. Może uszczęśliwiałbyś mnie częściej?”.

W pewnym momencie przestał odpisywać. Może nakryła go żona? Może syn (w moim wieku) wrócił ze studiów za granicą? Może przestraszył się Boga albo kolega z biura, stary PiS-owiec, postraszył donosem? W Nisku pewnie niełatwo o pracę.

Na razie do szczęścia wystarcza mi system. Bywają dni, że mam kilku rozmówców na czacie Grindra. Bywa też, że apka milknie, aby po trzech, czterech dniach zasypywać mnie wiadomościami. Wiem, że gadam z algorytmem, ale mimo to jestem szczęśliwy, że coś albo ktoś ma mnie w pamięci.

Pytasz o studia? Dziękuję. Studiuję na trzecim roku matematyki. Mam stypendia naukowe i socjalne. Mieszkam w akademiku, w pokoju dwuosobowym. Mam szczęście do Ukraińców. W tym roku mam studenta socjologii. W ubiegłym mieszkał ze mną chłopak z okolic Odessy.

Ciągle oglądał coś na laptopie i bez słuchawek, gadał głośno przez smartfon z „mamaszą” i „diadją”. Chciałem mu zwrócić uwagę, ale nie wiedziałem, w jaki sposób. Po pół roku napisałem mail do rady mieszkańców i kierownika akademika. Niech oni się tym zajmą. Nie jestem tu, żeby narażać się na nieprzyjemności typu roszczenia, pretensje albo próby negocjacji.

Poza tym nie umiem rozmawiać z obcymi.

---

[1] tryndać się (gw. lwow.) – przenosić się (przyp. aut.).

[2] UNRRA, United Nations Relief and Rehabilitation Administration (pol. Administracja Narodów Zjednoczonych do spraw Pomocy i Odbudowy) – organizacja międzynarodowa utworzona w Waszyngtonie w 1943 roku, niosąca pomoc państwom zniszczonym w trakcie II wojny światowej między innymi w postaci darmowych paczek z żywnością, lekami czy odzieżą. Potocznie, pieszczotliwie nazywana „Ciocią Unrą” (przyp. red.).

[3] Film dla drugiej zmiany – w PRL-u poranna emisja wieczornego filmu w TVP. Po filmie „dla drugiej zmiany” była przerwa w emisji – do 15.30 w programie 1 i do 16.00 w programie 2. Innych programów w PRL-owskiej telewizji nie było (przyp. aut.).

CZĘŚĆ DRUGA
IDOLE

Podjeżdżam na blok w nowej furze
Jakoś rok już nie jeżdżę autobusem, bo już nie muszę
Nie wiem, ile kosztuje Twój koks, piję sobie sok w nowej furze
Nie wiem, bo już nie muszę
Ale szanuję tych, co tak jak ja nic nie mieli, to moi ludzie
I w chuju mam, w jakiej kto chodzi bluzie
Gonię marzenia, nie mogą mi uciec (to co)
Kto stoi w budzie, gdzie moje mordy, kto stoi w budzie
Ja piszę teksty, a ziomy maturę
A technika jakbym był po polibudzie
Jestem hardkorem!
Tak tutaj gadał co drugi
Miałeś tu wejść, ale „nie weszłeś”
Nie jesteś w Hollywoodzie
Mój pies ma na imię Gustaw
Czemu tak z dupy to wplatam w te wersy?
Bo mój pies ma na imię Gustaw
I nawet on bywa od ciebie mądrzejszy
W swojej galerii trzymałem jedynie obrazy nędzy
Schowaj swój towar i teksty
Schowaj swój towar, jedź zobaczyć Meksyk
Moje ziomy pchały Marię
Dzisiaj Maria, jak chce być pchana, to dzwoni
Gram to dla dobrych dzieciaków

Ze średnich, bogatych i biednych rodzin
Nie chcę twojego towaru ani twoich propsów
Chuj mnie obchodzisz
Wpadłem tutaj zagrać koncert
Najlepszy w Polsce, tak to się robi! […]
Pisze o mnie każdy polski hip-hopowy portal
Gada o mnie twoja dupa, koleżanka, kolega i twoja siostra
Czas obudzić ten kraj, a ja i tak, skurwiele, dałem wam pospać
Twój idol może mi (Coo?!)
Twój idol to zwykły prostak
Pokaż mi drugiego chuja w tym wieku z lepszymi wersami od Borka
Mam miasta i sceny, czarno na białym jak Marta Linkiewicz
Wszędzie nas znają, więc wszędzie wejdziemy
SB *litery jak semper fidelis*
Nic nie jest za darmo, by ujrzeć ocean, musiałem przepłynąć to szambo
Moja ex dzwoni, nie mogę odebrać, jestem na randce z karmą
Dawaj papier tu, jak chcesz beefu, typie, no to KPW
Ale po co ci to? Ale po co, cipo? Miałbyś większe szanse gdzieś na KSW
Ach! Ale chuj! Znowu gdzieś pluje się ćpunek
Włóż rękę w ul, to jej nie wyjmiesz, nie jesteś królem Arturem
Mój menago wie wszystko, mój menago wie, kiedy i gdzie
Mój menago mi mówił, że ostatnio mówiłeś brzydko, psie
Od zawsze robiłem hip-hop, jak było hejtów siedem, siedemnaście czy siedemdziesiąt
I będę robił, choćbym miał milion!

Bedoes, *Gustaw*

(ponad 26 milionów wyświetleń na YouTubie)

Selfie z Wojtkiem Golą

Stoimy przy DoubleTree by Hilton, kiedyś budynku Wytwórni Filmów Fabularnych w Łodzi. Trzynastoletni Darek instruuje ojca:

– Podbiegnę, jak tylko który wyjdzie. Stanę obok, podniosę do góry dwa palce, a ty filmuj i rób zdjęcia.

– Dobra, synek – mówi ojciec. Na co dzień pracuje jako fryzjer damsko-męski, dziś urwał się ze zmiany, żeby być operatorem Darka. Szef kręcił nosem, ale zmienił nastawienie, kiedy ojciec powiedział, że chodzi o Fame MMA. Ściśle rzecz biorąc, o realizację marzeń syna o dotknięciu najpotężniejszych polskich wojowników internetu: byłego doradcy klienta, dziś youtubera i rapera Don Kasja, rapera Popka, kiedyś kontrowersyjnego Króla Albanii, teraz nazywanego Popusiem, Marcina Najmana, ongiś boksera, dziś komentatora TVP czy showmana El Tosta (od El Testosteron). Zresztą nie o samo dotknięcie idzie, ale o wykorzystanie zdjęć z gladiatorami do zwiększenia zasięgów na YouTubie. Kanał Darka raczkuje i nazywa się: Po prostu DAREK. Dzięki gladiatorom dostanie szansę na poważniejszą nazwę: Ten DARIUSZ, obrośnie milionami lajków i subów.

Wiadomo: *no name*, *no fame*. I *no money*, bo *fame* przekłada się na pieniądze, na przykład z reklam.

– A chyba nie ma dziś rodzica, który nie chciałby takiej kariery dla syna – mówi ojciec.

– Tata, filmuj, idzie Don Kasjo z dziewczyną! – przerywa Darek, wciskając ojcu iPhone’a. – Potem robimy Popusia, złapiemy go na fajce przed hotelem!

Ojciec podbiega. Łapie. Pstryka. Nagrywa iPhone’em kolejnych wojowników zmierzających do walki w oktagonie, czyli klatce ustawionej

w byłej Wytwórni Filmów Fabularnych w Łodzi.

Wraz z nimi – co widać po lajkach na ich Insta – idą miliony fanów, od kilku tygodni karmionych filmikami z przygotowań do walki, zdjęciami umięśnionych brzuchów i bicepsów. I zapewnień, że są tak wytrenowani (przez zawodowców z MMA, trenerów boksu czy judo), że jednym palcem powalą przeciwnika, konkurencyjnego youtubera, patostreamera czy innego oponenta, którego trzeba wyjaśnić celnym ciosem. Za moment będą się bić. Wcześniej, na zorganizowanych przez szefów Fame MMA internetowych konferencjach (średnio dwa miliony wyświetleń na YouTubie), uprawiali *trash talk*, czyli walczyli słowem.

– Ty naczelny farmazoniarzu polskiego YouTube’a, ubiję cię jak kotleta!

– Ty szczochu do szczania, bić to ty możesz konia! W oktagonie będą szachy!

– Dla mnie ty jesteś pizdeczka mała, liść, leszczyna na wietrze.

– A ty przeciera[4] przed walką z prawdziwym fajterem!

– Ciężkie czasy dla facetów, trzeba być mocnym w gębie i umieć się bić – mówi ojciec Darka w przerwie między kolejnymi ujęciami. – Niech chłopak popatrzy, jak atakować i jak się bronić. – Najchętniej sam pokazałby to Darkowi, ale syn nie chce go słuchać. – Nie chce się nawet ze mną bawić – dodaje. – Ja w jego wieku zbierałem kapsle po oranżadzie. Najpierw wyklejałem je plasteliną, na którą szły wycięte z gazet kolorowe flagi państw. Potem razem z chłopakami znajdowaliśmy miejsce na tor wyścigowy. W kapsle najlepiej grało się na asfalcie albo na chodniku, więc tam rysowaliśmy trasę wyścigu. Wygrywał ten, który pierwszy – pstrykając palcami w kapsel – dotarł do mety. Modliliśmy się, żeby nie padało, bo deszcz zamazywał trasę. Chciałem to powtórzyć z Darkiem, ale nie rozumiał po co.

Zaczyna padać. Pod daszkiem hotelu zbierają się chłopaki z bloków na Bałutach, w których – na przełomie wieków – Irena i Jerzy Morawscy nakręcili dla TVP paradokumentalną *Balladę o lekkim zabarwieniu erotycznym*. Pierwszy w wolnej Polsce skandalizujący serial o raczkującym polskim seksbiznesie, z właścicielem szemranej agencji modelek, Czarkiem Mończykiem, w roli głównej. Co niedzielę Polacy całymi rodzinami zasiadali przed telewizorami, żeby zobaczyć, jak Mończyk w pokoju z podniszczoną kanapą i rurą do tańca werbuje dziewczyny do obwoźnych walk w kisielu, pokazów sadomaso z pejczami, kajdankami i skórzaną bielizną.

Co niedzielę Polacy, szczególnie ci z wyższym wykształceniem zdobytym w PRL-u, przekonywali się, że w TVP kończą się czasy kultury wysokiej. Na rzecz upodobań mas, których głos staje się tak samo ważny, jak kiedyś głosowanie delegatów na zjazdy KC PZPR.

– Czarek Mończyk? Wiadomka, nasz ziomek. Brachol. Wujas z naszego osiedla – mówią dziś chłopaki z Bałut.

– A wiecie, że niedaleko bloku Mończyka Andrzej Wajda kręcił *Ziemię obiecaną*? – dopytuję.

– Wajda? Jaki ma kanał? – odpowiadają pytaniem i błyskawicznie tracą zainteresowanie, bo przed hotel wychodzi reżyser *Pitbulla* i *Kobiet mafii*, Patryk Vega.

W ślad za nim podąża włodarz Fame MMA, Wojciech Gola, youtuber, instacelebryta, gwiazdor *Warsaw Shore* – reality show emitowanego na antenie MTV Polska, w którym nie było lekkiego zabarwienia erotycznego, tylko ostry seks, picie i bitki. Siedem lat temu, po zakończeniu pierwszego sezonu *Warsaw Shore*, umówiłam się z Wojtkiem w poznańskim centrum handlowym połączonym z dworcem PKP.

Przyszedł punktualnie. Szczupły, wysoki, gładko ogolony, w dżinsach i bawełnianej podkoszulce. Wtedy wyglądał jak przeciętny dwudziestola-

tek.

Nie szła za nim potężna grupa followersów (dziś na Instagramie ma około miliona obserwujących). Kończył pierwszy sezon programu z umiarkowanym fejmem. Był spokojny, miły dla kobiet, nie szpachlował w programie (tak wtedy nazywano seks) jak mistrz melanżu i rekordzista (osiem stosunków płciowych w show), student Paweł Cattaneo.

Managerowie klubów zapraszali Wojtka na rozkręcanie imprez, ale nie był tak dobry jak inny uczestnik show – Trybson. Na co dzień ochroniarz z Sosnowca.

Nikt nie nagrywał z jego powiedzonkami piosenek, które rozkręcały gruby melanż. Na przykład takiej, siedem lat temu przebojowej, a dziś zapomnianej: „Krzycz moje imię głośniej, wiem, że masz na mnie chęć. Chcę z tobą niezłe szpachlowanie mieć!”.

Wojtek, wtedy właściciel firmy produkującej teledyski, rozmawiał ze mną o ojcu. Jak się dowiedziałam, zmarł nagle. Wojtek bardzo go kochał i nigdy się z jego śmiercią nie pogodził. „Zrobię wszystko, proszę pani – powiedział mi wtedy – żeby tata był ze mnie dumny. I żeby mama i siostra nigdy nie musiały się za mnie wstydzić”.

Umówiliśmy się na spotkanie za siedem lat.

Oboje nie mieliśmy pojęcia, że program o imprezach, piciu i szpachlowaniu (nazywanym przez kolejnych uczestników show po prostu ruchaniem) nie dość, że utrzyma się tak długo, to jeszcze osiągnie międzynarodową sławę, gdyż kilkanaście krajów kupi prawa do pokazywania go u siebie. Biedząc się przy tym nad uwzględnieniem różnic kulturowych. Na przykład puszczając *Warsaw Shore* w niemieckiej wersji MTV, trzeba było wyjaśnić, że *Füllung*, czyli szpachlowanie, to po polsku seks. A *Gans*, czyli gąska, to dziewczyna chętna do szpachlowania.

Ale to w pierwszych sezonach. W kolejnych, kiedy do show zaproszono na przykład imprezowicza z Węgier, wszyscy zaczęli posługiwać się językiem angielskim. A w nim szpachlowanie czy swojskie ruchanie zastąpił po prostu seks.

Wojciech, którego spotkałam siedem lat później, nie przypominał Wojtka Goli. Umówiliśmy się niedługo przed kolejną edycją gali Fame MMA w poznańskim klubie sushi. Na rogu ulicy zostawił swojego forda mustanga z rejestracją P1GOLA. Starannie ostrzyżony, z modnie wycieniowaną brodą, spryskany perfumami Paco Rabanne Invictus, w białej koszuli, obcisłych spodniach i mokasynach Louis Vuitton. Kiedy zamawiał rolkę z łososiem, pod oknem klubu ustawiła się grupa chłopaków. Jadł oświetlany błyskiem ich smartfonów. I okrzykami: „WG – to inicjały Goli – wyjdź do nas!”.

Nie zrobiłam sobie z nim selfie, ale dla urodzonych po 1989 roku fotka z Wojtkiem Golą jest wiele warta. Może stać się przepustką do zdobycia sławy i pieniędzy.

Siedem lat po pierwszym sezonie *Warsaw Shore* pytam, dlaczego właśnie on, a nie Paweł Cattaneo czy Trybson, dotarł do dziewiątej edycji show, a potem z sukcesem finansowym rozbujał Freak Fight Fame MMA?

Show oglądany głównie przez internet, bo nawet najbardziej pojemna hala sportowa nie pomieści ponad miliona widzów, a tyle ma przeciętnie jedna gala. Najtańszy internetowy bilet kosztuje 19,90 zł. Łatwo sobie wyobrazić, ile zarabiają organizatorzy.

Dlaczego właśnie on wpadł na ten genialny w swojej prostocie pomysł? Wojciech dyskretnie dotyka palcem czoła: czasem przydaje się znajomość mediów. Młodzi płyną tam, gdzie emocje. Wcześniej do telewizji, a dziś – do internetu, social mediów. Youtuberzy, tiktokerzy i gracze z Twitcha przyzwyczaili ich do krótkich form i dużych emocji. I do własnego terytorium

gier i zainteresowań, które jedni mogą nazywać ekipą, inni klanem albo gangiem, bo wierzą we wspólnotę klików. Walcząc w Fame MMA z przedstawicielem innego gangu, dają widzom unikalną szansę przeżycia w krótkim czasie uwielbienia, nienawiści, podziwu, zazdrości, radości albo rozpaczy. A wszystko na żywo, bez montażu i spojlerów.

Za moment porozmawiam z najsłynniejszymi internetowymi gladiatorami. Na razie jednak wracam pod DoubleTree by Hilton.

Rodzice chłopaków z Bałut oglądali w TVP przygody dziewczyn Czarka Mończyka. Ich synowie nie potrzebują już telewizji, by zaglądać na mroczną stronę życia.

Całego Vegę, 14 sezonów *Warsaw Shore* i własne terytorium gier mają na wyciągnięcie ręki. W telefonie.

Za godzinę zobaczą krew gladiatorów. Teraz jednak biegną w stronę kolejnych gwiazd reality show i YouTube'a, a ja idę do oktagonu, w którym fajterzy internetu skrzyżują rękawice. Mam szczęście, bo do niewielkiej hali byłej Wytwórni Filmów Fabularnych wejdzie tylko kilkadziesiąt osób. Milionom fanów zostanie płatny, internetowy dostęp do walk.

Siadam niedaleko klatki, nad którą góruje potężne ramię ruchomej kamery. Andrzej Wajda, który ponad 60 lat temu kręcił tu *Kanał*, mógł o takim sprzęcie jedynie pomarzyć. Ale we wrześniu 2020 roku nikt w DoubleTree by Hilton nie kojarzy słowa kanał ze słynnym filmem o Powstaniu Warszawskim. Kanał to własny kawałek YouTube'a, rury do wciągania widzów i zarabiania na ich zainteresowaniu, czyli lajkach, subach i wyświetleniach. Zakazane piosenki (kręcone w WFF w Łodzi w 1945 roku) też kojarzą się tu tylko z raperem o ksywie Kartky, który na płycie *Zakazane piosenki*, w utworze *Obliviate* (*obliviate* to zaklęcie zapomnienia z *Harry'ego Pottera*), śpiewa:

Daj mi zapomnieć miłość za lajki
Każdego dnia od nowa samotnie zaczynam dzień
Wsadź ich gry gdzieś pomiędzy bajki
Gubię cię gdzieś w trasie jak czapki, a więc pierdol się
Daj mi zapomnieć miłość za lajki.

Jednak w zapowiedziach walk gigantów YouTube'a wybrzmiewa tęsknota za miłością tłumów. Zasłużoną bohaterskim czynem. Tyle że w DoubleTree by Hilton bohaterskim czynem jest wygranie gali PunchDown – transmitowanych w internecie mistrzostw w biciu po twarzy. Zorganizował je, podobnie jak Fame MMA, były uczestnik *Warsaw Shore*.

Bohaterskim wojownikiem jest też Paweł „Tybori" Tyburski. Na sławę gladiatora zasłużył uczestnictwem w reality show *Love Island*. Dziś wychodzi do klatki przy dźwiękach piosenki *Trudy przynoszą zaszczyty* rapera Ostrego. Wojownikiem jest też Marcin Najman, bokser znany z dziesiątków internetowych memów wyśmiewających jego przegrane walki. Za moment wejdzie do klatki przy heavymetalowym utworze szwedzkiego zespołu Sabaton pod tytułem *40:1*, o przegranej we wrześniu 1939 bitwie Polaków z Niemcami pod Wizną.

Przegrana w nierównej walce leży u podstaw kariery innego półboga internetu, Maksymiliana „Wiewióra" Wiewiórki. Wcześniej był uczestnikiem internetowej podróbki *Warsaw Shore*, czyli *YouTube Shore* – streamu, w którym grupka dwudziestoparolatków za donejty wykonuje polecenia oglądających. Do pierwszego Fame MMA zgłosił się na ochotnika. I od razu stanął do walki z 40 kilogramów cięższym i silniejszym zawodnikiem. Walkę przegrał, ale zyskał szacun ziomali, czyli prawie 200 tysięcy obserwujących na Instagramie.

Dziś jego wyjście do oktagonu poprzedzi utwór rapera i – jak sam o sobie mówi – słowianofila, Donatana:

Polska powstań, zaborów i licznych upokorzeń.
W ’45 sen się ziścił, powiedz z dumą to,
że kiedy zetną słowiańskie drzewo, wyrośnie jutro nowe.
Aby nas zniszczyć, musieliby najpierw uciąć korzeń.

– Rap, YouTube i Fame MMA dają chłopakom nadzieję, że nawet jeśli przegrają, byle w pięknym stylu, w przyszłości mogą zostać potęgą – powie mi kilka tygodni później Puszbarber, dwudziestoletni fryzjer samouk, który strzygł zawodników Fame MMA 7. Jego ojciec – można powiedzieć – przegrał, bo nie spotyka się z synem. Pusz został z matką, z pochodzenia Ukrainką, i do wszystkiego musiał dojść sam. Chodził do technikum gastronomicznego, ale czuł, że to nie jego droga. Chciał, jak Adam „Nergal” Darski z heavymetalowego Behemotha, zostać właścicielem sieci salonów fryzjerskich dla mężczyzn. Być królem barberów w Polsce. Najpierw uczył się strzyżenia z filmów na YouTubie. Potem wyjechał do Anglii, gdzie za półdarmo golił i strzygł emigrantów z Kurdystanu, Iraku, Turcji. Robił wszystko, co kazał szef, muzułmanin. Zarabiał grosze, ale miał cel: nauczyć się tajników najmodniejszego stylu amerykańskiego, polegającego na delikatnym cieniowaniu i jednocześnie mocnym zaznaczaniu konturów fryzury i zarostu. W dużym skrócie: fechtunku maszynką i brzytwą.

Przez rok robił u obcego. Potem wrócił do Polski. Zjechał do Warszawy, znalazł pracę, ostrzygł jednego z gladiatorów internetu i zyskał aprobatę włodarzy Fame MMA, którzy zlecili mu strzyżenie pozostałych bohaterów freak fightów. Jego kawałek internetu – była zima – leżał odłogiem. Dodał raz na jakiś czas zdjęcie, kogoś polubił, komuś dał suba. Wszystko ruszyło wiosną, kiedy zaczął wrzucać zdjęcia i filmiki ze strzyżenia największych.

Modnie wycieniowani gladiatorzy posłusznie nadstawiali głowy, a potem oznaczali go w swoich InstaStories. Pojawił się we właściwym miejscu. I o właściwej porze, bo po Fame MMA trafił na kilka dni do willi wynajmowanej przez jedną z youtubowych ekip. Miał szczęście, bo wcześniej połączona chęcią zwiększenia zasięgów (przez połączenie liczby obserwujących) przeżywała kryzys wizerunkowy związany z tragiczną śmiercią psa członkini ekipy i pomówieniami frontmana o molestowanie nastolatek.

Puszbarber posiedział w willi kilka dni, a potem opowiedział na swoim kanale, co w niej zobaczył. Posypały się suby. Przez niespełna miesiąc jego film został wyświetlony 199 tysięcy razy. To więcej niż *Kanał* Wajdy i *Zakazane piosenki* udostępnione za darmo na jednej z platform. Jego kawałek YouTube'a, dobrze uprawiany, dał obfity plon.

– Zaczynałem z kilkoma obserwującymi na Insta, po kilku miesiącach mam ich prawie 50 tysięcy – mówi Puszbarber. – Jeśli dobiję do 100 tysięcy, będę mógł żyć z reklam, szkoleń, a strzyżeniem zajmować się czysto hobbystycznie. YouTube i Fame MMA faktycznie dają chłopcom nadzieję na potęgę. Ale czasami też – o czym piszą fani potężnych youtuberów – pomagają przeżyć. Szerząc swoimi kanałami opowieść o współczesnym męstwie.

Amadeusz „NoLove Ferrari" Roślik

Warszawskie Złote Tarasy są jak papierek lakmusowy fejmu. Reakcje kupujących i podróżnych czekających na pociąg wskazują, czy ktoś jest na tyle znany, żeby poprosić go o selfie. Dwa dni po Fame MMA 7 nie mam wątpliwości, że Amadeusz „NoLove Ferrari" Roślik jest gwiazdą polskiego internetu.

Jego blasku nie gasi nawet opuchnięty nos, podbite oko i to, że akurat dziś Amadeusz jest w nastroju nieprzysiadalnym.

– Nie lubię, kiedy ktoś mnie podgląda. I podsłuchuje – mówi. – Tracę wtedy myśl, a dziś chcę być szczery aż do bólu. Tak jak ten kawałek. Utożsamiam się z nim – dodaje, puszczając na iPhonie teledysk do utworu Eminema i 2Paca, przy którym wychodził do oktagonu walczyć z Adrianem Polakiem.

– To Ivar the Boneless – mówi. – Wódz Wikingów z serialu Netflixa. Kaleki wojownik, który w tej scenie igra ze śmiercią. I wygrywa.

W wolnym tłumaczeniu z angielskiego utwór Eminema i 2Paca brzmi tak:

Nie znasz mnie
Nie możesz mnie zabić
Nie wiesz, kim jestem
Jestem Ivar Bez Kości
Jestem Ivar Bez Kości
Nie możesz mnie zabić
Sam umrzesz jak tchórz
Jestem tu sam, nie potrzebuję ziomków
Wychodzę na spotkanie
I oto jesteśmy: tylko ty i ja
Nigdy się nie spotkaliśmy, ale znasz mnie, uwierz
Podejdź bliżej, lękliwa suko
A teraz podnieś mnie i rzuć
Podnieś i zatrzymaj
Nie chcesz? Jesteś żałosny
Zobaczysz, zniszczę ciebie i twoich ziomków
Nie będę jadł, spał i oddychał, dopóki nie zobaczę was w ziemi

[…]
Może i jestem szalony, ale to tylko część gry
Żyję szybko, umrę młodo
Pochowaj mnie z moim mieczem
[…]
Wiem, że każdy ma swój czas i każdy się kiedyś skończy
Spoczniemy wreszcie w spokoju, ze swoimi ziomkami
Ale zanim pójdziemy do ziemi
Wylejmy na nią trochę wódki
[…]
Ale jest jeszcze czas, więc pomyśl
Możesz nie być jak wszyscy
Zostań nieprzewidywalny
Mądrze użyj swojego gniewu
A wtedy, obiecuję ci, mój synu
Że pewnego dnia cały świat się o tobie dowie
I będzie się bał Ivara Bez Kości.

Opowieść Amadeusza „NoLove Ferrari” Roślika

Mam 24 lata. Kiedyś wierzyłem w miłość i honor. Dziś wierzę tylko w siebie. Honor to moje ego. Co do miłości, to nie dam już kobiecie wejść sobie na głowę. Ale po kolei.

Urodziłem się w Ustce. Jestem jedynakiem. Moi rodzice poznali się, kiedy mieli po 15 lat. Przeszli razem przez komunę i wczesny kapitalizm. Skorzystali na przełomie 1989 roku. Ojciec rozwinął własny biznes. Szło mu tak dobrze, że mama nie musiała pracować. Mogła zostać ze mną w domu, zajmować się moim wychowaniem i tylko czasem pomagać ojcu

w prowadzeniu interesów. Tajemnica sukcesu ojca? Wcześniejsze sukcesy w sporcie. Hart ducha i ciała. Zawsze wiedział, co chce robić, a jeśli masz w życiu cel i orientację w terenie, zawsze tam dotrzesz. Człowiek jest jak statek na morzu. Bez mapy nie dopłynie do portu.

Nasz port to było dobre, wygodne życie. Dwustumetrowe mieszkanie w apartamentowcu w centrum Ustki. Na dole były sklepy i biura. Na górze mieszkali tacy jak my, beneficjenci zmian społeczno-politycznych, którym się powiodło, bo mieli fart albo pomysł. Ojciec miał fart, pomysł, samozaparcie, pracowitość i poczucie odpowiedzialności za pracowników. Bywał w domu raz w tygodniu. Odpoczywał, podróżując. Trzy, cztery razy w roku wyjeżdżaliśmy za granicę. Na samej Dominikanie byłem z siedem razy.

Dla moich rówieśników z Ustki takie życie było nieosiągalne. Ich rodziców nie było stać na markowe, modne ciuchy z Galerii Jantar w Słupsku. W większości pochodzili z wielodzietnych rodzin, a ja byłem rodzynkiem dla rodziców, dwu babć i dziadka. Oni mogli słyszeć: „Jesteś nikim”. Ja zawsze słyszałem: „Amadeusz, jesteś najlepszy! Nigdy nie daj sobie wmówić, że jesteś od kogoś gorszy! Świat należy do ciebie, a nie ty do świata! Urodziłeś się w wolnym kraju, w którym dokonasz wielkich rzeczy”.

Wierzyłem w to. Kochałem siebie. Patrzyłem godzinami w lustro i podziwiałem swoją twarz, zgrabne ciało, długie włosy. Uważałem, że jestem piękny, ale nie wystawiałem tego piękna na widok publiczny. Nie robiłem sobie zdjęć, nie wrzucałem selfie na strony społecznościowe. Moje piękno było tylko dla mnie.

Mimo to cała szkoła wiedziała, że jestem narcyzem, lanserem i gadżeciarzem. Zawsze miałem najnowszej klasy telefon, a kiedy poprosiłem o komputer, rodzice kupili mi najdroższy model na świecie, za 20 tysięcy złotych. Dziewczyny kochały się we mnie całymi klasami. Faceci mnie nienawidzili. Dlaczego? Wystarczyło spojrzeć na mnie i na nich, w ubraniach

z rynku. Dziewczynę miałem jako pierwszy w klasie. Była najstarsza i najładniejsza w naszej szkole.

Pierwszy seks miałem szybko, w wieku 13 lat. Porno oglądałem dużo wcześniej. Pierwszy raz na solówkę poszedłem w szóstej klasie. Poszło o dziewczynę. I o mój honor. Najpierw przekomarzaliśmy się na korytarzu, a potem wyszliśmy się bić na boisko. W ślad za nami poszła cała szkoła.

Nie mieliśmy wtedy – jako uczniowie – dobrej opinii w Ustce. Kiedy do liceum wchodziło nasze gimnazjum, wszyscy trzęśli dupami. Oj, nie pierdoliliśmy się w tańcu! Byliśmy dzieciakami, ale jak któryś naszym podskoczył, mógł spodziewać się najgorszego: bitki albo wywiezienia i porzucenia w lesie. Nie wiem, skąd moi koledzy mieli takie wzorce. Pewnie od ojców albo starszych braci. Brali od nich, co mogli, a oni dawali, co mieli.

Moim rodzicom się to nie podobało. Chcieli mnie przenieść do bezpieczniejszej, prywatnej szkoły. Nie chciałem. Może i byłem maminsynkiem, ale miałem mocny charakter. I chciałem się bić, a w mojej podstawówce okazji do tego nie brakowało. Na przykład: kolegę kopią w dziewięciu. Jako jedyny staję w jego obronie. Dostaję strzała, ale przynajmniej on zdążył uciec. Albo: starszy i silniejszy mi ubliża, wyzywam go na solówkę. Walę pod siebie ze strachu, ale podejmuję ryzyko i wygrywam. Albo: walczymy na ulicy z chłopakami z innej szkoły. Czuję na ustach krew. Myślę: jest krwawo, jest dobrze.

Już wtedy wiedziałem, że jestem drapieżcą. Ucywilizowanym, bo sam z siebie nikogo nie zaczepiałem. Pozbawionym lęku, ponieważ stając do walki z silniejszym, nauczyłem się zamieniać strach na gotowość. Myślącym logicznie, bo chciałem się bić, ale nie chciałem bez sensu tracić życia. Kiedy ktoś wyciągał nóż, robiłem sprint i tyle mnie widzieli.

Wiedziałem też, że jestem i muszę pozostać wolny. Nikt nie będzie mi mówił, co mam robić i jak żyć. Szkoła nie będzie mnie tresować. Studia

i praca nie będą zamieniać mnie w sługę terminów. Chciałem mieć pieniądze i pozycję bez tych wszystkich ustępstw i upokorzeń. Najchętniej w walce wręcz, jak wikingowie, którzy najeżdżali, łupili i mordowali. Dziś my, faceci, zostaliśmy zamknięci w betonowych dżunglach, ale każdy z nas ma w sobie uśpionego wikinga. Być może podniósłby głowę, gdybyśmy byli inaczej wychowywani? Na pewno jednak powstałby, jakbyśmy mieli więcej testosteronu, inaczej jedli, więcej się ruszali i rywalizowali ze sobą.

Uśpieni i zamykani w betonowych dżunglach obżeramy się fast foodami i zastygamy przed komputerami. A wtedy władzę nad nami przejmuje żeński hormon – estrogen. Wróg męskiej energii, prowadzący do dysfunkcji erekcji i do niepłodności. A my, wykastrowani, tracimy wszystko: wolę walki, siłę życia, poczucie sprawczości. Zamieniamy się w rozlazłe kapcie.

Niestety, w pewnym momencie i ja straciłem wolę walki. Interes ojca zaczął słabiej iść. Kurek z kasą się przykręcił i straciłem poczucie bezpieczeństwa. Wpadłem w depresję. Miałem ochotę się zabić. Nie wyobrażałem sobie życia bez kasy. Myślałem: wcześniej byłem wielkim Amadeuszem, a teraz kim jestem? Biedakiem? Kimś gorszym? Wiem, że wypada mówić, że wszyscy jesteśmy równi, ale ja przecież zaznałem wywyższenia wynikającego z majątku. I poniżenia wynikającego z jego straty.

O dziwo, moi rodzice przeżyli utratę majątku lepiej niż ja. Może dlatego, że przeszli swoje w PRL-u? Może nauczyli się wtedy czegoś, o czym ja nie miałem pojęcia? Grunt, że szybko wymyślili sposób, aby się odbić. Byłem pełnoletni, mogłem wziąć kredyt na otworzenie własnego interesu. Wziąłem. Rodzice założyli sieć sklepów i błyskawicznie je rozkręcili.

Zostałem prezesem, ale ani jednego dnia nie byłem w pracy. Rodzice zarządzali wszystkim. Zamieszkałem w wynajętym przez nich mieszkaniu w niezłym standardzie (za dwa i pół tysiąca miesięcznie) i zacząłem studia

na skandynawistyce. Dlaczego taki kierunek? Norwegia ma najwyższą średnią, jeśli chodzi o zarobki. Chciałem poznać język i realia, żeby zdobyć tam majątek.

Niestety, pod koniec drugiego roku nie dopuścili mnie do egzaminów. Miałem za dużo zaległości, bo kiedy inni studiowali, ja grałem w pokera. W internecie. W ciągu nocy wygrywałem kilkadziesiąt tysięcy dolarów i tyle samo przegrywałem. Miałem obsesję na punkcie pokera. Śniłem o nim, układałem scenariusz wielkiej wygranej, czyli rozgryzienia algorytmu decydującego o sukcesach i porażkach. Wiedziałem, że poker to miliardowy biznes i nie może nim kręcić coś tak ulotnego jak ludzkie szczęście czy talent.

Tu karty rozkłada ktoś albo coś wyżej. Coś, o czym przeciętny gracz nie ma pojęcia. Byłem bliski rozwiązania tej zagadki, ale w pewnym momencie zadowoliłem się 40 tysiącami wygranej. Wpakowałem się w problemy prawne, miałem nową dziewczynę i rok prac społecznych.

No i zacząłem się bawić w internety. Zauważyłem, że tam jest więcej kasy niż w realnym życiu. Postanowiłem, że zostanę streamerem, czyli założę swój kanał i będę nadawać na żywo. Najpierw robiłem stream na kanale randkowym. Oglądało mnie kilkaset osób. Mogło być więcej, ale dostałem bana na kilka miesięcy.

Wróciłem, ale już jako uczestnik streamowej wersji *Warsaw Shore*, czyli *YouTube Shore 1*. Było nas kilku kolegów do żartów, bitki i wypitki. Zapewniliśmy widzom to, co lubią oglądać: imprezę non stop, na żywo i z włączoną możliwością komentowania (na czacie) i wpływania na rozwój akcji (w formie wyznaczania zadań i wpłacania pieniędzy). Bywało, że na żywo oglądało nas 40–50 tysięcy osób. Z donejtów, czyli wpłat od widzów, zarabiałem niezłą kasę. Byłem wolny, mogłem być sobą. Wkrótce mogłem

też zacząć się bić, bo od *YouTube Shore* zaczęła się moja przygoda z Fame MMA.

Kolega z ekipy, Adrian „Polak” Polański, miał brać udział w jedynce. Wojtek Gola, współwłaściciel Fame MMA, były uczestnik *Warsaw Shore*, wpadł na sparing z Polakiem. Oczywiście na oczach tysięcy widzów naszego streama. Ja też stanąłem do walki. Wypadłem na tyle dobrze, żeby dostać propozycję walki w dwójce, czyli Fame MMA 2. Biłem się w Hali Arena w Poznaniu ze streamerem Sylwestrem „Bystrzakiem” Tkoczem. Wygrałem.

W trójce, w łódzkiej Atlas Arenie, przegrałem z youtuberem Dawidem Malczyńskim.

W czwórce (hala sportowa w Częstochowie) stanąłem w szranki z kolegą z *YouTube Shore* Adrianem „Polakiem” Polańskim, z którym wtedy byliśmy w konflikcie. Przegrałem, ale włodarze postanowili dać mi szansę na rewanż i zaprosili na siódemkę.

I wtedy nastał covid. Trochę trenowałem, trochę grałem na małe stawki w pokera w internecie, trochę balowałem. Mało wychodziłem z domu. Byłem przygnębiony, bo internet wylewał na mnie pomyje: beztalencie, przegrał z Polakiem, bo jest od niego gorszy.

Wiedziałem, że tak nie jest. Na tamtą przegraną złożyło się kilka czynników: lubię się bić, ale nie znoszę zbijania wagi. Tydzień przed walką nic nie jadłem i dwa dni nie piłem wody. Nie byłem sobą, agresywnym Amadeuszem, drapieżcą. Byłem zajechany. Przed rewanżem w siódemce zmieniłem sposób myślenia o walce, ale trenowałem niewiele, góra trzy tygodnie.

W tamtym czasie myślałem wiele o swoich związkach z kobietami. Do tej pory byłem w trzech ważnych dla siebie relacjach. Kobiety mnie wyniszczyły. Chciały wchodzić mi na głowę, być ze mną, ale na swoich zasadach. Nie ufały mi. Kontrolowały. Wystawiały na próby.

W niczym nie przypominały mojej matki, która kocha mojego ojca bezwarunkowo. A ja w niczym nie mogłem upodobnić się do ojca, który w obronie matki byłby gotów zabić. Poza tym miłość zabierała mi zbyt wiele czasu i energii. Dlatego postanowiłem: Seks? OK. *Love*? *No*. Od tej pory skupiam się tylko na sobie. Ufam swojej inteligencji, swoim mięśniom, wydolności i sile.

Dzień przed walką byłem przestraszonym chłopcem. Godzinę przed starciem przestawiłem się na tryb mordercy. Kiedy wchodziłem do klatki, już nie czułem strachu, ale moc. Wiedziałem, że polegnę, ale się nie poddam.

Zacząłem polowanie. Czaiłem się na przeciwnika. Wcześniej byłem agresywny, ale to odbierało moim mięśniom tlen. Tamta wizja bójki nie miała nic wspólnego z prawdziwą walką. Tym razem kontrolowałem agresję. W drugiej rundzie, po moim nokaucie, a potem kopnięciu, Polak upadł i znieruchomiał w klatce. Czułem, że wygrałem.

Byłem zwycięzcą, nawet kiedy sędzia podniósł do góry rękę Polaka i ogłosił moją dyskwalifikację z powodu nieprzepisowego zachowania w klatce[5]. Wypełniało mnie poczucie mocy. Byłem wikingiem, wojownikiem, który szedł na ścięcie, ale przetrwał.

Zrobiłem wszystko, żeby stać się legendą, żeby moja śmierć miała znaczenie. Tylko po to warto żyć.

Paweł „Pablo Tybori” Tyburski

Paweł jest piękny. Wysoki, harmonijnie zbudowany, z burzą czarnych włosów i brodą wystrzyżoną przez Puszbarbera. Niedawno wypełnił usta kwasem hialuronowym i zrobił licówki, a tuż przed bitwą na Fame MMA 7 poszedł do solarium.

Nie wstydzi się, jak niektórzy ziomale, dbać o siebie i korzystać z medycyny estetycznej. Nie wstydzi się nawet nosić ubrań w pastelowych odcieniach różu, pomarańczy i błękitu. Mogą go nazywać Barbie albo Kenem. Nawet jako męska wersja Barbie może nieźle przypierdolić. A wszystkim leszczom, którzy gadają, że jest gejem, jednym ciosem zamknie mordy. Wszyscy, nie tylko w internetach, powinni wiedzieć:

– Pablo nie rzuca słów na wiatr.

– Pablo nigdy nie obsrywa zbroi.

– Pablo, jeśli walczy, to do końca.

Testosteron, którego zawsze miał w nadmiarze, pozwala mu na te wszystkie drobne kroczki w stronę świata kobiet: różowy garnitur, wrzucanie na Insta zdjęć w makijażu, przytulanie i całowanie swojej suczki rasy szpic miniaturowy. Nie martwi się, co – po tej czy po tamtej stronie – ktoś o nim powie, bo przecież nikt oprócz niego nie wie, jaka krew w nim płynie.

Przed spotkaniem w parku koło siłowni słucham jego, nagranego w duecie z bratem Piotrkiem i wrzuconego na kanał Bracia Tybori, rapowanego kawałka *Yin Yang*. Autorką słów jest Beata Ejzenhart, prawniczka i piosenkarka występująca pod pseudonimem Bandytka.

Życie to wielka gra
Której zasady nie każdy zna
Gdy myślisz, że masz już w garści to coś
Może cię dopaść przewrotny los
A jeśli upadniesz, to musisz wstać
Czasem nie raz, nie trzy ani dwa
Żadna przegrana nie złamie cię, nie […]
To tylko bitwa, mordo, nie armagedon, wiesz?

Jak feniks wstanę znów, nie ostatni raz
Jak feniks wstanę znów, daj mi tylko czas
Jak feniks wstanę znów, nie ostatni raz
Jak feniks wstanę znów, daj mi tylko czas
To życie to bilans zysków i strat
Nie zawsze z wiatrem, czasem pod wiatr
Porażka jak alko gorzki ma smak
Piję do dna, bo hamulców brak
To życie to bilans zysków i strat
Biorę to w ciemno, niczym yin i yang
Nie zawsze w kartach jest royal flush
Triumf nie zawsze będzie, nie zawsze będzie nasz.

W ósmej edycji Fame MMA triumf nie należał do Pawła, niedługo po przegranej stracił również dziewczynę, Monię. Wrzuciła na swoje sociale dowody zdrady, czyli screeny jego rozmów o seksie z inną. W momencie spotkania ze mną Pablo nie wie o obu porażkach. Na razie rozmawiamy o jego triumfie na gali Fame MMA 7.

Komentatorzy, między innymi były uczestnik *Warsaw Shore*, Trybson, chwalili: „Najlepsza walka. Profeska. Zajebiście. Na poziomie".

„Dałem z siebie wszystko" – mówił w wywiadach internetowych Paweł. „Przeciwnik, Arek Tańcula (trener personalny i aktor znany między innymi z *Lombardu*) też okazał się fajnym ziomkiem. Chętnie pójdę z nim na piwo, bo nie tylko dobrze nam się walczy, ale też mamy podobne poglądy polityczne – obaj wierzymy Konfederacji".

Kiedy rozmawiamy, powoli zachodzi słońce. W parku koło siłowni robi się chłodno. Piotrek, brat bliźniak Pawła, drży, więc wyjmuję z torby treningowej (po wywiadzie biegnę z dziesięcioletnim synem na trening) kurtkę

piłkarską. Rozmiar S. Przykrywa jedynie ramiona Piotrka, ale do końca rozmowy jej nie zdejmuje.

Opowieść Pawła „Pablo Tybori” Tyburskiego

Jestem Paweł „Pablo Tybori” Tyburski, a to mój brat bliźniak, Piotr. Wszystko robimy razem, ale zawsze byłem mocniejszy w gadce. Dlatego to ja – w naszym imieniu – opowiem wam, jak można odbić się od dna. Zacząć od debetu, a skończyć na dużym plusie. Mieć falstart, a potem zaliczyć bieg życia.

No więc od początku. Urodziliśmy się 10 stycznia 1994 roku w Elblągu. Nasze pierwsze wspomnienia dotyczą przemocy.

Ojciec pił, bił matkę i nas. Kablem, pasem, ręką. Matka próbowała się bronić, ale kiedy mieliśmy 6 lat, trafiła skatowana do szpitala. Ojciec poszedł do więzienia. My do domu dziecka. Byliśmy tam 10 lat. Przez te 10 lat ojciec ani razu nas nie odwiedził, więc zapomnieliśmy, jak wygląda. Bicia jednak nie zapomnieliśmy i nie zapomnimy nigdy. Mimo to kilka lat temu zaczęliśmy go szukać po elbląskich melinach i budowach. Ojciec to jednak ojciec. Nasza krew. Po tym wszystkim, co zrobił, nie da się go pokochać. Ale pomóc mu trzeba.

Nie znaleźliśmy go. Okazało się, że dwa miesiące później zmarł. Samotnie. Na jakiejś budowie, gdzie schronił się przed zimnem.

Czy było nam przykro? Oczywiście. To jednak był nasz tata. Jednak wytłumaczyliśmy sobie, że Bóg widocznie nie chciał, żebyśmy go poznali. Być może wolał, żebyśmy zachowali w głowie i sercu obraz innych ojców, którzy pojawiali się na naszej drodze. O nich za moment. Najpierw o pierwszych latach życia w bidulu.

Mieliśmy panie wychowawczynie, ale głównie wychowywała nas wspólna sala, w której spaliśmy, biliśmy się, zawiązywaliśmy pierwsze so-

jusze i pakty o nieagresji.

Z pierwszych lat bidula pamiętam fascynację Kubą Guzikiem, bohaterem kreskówki emitowanej na TVN-ie. Marzyliśmy, żeby tak jak on trafić do Krainy Następnego Dnia, gdzie czekają nowi, adopcyjni rodzice. A potem przeżyć mnóstwo przygód, podróżując, tak jak Kuba Guzik i jego przyjaciel Lucek, do Smutkolandii.

Mieliśmy łatwiej od innych chłopaków, bo było nas dwóch i umieliśmy się bić. Od początku stawialiśmy się większym i starszym. Wszystko po to, żeby już na wstępie wyznaczyć granice. Pokazać, że jesteśmy silni, nie damy się nikomu zdominować, nie pozwolimy się obrazić. I nigdy więcej skrzywdzić.

W ten sposób dbaliśmy o siebie, bo kto inny miałby o nas zadbać w hierarchicznej społeczności mieszkańców bidula. Byliśmy dzieciakami pełnymi gniewu i żalu do świata. To był nasz napęd. I nasza zbroja. Szybko zaczęliśmy rozgrywać walki nie tylko z innymi z domu dziecka, ale też z dzieciakami ze szkoły. Oni mieli tak zwane normalne domy, my mieliśmy siebie.

Walki wygrywaliśmy. Z kompleksami radziliśmy sobie inaczej. Kradliśmy to, co oni dostawali od rodziców. A kiedy, jak oni, chcieliśmy skorzystać z internetu, wysyłaliśmy najsłabszego chłopaka z bidula, żeby dla nas żebrał. Pindol, jeśli teraz to czytasz, przyjmij, mordo, serdeczne „przepraszam”. Mam nadzieję, że nie masz nam za złe, że wypychaliśmy cię na ulicę. Zapamiętajmy tylko to, co było dobre: na przykład dzielenie się „pojarą”. Gdzie indziej pojara znaczy tyle, co papieros, ale u nas, w bidulu, to była zupka chińska, pasztet, cokolwiek, czym można zaspokoić głód. A my byliśmy duzi, szybko rośliśmy i non stop chcieliśmy jeść. Ale nie na hurra, tylko według naszego savoir-vivre’u, czyli zasad.

Jeśli któryś zdobył kasę na zupkę, miał pierwszeństwo w jedzeniu, czyli pojarę. Kolejny dostawał swoją dolę, jeśli krzyknął „spo”, czyli połowa dla mnie. „Spospo” to już była jedna czwarta. Siedzieliśmy w kilku dookoła jednej miski, uderzaliśmy w stół palcami i wykrzykiwaliśmy: „pojara, spo, spospo”. I tak aż do ostatniego kawałka makaronu. Bidulowe zasady obowiązywały też w innych dziedzinach życia. Nie można było na przykład rozmawiać z policją. Ten, kto rozmawiał, był sprzedajną szmatą, a nie porządnym facetem. Obaj z bratem mieliśmy do czynienia z psami. Miałem sprawy o pobicie, kradzież i demoralizację (Pindola, który żebrał, żebym mógł pójść do kawiarenki internetowej pograć albo pooglądać porno). Dom dziecka starał się jakoś na nas wpływać: na przykład rozdzielili nas i przez jakiś czas Piotrek był w innej grupie. Mieliśmy mnóstwo rozmów z wychowawcami i tak dalej. Mimo to nadal byliśmy, jak to się mówi, niegrzeczni.

Do czasu, aż Bóg postawił na naszej drodze trenera piłki nożnej Olimpii Elbląg Grzegorza Kołackiego. Na trening Olimpii trafiliśmy przypadkiem, podczas jakichś zajęć sportowych z bidula. Nie mieliśmy pojęcia, że to trening. Widzieliśmy, że chłopaki grają, więc włączyliśmy się do gry. Musieliśmy być nieźli, skoro trener zaproponował, żebyśmy od razu dołączyli do drużyny juniorów. Mieliśmy po 13 lat, zaczęliśmy grać ze starszym rocznikiem, a Grzegorz Kołacki stał się dla nas kimś więcej niż trenerem czy mentorem.

Wcześniej czuliśmy się bezkarni. I nieśmiertelni. Gniew napędzał nas do coraz bardziej ryzykownych ścieżek na skróty. Marzyliśmy, że w przyszłości zostaniemy Ronaldem i Ronaldinho. Chcieliśmy mieć ich majątek, ciuchy, kobiety i powszechny szacunek.

Trener Kołacki – mogę to tak nazwać – złamał nas psychicznie. A potem poskładał.

Zajeżdżał nas na treningach, wykazywał błędy, chwalił, kiedy trzeba, i ganił, kiedy na to zasłużyliśmy. Powtarzał: „Bez pracy nie ma kołaczy”, „Z gówna bata nie ukręcisz”.

Szanowaliśmy go również za to, że traktował nas poważnie. Nie byliśmy dla niego łobuzami z bidula, tylko piłkarzami, braćmi Piotrem i Pawłem. Szanował nas za to, co robiliśmy na boisku, i nie bał się o tym mówić. Pamiętam, jak staliśmy pod rozłożystym drzewem, chyba kasztanem, a on mówił: „Czeka was wielka przyszłość w sporcie. Będziecie podróżować po świecie, poczujecie, jak pachnie pot przedstawicieli innych nacji. Wierzę w was”.

Po trzech latach treningów z Olimpią (i historycznej wygranej z warszawską Polonią na Remes Cup 2009) zainteresował się nami trener Adam Krzyżanowski. Kolejny mentor, autorytet, życzliwy i mądry człowiek. Ściągnął nas do Warszawy, gdzie trafiliśmy do GKP Targówek, czyli Gminnego Klubu Piłkarskiego Targówek.

Byliśmy jeszcze niepełnoletni, więc – po batalii sądowej i pozbawieniu ojca i matki praw rodzicielskich – trener został naszym opiekunem prawnym.

Zamieszkaliśmy w bursie. Początkowo przykładaliśmy się do treningów. Wtedy jeszcze niosła nas nadzieja na wielką karierę piłkarską, podróże po świecie i poznanie zapachu potu innych nacji. Ale już szło po nas nowe. Niekoniecznie zesłane przez Boga, wypracowane ciężkimi treningami czy napędzane nadzieją na przejście do kolejnej ligi. Poznaliśmy coś, o czym wcześniej nie mieliśmy pojęcia: euforię po narkotykach. Niezasłużone niczym i dostępne od ręki uczucie zalewającego szczęścia. Poszliśmy w balet. Warszawa oferowała nam niezliczone – w porównaniu z Elblągiem – kluby, puby, dyskoteki. Byliśmy atrakcyjni, bo na pierwszy rzut oka nie do rozróż-

nienia, a to dawało nam – i chłopakom z naszej nowej paczki – wielkie możliwości wkręcania się w towarzystwo i rwania dziewczyn.

W tamtym czasie poznaliśmy wielu chłopaków z tak zwanych normalnych rodzin. Dziwiłem się, że mają w sobie tyle samo gniewu, co my, oddani do bidula.

Nie znali swoich ojców, chociaż codziennie mijali się w korytarzu. Opiekowały się nimi obce kobiety, bo matki poszły w karierę albo wyjechały za granicę. Wychowywali się sami, z innymi chłopakami z klasy czy podwórka.

Różniło nas niewiele: oni nie mieli spraw w sądzie dla nieletnich i nie umieli się bić. Ratowaliśmy ich z nocnych opresji, dzieliliśmy się fajką czy działką tak jak kiedyś w bidulu: pojara, spo, spospo. Tyle że oni po imprezie szli do domu albo wynajętego przez rodziców apartamentu. My wracaliśmy do bursy nad ranem, niewyspani padaliśmy na treningach, zaniedbywaliśmy naukę.

Wszystko przegrywało z kokainą i mefedronem.

Byliśmy już pełnoletni, więc wyprowadziliśmy się z bursy. I na kilka lat się rozdzieliliśmy. Piotrek jakoś się ogarnął. Zamieszkał w Łodzi, grał w Widzewie, znalazł pracę przy sprzedaży energii elektrycznej. Ja zostałem w Warszawie. To nie był mój dobry czas. Jedyne, co miałem, to starego forda focusa. Bywało, że w nim spałem. Po pierwsze, nie było mnie stać na wynajem mieszkania w Warszawie. Po drugie, nawet jeśli miałem pieniądze, wolałem je wydać na zabawę. I mefedron. Dawał mi poczucie mocy i wiary w przyszłość. I coś jeszcze – nieustanne, trwające nawet dwie doby, pobudzenie erotyczne i gotowość na seks.

Po mefedronie byłem Bogiem. Ale On znów dał mi sygnał, że ma wobec mnie inny plan.

Nie chcę opowiadać o kobiecie, która mi pomogła, ale jeśli to czyta, niech wie, że jestem jej wdzięczny. Za wszystko. Najpierw za to, że zobaczyła we mnie nie tylko zgrabne, młode ciało (znalazła mnie na Instagramie), ale też potencjał na dobrego marketingowca w jej firmie. I to w działce finansowej, o której nie miałem pojęcia, a dzięki niej stałem się jednym z lepszych sprzedawców kredytów na rynku.

Potem za to, że mi zaufała. Nie każdy dałby mi – ulicznemu zabijace i klubowemu donżuanowi – dostęp do swoich kontaktów i wiedzy.

Wreszcie za to, że namówiła mnie i Piotrka, żebyśmy zgłosili się do reality show *Love Island*.

Ale zanim to się stało, zarobiłem swoje pierwsze duże pieniądze ze sprzedaży kredytów. Wynająłem mieszkanie, odłożyłem 100 tysięcy. I kupiłem swoją pierwszą, dobrą furę – audi A7. Mógłbym wydać je bardziej rozsądnie, ale wtedy chciałem błyszczeć. Wyróżniać się nie tylko w warszawskim Platinum czy The View, ale też na Marszałkowskiej, Alejach Jerozolimskich, Puławskiej.

W tamtych czasach, czasach złudnej mocy i omnipotencji, coraz mocniej brakowało mi mentora, który – jak trener Kołacki czy Krzyżanowski – połamałby mnie psychicznie. I złożył na nowo.

Sam się połamałem. Dosłownie i w przenośni, bo ciało zaczęło mi wypłacać rachunek za lata złego traktowania. Uprawiałem kontuzjogenny sport, ale rękę złamałem już po zakończeniu kariery piłkarskiej. Po weekendzie przebalowanym w klubach przez kilka dni dochodziłem do siebie. Byłem apatyczny, zmęczony, senny. Sprzedawałem coraz mniej kredytów, wreszcie straciłem pracę.

Nie miałem pojęcia, co dalej. Coraz bardziej brakowało mi – jakkolwiek to nazwę – mentora, trenera, ojca. Właśnie wtedy kobieta, o której

mówiłem wcześniej, zmusiła mnie i Piotrka, żebyśmy zgłosili się do pierwszej edycji polsatowskiego reality show *Love Island*.

W dużym skrócie: na wyspie walczysz o miłość i pieniądze. Można je wygrać, zdobywając serce dziewczyny i widzów, którzy dzięki specjalnej aplikacji na smartfonie biorą udział w sondach na temat wyspiarzy i ich relacji. Aplikacja umożliwia także decydujące głosowanie na zwycięską parę. Słowem: mój los, za pośrednictwem telefonów, trafiał w ręce widzów. Namówiłem Piotrka na wysłanie zgłoszenia.

Nie liczyliśmy na miłość. Chodziło nam o zwiększenie zasięgów na Instagramie. I o wygraną: w najlepszym wypadku 100 tysięcy złotych. Dostaliśmy się. Odstawiłem narkotyki i alkohol. Przez półtora miesiąca ostro trenowaliśmy. Brałem masę suplementów i energetyków, ale czułem się podle. Miałem problemy żołądkowe, kłopoty ze snem, męczyłem się szybciej niż zwykle. Mimo to w naszpikowanej kamerami willi na hiszpańskiej wyspie wyglądałem dobrze.

I wiele rzeczy – zaskakująco dobrych – robiłem po raz pierwszy w życiu. Na przykład pierwszy raz tańczyłem bez alkoholu i narkotyków. „Sparowałem” się z Moniką, mistrzynią make-upu, piękną dziewczyną z fajnego domu, z fajnymi wartościami. Na wyspie nie mieliśmy internetu i telefonów, więc ani sekundy nie spędziłem na przewijaniu obcych profili na Instagramie czy Tinderze. Przegadaliśmy za to setki godzin. Nie uprawialiśmy seksu, co też okazało się ciekawym doświadczeniem. Ale będę szczery: liczyłem na to, że wyjadę z wyspy z dziewczyną i wygraną. Wszystko zresztą na to wskazywało. Dotarłem do finału. I tydzień przed ostatecznym wynikiem odpadłem w głosowaniu uczestników. Pytanie, które zadecydowało o moim losie w programie, brzmiało: „Która z obecnych par ma najmniejszą szansę na związek po programie?”. Opuściliśmy z Monią wyspę miłości, ale powiem wam jedno: nie wierzcie uśmiechom wygranych

w powszechnym głosowaniu. Pod spodem nie ma miłości, ale chciwość, żądza lajków, serduszek i płynących w ślad za nimi kontraktów reklamowych. Dowody?

Wygrani pierwszej edycji dziś nie są razem. Związek w realnym życiu przerósł też inną parę, która po powrocie z wyspy wzięła udział w tanecznym show. Do programu szli jeszcze jako para, a kiedy ogłosili, że już nie są razem, widzowie przestali na nich głosować. Odpadli z kretesem. Kolejni, tuż po rozstaniu, usiłowali podtrzymać zainteresowanie mediów wzajemnymi oskarżeniami. Ale i oni szybko zniknęli w odmętach internetu. Uwierzcie: miłość zbudowana tylko na lajkach prędzej czy później rozpadnie się w pył. Zostanie po niej tylko odlajkowywany profil na Insta, pustoszejący kanał na YouTubie i coraz rzadziej oglądane powtórki programu na Ipla.tv.

My z Monią wybraliśmy inną drogę. Zamieszkaliśmy razem. Poznałem jej rodziców i znajomych. Ona poznała moją historię. Zaakceptowała mnie ze wszystkimi wzlotami, dołkami i znów wzlotami.

Taka jest moja historia do czasu Fame MMA. Można powiedzieć: graniczna, bo po niej nastąpił przełom. Nasze profile na Instagramie zyskały setki nowych obserwujących. Rozdzwoniły się telefony od reklamodawców, którzy chcieli, aby na fali mojej świeżo zyskanej sławy popłynęły też ich produkty. Zadzwonił współwłaściciel Fame MMA, Wojtek Gola. Zaproponował mi i Piotrkowi udział w drugiej gali. Mieliśmy walczyć z innymi bliźniakami, znanymi z *Warsaw Shore*, Piotrem i Pawłem Klukami.

Zgodziliśmy się, ale nie chcieliśmy iść do walki nieprzygotowani. Biliśmy się od zawsze, ale brakowało nam techniki. Trenowaliśmy przez miesiąc z Radosławem Paczuskim, utytułowanym sportowcem, między innymi członkiem kadry narodowej w kick-boxingu i muay thai (tajskim boksie). Wygraliśmy z bliźniakami Klukami przed czasem. Pisały o nas media.

Również zagraniczne. I znów Bóg pokazał, jaki ma wobec nas plan. Czyli po raz kolejny przestawił nas na sport i dał mentora, który nas złamał i poukładał na nowo.

Zaczęliśmy regularnie chodzić na treningi do założonego przez Radka Uniq Fight Clubu. Nie mieliśmy pojęcia, że w budynku, w którym jest klub, wcześniej była plebania. Przez trzy lata (do 1978 roku) mieszkał w niej wikariusz pobliskiej parafii, męczennik, błogosławiony ksiądz Jerzy Popiełuszko. W internecie można znaleźć fragmenty jego kazań: „Przemoc nie jest oznaką siły, lecz słabości”; „Nie można zadać rany śmiertelnej czemuś, co jest nieśmiertelne. Nie można uśmiercić nadziei”; „Człowiek pracujący ciężko bez Boga, bez modlitwy, bez ideałów, będzie jak ptak z jednym skrzydłem dreptał po ziemi”.

Popiełuszko to był mądry gość.

Ale wracając do treningów. Najpierw zajmował się nami Radek, potem Przemek Szyszka, trener mistrzów krajowych i międzynarodowych K-1[6] i MMA. Spotkaliśmy się z dietetykami, którzy opracowali dla nas dietę. Rozmawialiśmy z psychologami sportowymi, którzy pomogli nam wejść na właściwą ścieżkę w myśleniu o sobie i życiu. Wreszcie, po raz pierwszy od dawna, przebadaliśmy się i zaczęliśmy leczyć, bo imprezy, narkotyki i energetyki wypłukały z naszej krwi żelazo.

I oto żyjemy. Ramię w ramię.

Trenujemy. Walczymy w Fame MMA.

Kupiliśmy działkę. Budujemy na niej dom – bliźniak.

Ja mam Monię. Piotrek wciąż szuka swojej połówki.

Razem staramy się pomagać takim jak my, ale znajdującym się na początku drogi.

Nie tylko chłopakom z domów dziecka, którym ten początek wydaje się końcem, ale też dzieciakom z tak zwanych dobrych rodzin. Oni też – porzu-

ceni przez wszystkich – szukają swoich mentorów. Zazwyczaj – bo tylko tak mogą – w internecie.

Co wam powiem na zakończenie, mordeczki? Każdy z was ma swoją drogę, będą wyboje, ale dacie radę. Zobaczcie, my wystartowaliśmy na minusie, a teraz jesteśmy powyżej średniej. Skoro nam się udało, wy też dacie radę! Pamiętajcie, z każdego dołu można się wygrzebać.

Póki żyjecie, nie traćcie nadziei na spotkanie swojego mentora!

Trzymajcie się mordki! Piona!

Kasjusz „Don Kasjo” Życiński

Podjechał na warszawską Saską Kępę samochodem wartym pół miliona złotych. Ubrany niepozornie. W dżinsy i czerwoną, bawełnianą koszulkę z napisem „kocham swoją wolność”. Potem okazało się, że z kolekcji sygnowanej jego nazwiskiem. Bo Don Kasjo, o czym szybko się przekonałam, to marka. Niejedna.

Opowieść Kasjusza „Don Kasja” Życińskiego

Jestem Don Kasjo. Król o 101 twarzach. Dziś pokażę ci jedną z nich. Na potrzeby tej rozmowy będę dwudziestoośmioletnim Kasjuszem Życińskim z Iławy.

Spojrzysz mi prosto w oczy albo opuścisz wzrok. Uszanuję to, co o mnie pomyślisz, ale mnie to chuj obejdzie. Powtarzam. Jam jest Don Kasjo. Król o 101 twarzach. Właściciel haremu pięknych kobiet, sławny, niezwyciężony wojownik i niezrównany mistrz *trash talku*, który słowem każdego wroga rozegra.

Jam jest samotny wilk polskiego internetu, wierny własnym zasadom, zawsze gotów na walkę o siebie samego. Jam jest, którym jest w życiu i dla

siebie, a nie dla wyświetleń. Ale zanim pokażę ci jedną z moich twarzy, ustalmy coś. Ile ty masz twarzy? Na pewno tylko jedną? Dobrze ci służy? A może chciałbyś kolejną? Nie? Załóżmy się: zanim dojdziesz do końca tego rozdziału, pokonam cię twoją własną bronią. Zakład? Zakład.

Jadymy.

Pochodzę z wielodzietnej rodziny. Mam ósemkę rodzeństwa. Zawsze chciałem udowodnić moim starszym braciom, że jestem równie silny jak oni. I nigdy nie liczyłem na wsparcie. Szybko zresztą przekonałem się, że jedynym wsparciem dla siebie będę ja sam. I moje przekonania o tym, kim jestem, po co, dla kogo i gdzie chcę dojść.

Od początku miałem w sobie showmana, ale nie wiedziałem, jak go wykorzystać. Miałem w sobie również Rocky'ego Balboę, ale nikt nie dawał mi szansy na uprawianie boksu. Kiedy skończyłem 15 lat, sam dałem sobie taką szansę.

Wyjechałem z Iławy. Zgłosiłem się do klubu w pewnej miejscowości, mniejsza o nazwę. I tam usłyszałem od niedowiarków, że jestem za stary na boks. Objechałem więc całą Polskę w poszukiwaniu kogoś, kto we mnie uwierzy. Znalazłem go w Gdańsku, w klubie SAKO. Potem dołączyłem do Rafako Hussars Poland. Na przekór niedowiarkom stawałem na podium Pucharu Polski i mniejszych międzynarodowych zawodów w boksie.

Dlaczego po czterech latach zrezygnowałem? Pieniądze z tego były małe. No i doszedłem do wniosku, że szkoda na boks mojej mądrej głowy. Nie byłem jednak jak Rocky Balboa, któremu ojciec powtarzał: „Nie urodziłeś się z mózgiem, więc zacznij używać ciała".

Mam ciało i mózg.

Wróciłem do Iławy i spostrzegłem, jak daleko stąd odszedłem. Zrozumiałem, że może i jestem mądrzejszy od rówieśników, ale dalej jestem głupi. Kiedy ja szukałem kogoś, kto we mnie uwierzy, oni godzili się na

niewiarę i niemoc. Zakładali rodziny, bo ich rodziny tak chciały. Płodzili dzieci, bo sami przecież zostali spłodzeni. Od poniedziałku do piątku zasuwali do niskopłatnej roboty, a w weekendy pili piwo.

I byli szczęśliwi.

Nie umiałem już, jak oni, poprzestać na małym. Gdybym został w Iławie, pewnie przyszłoby to łatwiej, ale podróże po Polsce uświadomiły mi, ilu rzeczy mogę spróbować, ilu ludzi poznać, ile pieniędzy zarobić.

Kiedy wyjeżdżałem, byłem chłopcem o jednej, pogodnej twarzy. Wróciłem jako mężczyzna o kilku twarzach. Dojrzałem i wiedziałem, że nikomu nie dam się oszukać. Kolega powiedział mi, że szukają ludzi do pracy w grupie doradców finansowych. Moim zadaniem miało być wciskanie ludziom różnych produktów. Tuż przed spotkaniem dowiedziałem się, że potrzebne jest CV. Do tej pory pracowałem na przykład jako sprzedawca na plaży, a do tego nie trzeba mieć CV, tylko silny, zdecydowany głos. Szybko okazało się, że to samo liczy się w finansach, bo moje CV zostało przyjęte z entuzjazmem. A wyglądało tak: doświadczenie – brak, wykształcenie – brak, kariera zawodowa – brak.

Inni doradcy finansowi uwierzyli w moje braki, ale nie wiedzieli, że nie wiążą się – jak to często bywa – z bezradnością. A przecież ja, Don Kasjo Król, bezradny nie byłem nigdy. Bywałem zniesmaczony, rozbawiony albo wściekły. Bezradny nigdy. Nawet kiedy wyzerowałem w kasynie swoją poduszkę finansową i z faceta z pół miliona na koncie stałem się biedakiem, wiedziałem, że się odbiję. I się odbiłem.

Ale wracajmy do czasów po boksie. Szybko chwyciłem – udostępnione przez grupę doradców – metody łapania klienta. Łapałem, kogo trzeba, ale znudziła mnie drobnica produktów finansowych. Chciałem zarzucać wędkę na grube ryby. Zanęcać je na wypasione kredyty finansowe, a zyskiem dzielić się tylko z bankiem.

Założyłem swoją firmę finansową. Nieźle mi szło. Nauczyłem się czytać ludzi niczym otwarte księgi. Nie musieli otwierać ust. Wystarczało, że otwierali przede mną drzwi swoich domów. Czytałem z ich ścian (pastelowych albo pokrytych boazerią), dekoracji (obrazów Björksta z Ikei albo odpustowej Matki Boskiej), wyposażenia pokoi (meblościanki z lat 70. albo prostego designu w stylu skandynawskim).

Wiedziałem, na jaki kredyt dadzą się namówić, żeby choć na moment poczuć się kimś innym. Tak jakby nie umieli tego wygenerować sami. No, ale wiadomo, to jest kwestia wiary. Zacząłem robić pieniądze. Chodziłem w garniturach, krawatach i butach na wysoki połysk. Zyskałem kolejną twarz, ale kim dziś jest człowiek bez twarzy w social mediach? Bezradnym frajerem. Łatwo mu dorobić gębę nieudacznika, idioty albo oszusta.

W social mediach trzeba być, żeby w razie czego złapać takiego kłamcę za mordę i zmusić, żeby odszczekał. Ale bańki internetowe, jak wszystkie sociale w internecie, potrzebują żywiciela. Są jak kleszcze, które szukają miękkiego i ciepłego (jak pachy albo okolice genitaliów) miejsca na ciele ofiary. A gdy już się wczepią i piją krew, ciężko je wyrwać, nie uszkadzając przy okazji własnej, żywej tkanki.

Wiedziałem, że wchodząc do tego świata, muszę ochronić wszystko, co we mnie miękkie, delikatne i ciepłe. To miękkie, delikatne i ciepłe byłem gotów oddać najbliższym. Na przykład kobiecie, którą dopuściłbym do siebie tak blisko, jak nikogo wcześniej. Ogrzałbym ją sobą, schował w sobie tak, żeby już nigdy nie musiała się nikogo i niczego bać.

Do tej pory miałem dwa takie związki. Rozstaliśmy się, bo nie byłem jeszcze gotowy zostać żywicielem rodziny. Nie miałem na koncie dostatecznej ilości środków, żeby moja kobieta nie musiała pracować. Nie miałem też pomysłu, jak zarobić wystarczająco dużo, żeby moje dzieci nie dorastały bez ojca, który zjeżdża z roboty tylko na weekendy. Chcę być – jak

nieliczni i wybrani w Polsce – obecny w życiu moich dzieci. Chcę się przy nich – a to luksus we współczesnym świecie – móc spokojnie zestarzeć i pokazać im, że mężczyzna może być również miękki, delikatny i ciepły.

I nie trzeba go za to wyśmiewać, zdradzać albo osądzać. O moim ojcu nie będę teraz rozmawiać. Nie żyje. Kiedyś, w sprzyjających warunkach i na moich zasadach, może o nim opowiem. Na razie jednak posłuchaj, Polsko, jak narodził się Don Kasjo! Najprzystojniejszy z mężczyzn. Marzenie wszystkich kobiet. Ucieczka waszych synów. Bóg razy sto. I jeden. Brat namówił mnie do wysłania zgłoszenia na casting do show TVN-u *Top Model*. Wysłałem. Dostałem się do programu, który – w dużym skrócie – daje ludziom szansę wyjścia na wybieg. A potem rozpoznawalność w sieci. Problem w tym, że to rozpoznawalność na krótką metę i oparta na jednym, słabym filarze: smutku. Nie dałem widzom *Top Model* swojego smutku, chociaż przez ostatnie lata trochę się go uzbierało. Smutek rezerwuję dla rodziny i – kiedyś – żony.

Dałem im dużo żartów i śmiechu, dlatego odpadłem niedługo przed finiszem. Nie żałuję. Zyskałem kolejną twarz i rozpoznawalność w social mediach.

W kolejnym show telewizyjnym, w którym wziąłem udział za namową kolegów, czyli *Ex na plaży* (taka gra w miłość, zaufanie i zazdrość), zyskałem następną. Do *Warsaw Shore* trafiłem już jako weteran telewizyjnych reality show. Z rozpoznawalnym pseudonimem i wachlarzem twarzy, z których – w zależności od contentu – mogłem wybierać jedną albo dwie. Nie musiałem, jak niektórzy uwięzieni w jednej roli, grać jej tak długo, jak zechcą widzowie. Czyli nieustannie wracać do źródeł swoich, sprzedanych milionom ludzi, smutku albo radości, entuzjazmu albo depresji.

Powiadam wam: sztuką jest dostosować się do ludzi, a nie tanio im się sprzedać. Zmultiplikowany byłem wolny, a moje sociale szły jak burza.

Z takim kapitałem mogłem już tylko trafić tam, gdzie idą najlepsi w internecie, czyli do oktagonu Fame MMA.

Do dziś nie przegrałem ani jednej walki i to ja dyktuję warunki. Potężni włodarze, z którymi między innymi wcześniej walczyliśmy w reality show, żeby się tanio nie sprzedać, znają moją wartość. Wiedzą, że to Don Kasjo Król nakręca na YouTubie oglądalność konferencji. Ludzie odpalają komputer tylko po to, żeby zobaczyć, jak ciężkim słowem miażdży wrogów. I na nic ich przygotowania, spisywane na kartce bon moty i żarty. Gniew Don Kasja spali wszystko i wszystkich. Przebije ich balonik celnym sztychem żartu, wejdzie na szczyt po ich trupach i pokaże, kto tu jest, kurwa, prawdziwym Królem.

A ludzie chętnie to obejrzą i wykupią dostęp do kolejnej walki Don Kasja albo obstawią ją u bukmachera. Nie zrobią tego dla mnie, ale dla siebie. W 101 twarzach Don Kasja rozpoznają również swoją twarz. A w twarzach jego przeciwników twarze wszystkich, którzy ich skrzywdzili albo krzywdzą: szefów, przyjaciół, ojców, braci. Pomyśl, czy masz kogoś, kogo chciałbyś zniszczyć? Pokazać tej odjebanej kurwie, kto tutaj rządzi? Upokorzyć ją publicznie, tak jak ona cię upokorzyła, a potem skakać po jej trupie, jak ja skakałem – wrzucając na YouTube mój rap *Najman Diss* – po moim ostatnim przeciwniku?

A teraz zaśpiewaj razem ze mną, ale w miejsce nazwiska Najmana wstaw nazwisko tego, który cię skrzywdził.

Oj dana, dana
Don Kasjo zlał Najmana
Niech wie to każda pała
Od pasa króla wara
Bania potyrana, zgrywał tak Batmana

Więc śpiewa Polska cała:

Najman wypierdalaj!

A teraz wyobraź sobie, że razem z tobą śpiewają ten kawałek ponad trzy miliony osób, bo tyle do tej pory *Najman Diss* miał wyświetleń na YouTubie. Co czujesz? Czy jesteś wdzięczny, że ja, Don Kasjo Król, podarowałem ci trochę mojej mocy? Uwierzyłeś już we mnie?

Jeśli tak, fajnie. Nie rusza mnie to ani nie zmienia mojego światopoglądu. Nadal sam sobie jestem sterem, żeglarzem i okrętem, Bogiem, diabłem i bokserem, i układam też piosenki. Nie uwierzyłeś? Też OK. Chcesz nagrody? A dopilnowałeś, żebyśmy tuż przed zakładem ustalili, co to ma być? Albo ile i na jaki procent? Nie?

I kto tu jest Królem?

---

[4] Zawodnik na pierwszy rzut.

[5] Kopnięcie na głowę w pozycji parterowej (przyp. red.).

[6] Formuła walki kickboxerskiej, wprowadzona w 1993 roku przez japońską organizację o tej samej nazwie, wzbogacona o techniki zaczerpnięte z innych stylów walki (przyp. red.).

CZĘŚĆ TRZECIA
SEKS

Gdy coś obiecuję ci
Gdy coś obiecuję ci (bitch)
Nie ma możliwości, żeby była lipa
Nie ma możliwości, żeby była chała
Nie ma możliwości, że się zdarzy przypał
Nie ma możliwości, że coś nie zadziała
Nie ma możliwości, żeby była lipa
Nie ma możliwości, żeby była chała
Nie ma możliwości, że się zdarzy przypał
Nie ma możliwości, że coś nie zadziała

Ten Typ Mes, *Możliwość*

(ponad 3,5 miliona wyświetleń na YouTubie)

Ssij moją pałę, szmato
Wypełnię ci usta, kupię zajebiste auto i nowe cycki
Chcesz ze mną dziecko?
Nigdy nie zdejmę kondoma, bo
Nie nadaję się do życia
Ja tylko lubię oglądać i słuchać, jak prują się szmaty
Wciąż chcę kolejnych
Chcę je tylko oglądać, tylko słuchać, więc
Wyślij mi swój jęk, zakłamana szmato
Wyślij mi swoje story
Kocham to

Kanye West & Lil Pump, *I Love It*

(prawie 600 milionów wyświetleń)

Wirtualna potęga seksu

Wibrator leży na kartce w kratkę. Na stole, obok filiżanek z kawą i talerzyka z ciastkami. Jest różowo-pomarańczowy, z czarną końcówką, do której trzeba włożyć dwie baterie AAA. Biorę łyk kawy, zagryzam ciastkiem i włączam 12 trybów wibracji, pulsacji i eskalacji gumowego fallusa.

– To jeden z naszych flagowych produktów – tłumaczy Tomasz Leśniak, prezes Medica-Group i właściciel sklepu internetowego Sekrecik.pl. – Reklamuje go Damian Zduńczyk, czyli Stifler z *Warsaw Shore*. Zadbaliśmy, aby wybrał z gamy wysłanych przez nas wibratorów właśnie ten, najbardziej oddający wielkość i wygląd jego własnego penisa. Dlatego ręczy za wibrator swoją twarzą, a my go sprzedajemy – obok paru innych produktów – pod hasłem Stiflers Collection.

Damian Zduńczyk, pseudonim Stifler, trzydziestolatek z Polic, nie przez przypadek został twarzą wibratora. Ale po kolei.

Tomasz, rocznik 1974, prowadzi sklep od 1999 roku. Od niedawna w działaniach marketingowych pomagają mu dzieci: dwudziestoczteroletnia córka i dziewiętnastoletni syn. Właśnie oni podpowiedzieli, że idealnie byłoby dotrzeć do klientów za pośrednictwem odwiedzanych przez nich mediów społecznościowych. Początkowo ambasadorką witryny była youtuberka SeksMasterka, czyli Aniela Bogusz, samozwańcza edukatorka seksualna. Potęga na polskim YouTubie, z tysiącami subów na kanale. Niestety, zmieniła profil i content. Teraz nazywa się Lil Masti, nagrywa piosenki, ma swoją linię odzieżową i trenuje sporty walki. Po niej ambasadorkami marki były modelki i gwiazdy reality show, ale prawdziwym strzałem w dziesiątkę okazał się dopiero Stifler z *Warsaw Shore*.

– Córka i jej mąż mi go podsunęli – wspomina Tomasz Leśniak. – Mówią: „Zobacz, tato, to idealny influencer dla naszego sklepu”. Dlaczego? Wystarczy spojrzeć na jego ksywkę w social mediach: Stifler16cm. Końcówka nazwy to rozmiar jego penisa.

Słowem: facet definiuje się przez swój narząd płciowy! Super! Stifler16cm długo był idealnym ambasadorem sklepu, ale nic nie trwa wiecznie. Każdy poszedł w swoją stronę. Tomasz nadal działa w branży. Stifler wystąpił w Fame MMA, przygarnął kilka psów ze schroniska, napisał autobiografię. Po ich współpracy została linia gadżetów erotycznych Stiflers Collection. Do nabycia w internecie, między innymi na Allegro.

Miłe panie z biura proponują mi kolejną kawę. Wypijam.

Przez ten czas wibrator z serii Stiflers Collection eskaluje na kartce, a za ścianą trwa gorączkowe pakowanie masażerów, pompek do powiększania penisów, pierścieni do ich pogrubiania, suplementów diety zmieniających smak spermy. Idą święta. Idealny czas na prezenty dla kobiet.

– Wibratory zamawiają panie? – dopytuję.

– Absolutnie nie! 80 procent naszego asortymentu wykupują mężczyźni – odpowiada Tomasz Leśniak.

– Po to, żeby ich używać na przykład do seksu analnego?

– Jeśli ich partnerka albo partner zechce? Czemu nie! Jednak z moich obserwacji i rozmów z klientami wynika, że zamawiają je dla swoich pań, żeby sobie używały, na przykład, kiedy oni wyjadą do pracy w delegację, za granicę. Żartują: przezorny zawsze ubezpieczony. Jeśli jej się zachce seksu, nie zadzwoni po sąsiada, tylko sięgnie do szuflady.

– Wydawało mi się, że to kobiety kupują wibratory. Dobierają je pod względem wielkości, nakładek – dziwię się.

– Czasami tak, ale u nas wibratory kupują głównie panowie. Mają być obowiązkowo duże i grube. Często zamawiają też wibrujące, ładowane

przez kabel USB nakładki na penisa albo kilkudziesięciocentymetrowe nakładki gumowe. Dzięki nim bez żadnych starań i, że tak powiem, od ręki mają potężną erekcję.

Nie wnikam, co potem robią z tym gigantycznym wzwodem. Naciskam czarną nasadkę wibratora, który po godzinie eskalacji milknie i zastyga.

Idziemy do magazynu. Na półkach piętrzą się gumowe waginy. Wyglądają, jakby czekały na leżące tuż obok zielone i fioletowe masażery o mocnych silnikach, różowe niczym landrynki kulki gejszy albo wibrujące majtki sterowane elektronicznie specjalnym pilotem.

W ofercie sklepu Sekrecik.pl jest około 30 tysięcy mniejszych i większych produktów. Tomasz Leśniak planuje jednak zwiększyć asortyment do 50 tysięcy.

– I to wszystko dla kobiet? Po to, żeby miały radość z seksu? – pytam.

– Tak. Trochę jednak też dla młodych facetów – mówi Tomasz.

– Mają zwielokrotnić ich doznania?

– Raczej zabezpieczyć przed porażką.

– Ale w jaki sposób?

– Mężczyźni, nawet ci młodzi, mają coraz mniej siły na seks. Są przemęczeni, spędzają mnóstwo czasu w jednej pozycji, przed komputerem. To nie sprzyja wigorowi, a stereotypowy facet musi mieć erekcję na zawołanie. Poza tym seks zaczyna się w głowie, a oni coraz częściej myślą, że nie podołają. Nasze produkty dają im pewność, że nie zawiodą, bo przecież mają w zanadrzu na przykład ziołowy specyfik na erekcję. Nie muszą wyjmować pastylek z kieszeni, ale pomaga sama świadomość, że jest coś na czarną godzinę.

– Ale po co nakładki na penisa? – Nie mogę zrozumieć.

– Przeciętna wielkość penisa w Europie to 13–16 centymetrów – tłumaczy cierpliwie Tomasz. – Większość naszych klientów uważa, że ich czło-

nek jest za mały i przydałyby mu się dodatkowe centymetry. Wyobrażają sobie, że wtedy – docierając penisem do końcówki pochwy – natychmiast zaspokoją swoje partnerki. Czasem tłumaczę: chłopie, wystarczy, że będziesz penetrował zaledwie 6 centymetrów, nie musisz od razu 20. Tajemniczy punkt G jest w przedniej ścianie pochwy. Poza tym tu nie liczy się siła rażenia, ale finezja! A przede wszystkim gra wstępna. Nie rozumieją.

– Słyszeli o orgazmie łechtaczkowym?

– Coś im się kojarzy, ale uważają, że prawdziwy i jedyny jest orgazm pochwowy. Na magazynie mamy wspomagające orgazm łechtaczkowy wibratory i soniczne pompki ssące, ale one cieszą się mniejszym powodzeniem. Sprzedajemy też olejki do masowania, gry erotyczne, koronkową bieliznę, ale bywa, że i one zalegają na półkach. Polak, wrzucając do wirtualnego koszyka wibrator o wielkości dwudziestu paru centymetrów, jest przekonany, że jego partnerka marzy, żeby zostać spenetrowana do końca. Dosłownie.

– Ale może zanim wrzuci coś do koszyka, powinien zapytać, czy jej to pasuje!

– Może i powinien. Ale nie umie.

Przede wszystkim nie wie, jakich ma użyć słów. Mówić cipka? A może muszelka? W słowniku młodych Polaków jest zadziwiająco mało określeń na waginę.

Z penisem jest łatwiej, bo można go nazwać naganiaczem, pisiorkiem, węgorzem, wężem, młotem, ptakiem, pytą, fifrakiem, członem, głową, kolegą, Wackiem, Wieśkiem, pytongiem, berłem, a nawet prezesem.

Ciężko też znaleźć odpowiednie słowa na określenie samego seksu.

Stifler16cm, były ambasador wibratora, kulek gejszy i paru innych gadżetów (spotkaliśmy się kilka tygodni później), był zdziwiony, kiedy zapytałam, w jaki sposób proponuje seks. Na razie jednak jestem w Słupsku,

w kilkupokojowej siedzibie wirtualnej potęgi seksu, czyli internetowego sklepu Sekrecik.pl. Pracownicy pakują ostatnie paczki, jeszcze tylko wysyłka i skończy się kolejny dzień w branży.

– Jak myślisz, z czego biorą się te wszystkie kłopoty z mówieniem o seksie i błędne przekonania młodych Polaków? – pytam Tomasza Leśniaka, a on odpowiada bez zastanowienia:

– Z porno i internetu. To ich jedyne okienko na świat. Otwarte przez 24 godziny na dobę, za darmo i dla każdego. Problem polega na tym, że jedyne, co mogą zobaczyć przez to okno, to bajka o seksie. Pornograficzna baśń dla dorosłych, dla ludzi dojrzałych i mających związki intymne, może być ciekawym urozmaiceniem pożycia. Nie może być jednak jedynym źródłem wiedzy o życiu i seksie dla młodych chłopaków czy mężczyzn.

Leśniak opowiada historie znajomych i klientów, którzy przed rozpoczęciem realnego współżycia oglądali wyłącznie porno. Uwierzyli, że to odwzorowanie prawdziwego życia, w którym wszyscy mężczyźni mają wielkie berła, kobiety balony w miejscu piersi i nieustanną ochotę na seks. Ale przede wszystkim chcą być cały czas poniżane, brane siłą, bez pytania i gry wstępnej, zalewane spermą, obrażane słowem, gestem, zaniechaniem.

W seksie – w co uwierzyli młodzi Polacy wychowywani na porno – ma chodzić o męską dominację. Zdobycie i naznaczenie terytorium kobiety, a potem ogłoszenie tego całemu światu. Ten, kto ma swoją kobietę, jest lepszy od tego, który jej nie ma. Ten, kto miał wiele kobiet, jest godzien zazdrości, bo skoro je zdobył i zatrzymał przy sobie, musiał mieć czym. Gdyby wierzyć porno, kobiety zatrzymywałoby się tylko wielkim penisem i hektolitrami spermy.

– Dlatego młodzi mężczyźni mają kompleksy nie tylko na punkcie wielkości członków, ale też ilości spermy – wyjaśnia Leśniak. – W porno widzą, że mężczyzna tryska niczym strażak, tymczasem w życiu jeden wytrysk to

około pięciu mililitrów, mała łyżeczka. Myślą, że coś z nimi nie tak, skoro dają z siebie tak mało. Problemy pojawiają się też, kiedy ich partnerki nie chcą, żeby podczas seksu oralnego tryskali im do ust. Myślą: w filmach porno aktorki o to proszą, widać moja sperma gorsza, wybrakowana. Kupują więc kilka specyfików na poprawę ilości i jakości, tymczasem żeby zmienić jej smak, mogliby zmienić dietę i jeść na przykład więcej potraw z ananasem.

– Mówisz im to? – dopytuję.

– Jeśli mam szansę, to mówię, że wszystko wymaga czasu, ale oni oczekują natychmiastowej zmiany nie tylko smaku swojej spermy, ale też podejścia partnerki. Tak się nie da. Nikt jeszcze nie wymyślił cudownej tabletki zamieniającej byle jaki seks w seks życia. Poza tym nikt w rzeczywistości nie ma permanentnego i trwającego kilka godzin wzwodu. Tymczasem chłopaki wychowywani na porno są przekonani, że to możliwe…

– I to zapewne staje się źródłem ich kompleksów? – pytam.

– Tak, ale też lęku przed kobietami, które wydają im się nienasycone, nieustannie oceniające i zagrażające – dorzuca Tomasz.

Dlatego zamiast przytulić się i pogadać, wolą kupić im wibrator za kilkaset złotych – kończę w myślach. Albo odejść. Wskoczyć przez zawsze otwarte internetowe okienko do świata porno. I pozostać w nim tak długo, jak tylko się da.

Ale o tym wkrótce.

Jeszcze tylko zapytam właściciela Sekreciku, czy wiedzę o seksie czerpał z podręcznika szkolnego współautorstwa seksuologa klinicznego i psychoterapeuty Wiesława Sokoluka pod tytułem *Wychowanie do życia w rodzinie*.

Szansa jest niewielka, bo po dwóch miesiącach półmilionowy nakład wycofano ze szkół i zmielono. Pamiętają to nieliczni, dziś pięćdziesięciopa-

roletni, którzy przed wybuchem nowej Polski protestowali z przypiętymi do szkolnych fartuchów plakietkami: „Oddajcie nasz podręcznik”!

Pamiętać mogą również – i mam nadzieję, że wracają do tych wspomnień – ówcześni dziennikarze, działacze partyjni i pedagodzy. Na ostatniej prostej PRL-u, w 1987 roku, krzyczeli, że podręcznik Sokoluka demoralizuje dzieci, łamie chroniącą małżeństwo Konstytucję PRL, uczy masturbacji oraz informując, że związki homoseksualne nie różnią się od heteroseksualnych, wystawia maleńkie dzieci na łup pedofili.

A wszystko przez propagowanie szkodliwych treści. Czyli wyjaśnianie, jak wygląda defloracja błony dziewiczej, jak można w seksie czytać sygnały płynące z ciała partnera, czyli komunikować się przez dotyk, i dlaczego warto przyznać sobie prawo do tak zwanej awarii seksualnej. Słowem: z czułością dbać o przestrzeń własną, ale też drugiego człowieka. I przede wszystkim poznać własną seksualność, bo bez niej człowiek nie zna w pełni siebie. A wtedy łatwo go samym sobą omotać, przestraszyć albo sprzedać tym, którzy mówią, że to oni o jego potrzebach wiedzą lepiej.

Wracam do Słupska, zastygłego na kartce wibratora z serii Stiflers Collection i zimnej kawy.

– Czytałeś słynny podręcznik *Wychowanie do życia w rodzinie* Sokoluka? – pytam Tomka Leśniaka.

– Niestety nie. O narządach płciowych męskich i damskich uczyliśmy się na biologii – odpowiada. – Poza tym w 1987 roku, kiedy podręcznik trafił do szkół średnich, skończyłem 13 lat. Nie miałem szansy go przeczytać, zanim zniszczono nakład. A kiedy, już w wolnej Polsce, zacząłem naukę w liceum, rozpoczęła się walka o rząd dusz, czyli tak zwaną moralność młodego pokolenia Polaków. Ja dostałem tylko rysunki anatomiczne, na których ludzkie organy płciowe wyglądały na odcięte od reszty ciała i wypreparowane. Do tego suchy opis przenikania plemnika do komórki jajo-

wej. Wszystkiego o seksie, potrzebach kobiet i bliskości musiałem – jak my wszyscy – nauczyć się sam.

Usiłuję – w rozmaitych antykwariatach internetowych – znaleźć choć jeden ocalały egzemplarz podręcznika z 1987 roku. Bezskutecznie. Odnajduję więc Wiesława Sokoluka. Do 2006 roku, kiedy odszedł na wcześniejszą emeryturę, był dyrektorem Specjalistycznej Poradni Psychologiczno-Pedagogicznej TOP. Raz w tygodniu pełnił w niej telefoniczny dyżur seksuologiczny dla młodzieży. Zajmował się też profilaktyką HIV i AIDS. Organizował pierwsze szkolenia dla pracowników sanepidów, pielęgniarek i pedagogów. Tłumaczył, że wirusem HIV nie można się zakazić, używając wspólnych szklanek. A także, że AIDS nie dotyka wyłącznie narkomanów i homoseksualistów. Dziś pisze książki. Mniej więcej w tym czasie, kiedy nie dopuszczono do szkół kolejnego podręcznika do wychowania do życia w rodzinie – tym razem z powodu informacji, że seks dotyczy również osób z niepełnosprawnościami – wydał z Biancą-Beatą Kotoro książkę *100% mnie, czyli książka o miłości, seksie i zagłuszeniach*. Zamieścił w niej rozdział Izabeli Fornalik o seksie osób z niepełnosprawnością fizyczną i intelektualną. I o tym, jak niesłusznie ich popęd jest uznawany za kolejny – piętnowany – dowód choroby.

Sporadycznie prowadzi też zajęcia dla nauczycieli wychowania do życia w rodzinie.

Mówi wtedy, że – niezależnie od tego, jak bardzo społeczeństwo będzie chronić swoje dzieci i zwalać winę na tak zwanych deprawatorów – między 15. a 20. rokiem życia trzy czwarte chłopców i połowa dziewczyn będą po inicjacji seksualnej. Tak było i tak będzie.

Popęd seksualny nie pochodzi przecież z zewnątrz, ale ze środka ciała. Prawda tak prosta, jak to, że tak zwanych wartości nie da się wepchnąć do głowy na szybko. Człowiek musi wzrastać w nich od małego, słyszeć je –

niczym refren piosenki, w której zmieniają się tylko słowa zwrotek – od dziadków, ojców. Najlepiej na tym samym polu czy podwórku.

Ale dziś – jak mówili mi Don Kasjo, Mahonek i inni potężni włodarze internetu – to luksus dla nielicznych.

Dlatego jedyne, co można zrobić, to dać narzędzia. Podarować dzieciakom idącym samotnie nad rwącą rzekę kompas. Mapę. Latarkę. Innymi słowy, podzielić się wiedzą i zaoferować, jeśli będzie trzeba, wsparcie.

– Po co chce się pani ze mną spotkać? – zapytał Wiesław Sokoluk, kiedy zadzwoniłam. – Przecież przegrałem. Podręcznik wycofano. Przemielono. Zostałem naczelnym deprawatorem polskiej młodzieży.

Przekonywałam, że wygrał, bo – niczym bohater *Skazanego na śmierć*, który który dobrowolnie idzie do więzienia, żeby uwolnić niesłusznie skazanego na śmierć brata – przekopywał się przez politykę, uprzedzenia i stereotypy.

– Przegrałem – powtarzał. – Wystarczy posłuchać, jakich haseł używają dziś politycy, obrońcy nienarodzonych, gorliwi przedstawiciele kościoła katolickiego.

W duchu przyznałam mu rację. Mimo to spotkaliśmy się w jego mieszkaniu niedaleko Kopca Powstania Warszawskiego. Opowiedział, jak przeniósł grupę dzisiejszych nastolatków w przeszłość, czyli po konferencji dotyczącej AIDS puścił im *Yesterday* – zrekonstruowany cyfrowo film Radosława Piwowarskiego z 1984 roku (do obejrzenia na YouTubie, stan na koniec stycznia 2021 to 19 999 wyświetleń). Opowiada on historię chłopaków z technikum, fanów zespołu The Beatles, którzy zakładają własny zespół. Zakochują się, buntują przeciwko lokalnym autorytetom i szarości PRL-u. Film zaczyna się piosenką Paula McCartneya *Yesterday*.

– Jak się skończył eksperyment? Wytrzymali prawie dwie godziny bez zerkania na telefony? – dopytywałam Wiesława Sokoluka.

– Obejrzeli z zainteresowaniem – odpowiedział. – Byli poruszeni. Kilkoro z nich miało nawet łzy w oczach.

– Co ich mogło tak poruszyć w historii osadzonej bardziej w czasach ich dziadków niż rodziców?

– Na przykład to, że kiedyś poza cyberprzestrzenią było życie towarzyskie, ludzie się poznawali, rozmawiali ze sobą, bawili się, tańczyli. Jeden z chłopców był zdumiony, że kiedyś młodzież mogła tyle czasu być ze sobą i wspólnie coś tworzyć w realnej przestrzeni – mówi Sokoluk.

– Jak zareagowali na scenę seksu? Pamiętam, że w latach 80. w kinach rodzice zasłaniali dzieciom oczy, kiedy Ringo poszedł do łóżka z Anią.

– Byli zdziwieni, że tyle trwało, zanim zaczęli uprawiać seks – mówi Sokoluk. – Wielu młodych z ich pokolenia uważa, że najpierw robi się seks, a potem – jeśli będzie ochota – dorabia do niego relację. Problemem jest to, że nie mają narzędzi tworzenia relacji. O tym, jak uprawiać seks, wiedzą z łatwo dostępnego porno, z internetu. Ale już o tym, jak zaprzyjaźnić się z innym człowiekiem, jak ostrożnie wejść na jego terytorium i zaprosić na swoje, nie mają pojęcia.

– Dlatego poruszyło ich *Yesterday*? – pytam.

– Myślę, że tak, ale – co akurat mnie zasmuciło – nie umieli nazwać swoich uczuć. Wiedzieli tylko, że jest w nich jakaś potrzeba. Gdyby można ją było pokazać w formie algorytmu, może byłoby im łatwiej, ale mówić o niej nie umieją.

– W tej scenie było też dużo czułości…

– I nieśmiałości początkujących kochanków, którzy wreszcie, po długim czekaniu, zostają sam na sam – mówi Sokoluk.

– Może właśnie ta nieśmiałość i delikatność ich tak porusza – ciągnę. – Seks to przecież niekoniecznie penetracja. To również czułość. Może szu-

kają seksu, żeby doświadczyć delikatności dotyku, ale pornografia pokazuje, że muszą być brutalni. Więc tacy są.

– Może. Z pewnością jednak doświadczyli niezidentyfikowanej tęsknoty, która była tak silna, że wywołała w nich mnóstwo emocji i jednocześnie je zablokowała – opowiada Sokoluk.

– Zdrowiej byłoby o nich porozmawiać z życzliwym dorosłym, ale trzeba być z nim blisko. Łatwiej wskoczyć w internet, odpalić jakiś film albo stronę porno.

– Niestety. Ale ja już swoje zrobiłem. Teraz pora na was.

Staszek i Paweł

Staszek i Paweł to ludzie z mojej epoki.

Pierwszy urodził się ciut wcześniej, drugi później. Obaj jednak kojarzą brytyjski serial BBC *Doktor Who* – kultowe science fiction w odcinkach, produkowane od 1964 do 1989 roku. Fabuła serialu kręci się wokół podróży Doktora, humanoida, który zabiera grupkę wybrańców w podróż po wszechświecie. Mogą oglądać, jak walczy ze złem, ratuje cywilizacje, leczy i naprawia błędy. Na swojej drodze napotyka Cybermenów, którzy pochodzą z równoległej Ziemi i rwą się do bitki nie tylko z nim, ale też ludźmi i Dalekami. Z tymi ostatnimi walczą szczególnie zawzięcie. A przecież mogliby zostać sojusznikami, bo łączy ich nie tylko brak empatii, ale też technokracja. Cybermeni występują w różnych odmianach, ale najbliższa ludziom jest ta z równoległej Ziemi. Ich największą słabością jest system nerwowy. Działa prawidłowo tylko wtedy, gdy umiejscowione na ich piersiach urządzenie blokujące funkcjonuje dobrze. Jego uszkodzenie powoduje ból istnienia. I śmierć z powodu eksplozji głowy.

Staszek i Paweł jako ludzie z mojej epoki pamiętają jednak, że Cybermeni łatwo nie dają się złapać i uszkodzić. Ich największą siłą jest poczucie

mocy i wyjątkowości.

Ale Staszek Pilewski i Paweł Komar to przecież doktorzy, którzy nie taki arsenał rozbrajali. Pierwszy pomaga współczesnym cybermenom w realu, w Ośrodku Terapii Uzależnień MIM na Saskiej Kępie. Drugi założył miejsce terapii online, Laboratorium Potrzeb, i współpracuje z Centrum Integracji Psychicznej i Somatycznej. Obaj są terapeutami uzależnień. Paweł skończył również seksuologię kliniczną i jest w trakcie szkolenia na psychoterapeutę. Staszek opowiedział mi o chłopakach uzależnionych od seksu, którzy nigdy nie współżyli z kobietą. I o tym, jak stara się ich wyciągnąć z sieci i pokazać, że – również dzięki wsparciu grupy innych zagubionych – mogą wrócić do życia. Z Pawłem, kolejnym wcieleniem doktora Wiesława Sokoluka (pamiętajmy, że Doktor Who ma zdolność odradzania się), rozmawiałam o złudnym poczuciu mocy chłopaków urodzonych po 1989 roku. Opowiedział mi, jak chłopaki traktują internetowe aplikacje randkowe. Ale nie wszyscy, tylko ci, którzy uzależnili się od cyberseksu z cyberkobietami.

Zanim zaproszę cię razem ze Staszkiem do budki policyjnej TARDIS (Doktor Who podróżował nią w czasie i przestrzeni), opowiem o pacjentach Pawła.

Ich poczucie mocy ma źródło w dzieciństwie. Przekonanie o niezwykłej sile płynie do nich, kiedy w wieku pięciu albo sześciu lat po raz pierwszy wchodzą do internetu. Czyli: dostają swój tablet, komórkę albo stały dostęp do komputera rodziców. A tam: jedno muśnięcie palcem i otwiera się cały świat. Bez pracy, wysiłku i często zasad narzuconych przez dorosłych.

Chłopiec, silny dzięki dostępowi do internetu, staje się autorytetem dla starszych, którzy nie mają pojęcia, jak tam wejść. Dziadkowie i babcie proszą, żeby uruchomił komputer, ściągnął aplikację, pokazał, jak korzystać z wyszukiwarki. Na ich oczach – podczas facebookowej wideorozmowy –

chłopiec zmienia postać i korzystając ze specjalnych nakładek, staje się potworem, zombie, a nawet gangsterem z papierosem w ustach.

Czasem taki chłopiec odkrywa, że już nie musi czekać na dorosłych. Kiedyś może czekał, aż wrócą z pracy, opowiedzą bajkę i utulą do snu. Teraz bajki opowiada mu tablet albo telefon. Nie musi nawet chować go pod kołdrą, tak jak przedstawiciele mojej epoki chowali latarki, którymi nocą oświetlali kolejne strony książek. Z czasem do snu utulą go płynące z internetu obrazy seksu. Nie połączy ich – ma przecież kilka lat – z realnym seksem, z realnymi ludźmi. W tym wieku masturbacja nie jest przecież, jak powiedział mi Paweł Komar, motywowana popędem seksualnym. To naturalny element rozwoju. Wynika z ciekawości i odkrywania, daje przyjemność, która płynie z pobudzania erogennych stref na ciele. Staje się regulacją dopiero wtedy, gdy dziecko nauczy się, że ta przyjemność może go ukoić. Dopiero wtedy staje się przyciskiem na piersiach cybermana. Sprawnie blokuje emocje. Nie dopuszcza do bólu spowodowanego tęsknotą za zmarłą babcią czy brakiem zainteresowania rodziców, żalu z powodu zagubionej karty z Robertem Lewandowskim, strachu przed kolejnym dniem w szkole, gdzie koledzy mówią na cybermana – gruby.

To wszystko zniknie. Wystarczy muśnięcie palcem smartfona.

– Dziecko dostaje władzę, na jaką nie jest gotowe – mówi mi Paweł Komar. – Jako dojrzewający nastolatek, a potem młody mężczyzna, będzie z niej korzystać równie nierozważnie. Porno, które teraz pomaga mu rozładować napięcie seksualne, zamknie go na innych. Odetnie od emocji, znajomych i samego siebie. Zabezpieczy też na wypadek najtrudniejszej emocji poza lękiem – nudy. Współczesny młody cyberman jak ognia boi się nudy, której dzięki smartfonowi nigdy nie zaznał. Masturbuje się więc z bezradności i lęku przed nudą. Z czasem być może odkryje, że Pornhub czy RedTube przestają mu wystarczać.

Zaczyna więc mieszać Pornhub z Tinderem, Grindrem, czatami, kamerkami, przekazywać obcym ludziom sekslinki, czyli treści erotyczne. Wysyłać setki wiadomości do kobiet, mężczyzn, czasem nawet dzieci. Nie po to, żeby się z nimi spotkać, nawiązać relację czy wykorzystać w realu, ale by ich użyć w internecie. Wystukiwane przez obcych wyrazy, emotikony i zdjęcia są niczym kreska koki. Do wciągnięcia na raz i wzmocnienia dwoma, trzema filmami porno. I masturbacją.

– Taki ciąg masturbacyjny trwa nawet cztery godziny, podczas których można – niczym w internetowym porno – zrobić stopklatkę, czyli zatrzymać się w fazie *plateau*, czyli drugiej z czterech faz podniecenia seksualnego między podnieceniem a orgazmem – mówi Paweł Komar.

Penis jest dla cybermana dżojstikiem, ale tylko on umie nim sterować. Będzie zawiedziony, jeśli kiedyś, już jako mężczyzna, odważy się na seks z kobietą. Nie będzie umiała go dotykać tak celnie jak on sam. Będzie przeszkadzać mu w sterowaniu *plateau*. Być może roześmieje się albo zdziwi, że zanim dojdzie do penetracji, będzie markował ruchy posuwisto-zwrotne między jej udami, ale przecież on zawsze tak robi. Patrząc na porno w telefonie, pociera członkiem o poduszki. Już się z nią nie spotka, a na seks z realną kobietą może nigdy się nie zdecydować. Czasem jednak, ale to zdarza się nielicznym, może się zakochać. Na przykład w kobiecie, którą podgląda na czatach z kamerkami. Płaci jej za to, że kiedy ona doprowadza się do orgazmu, on robi to samo.

Ta równoległa miłość internetowa będzie dla niego jedyną możliwą relacją, która nie dopuści do bólu istnienia. Być może do końca życia będzie mylił ją z miłością.

Notatki Pawła Komara o swoich pacjentach

R., 26 lat, zgłosił się z nałogowym oglądaniem pornografii (codzienne, kilkugodzinne sesje) i kompulsywną masturbacją. Wielogodzinne sesje porno znacząco wpłynęły na jego pracę (spóźnienia, obniżenie wydajności, nieobecności). Sytuacja była na tyle poważna, że mógł stracić pracę. Na sesję online zgłosił się przerażony, w dużym poczuciu winy, wstydu i beznadziei. Pomimo prób zaprzestania nałogowych zachowań, nie potrafił odstawić pornografii na więcej niż 10 dni.

Historia R.

R. był jedynakiem, pochodził z rodziny, gdzie domem i wychowaniem dzieci zajmowały się kobiety. Ojciec był obecny tylko fizycznie, wracał z pracy, siadał przed telewizorem i nie interesował się synem. Rzadko rozmawiali. Gdy R. miał pięć lat, rodzice kupili mu komputer, który z czasem stał się dla niego najlepszym „przyjacielem”. Niedługo potem ojciec R. wyjechał do pracy za granicę i ich kontakt był jeszcze rzadszy. R. od początku szkoły podstawowej słabo odnajdował się wśród rówieśników, nie miał kolegów, uczył się nieźle i nie sprawiał problemów. Mimo to niechętnie wychodził z domu. Całe dnie spędzał, grając w gry MMO, strzelanki i fantazjując o sobie jako nieustraszonym wojowniku. To dawało mu siłę i ukojenie, kiedy pojawiały się problemy, wobec których czuł się bezradny. W wieku 10 lat po raz pierwszy zetknął się z pornografią i choć na początku odczuwał strach i poczucie winy, to z czasem wracał do treści porno coraz częściej. Gdy wszedł w okres dojrzewania, w świecie fantazji pojawiły się też dziewczyny. Pornografia zastępowała mu realne kontakty z koleżankami, przy których był onieśmielony, a które go fascynowały. Podkochiwał się w kilku, ale przekonanie, że jest z nim coś nie tak, skutecznie blokowało jakąkolwiek próbę nawiązania relacji. Gdy mieszkał z matką, nie zwierzał się jej z problemów. Ona natomiast znalazła w nim powiernika i często opo-

wiadała o swoich trudnościach. Nie chciał dodatkowo obciążać jej swoimi problemami. Starał się być grzeczny, miły, poukładany, chodził do kościoła, w dzieciństwie pełnił funkcję ministranta i był przekonany, że jeśli z czymś sobie nie radzi albo ma problemy, jest to kara za niemoralne oglądanie pornografii. Sam musi się z tym uporać. W szkole średniej oglądał treści pornograficzne codziennie.

Na studia wyjechał do innego miasta i ograniczył kontakty z rodziną. W tym okresie zredukował swoją aktywność do zajęć na uczelni, grania na komputerze i oglądania pornografii. Z racji nieprzeciętnej inteligencji dobrze sobie radził z nauką i szybko znalazł pracę. Jednak nowa praca, łączenie jej ze studiami, pogorszenie relacji z matką, która zaczęła mu wypominać, że coraz rzadziej pojawia się w domu, spowodowały, że napięcie, które się w nim pojawiało, domagało się coraz mocniejszego rozładowania. Kilkugodzinne sesje pornograficzne miały miejsce niemal codziennie, czuł się po nich wyczerpany, nie miał sił i ochoty na jakąkolwiek aktywność. Dodatkowo towarzyszyło mu przekonanie, że jest sam sobie winien. To, co przeżywa, to kara. Nic i nikt mu nie pomoże.

Historia R. nie jest wyjątkowa. Jego doświadczenia wpisują się w powszechny schemat funkcjonowania osób borykających się z hiperseksualnością. Gdy R. zgłosił się na terapię, był bezradny i zagubiony. To powszechne doświadczenie młodych ludzi, którzy do mnie trafiają. Zamiast wsparcia, kontaktu, żywej relacji, rozmowy i ciepła często otrzymują telefon, tablet. Urządzenia, które mają im to wszystko zastąpić. Dostarczyć rozrywki, zająć, nauczyć, ale i ukoić, wspomóc. To ukojenie z czasem zamienia się w nałogową czynność, która powoduje cierpienie i ma poważne konsekwencje. To, co w tym i wielu innych podobnych przypadkach wydawało się najskuteczniejszą formą pomocy, to zbudowanie bezpiecznej relacji terapeutycznej, w której R. mógł doświadczać, próbować i uczyć się kontak-

towania z własnymi emocjami. Mógł też nauczyć się stawiania granic i przyglądać schematom relacji, które wyniósł z domu. Oczywiście najpierw należało zająć się tym, co powodowało największe szkody – uzależnieniem od pornografii. Uzależnienie jest dla mnie odpowiedzią na traumę, trudne doświadczenie, i tak jak w pracy z traumą należy być delikatnym i najpierw zbudować bezpieczną relację.

Młodzi mężczyźni tacy jak R. przychodzą w dużym poczuciu winy, wstydu, więc staram się nie stosować metod wzmacniających jeszcze to poczucie. Nie rozliczam, nie nakazuję, nie stawiam warunków, oddaję odpowiedzialność klientowi. To przecież jego życie. Otrzymanie w młodym wieku dużej władzy, z którą nie umie sobie poradzić, zdejmuje z niego tę odpowiedzialność, a brak figur męskich, od których mógłby się jej uczyć, pogłębia i utrwala ten proces. Nie potrafiąc samemu odpowiadać za swoje zachowania, obarcza tym obowiązkiem kogoś innego. Dlatego tak duży nacisk kładę na odpowiedzialność i sprawczość, które budują poczucie wartości.

Z R. umówiliśmy się po pewnym czasie (gdy widziałem, że zaczyna sobie sam radzić), że przestanę go pytać o kwestie nałogowych zachowań, ale zajmiemy się tym, jeśli będzie chciał wnieść ten temat na sesję.

Skupiliśmy się na analizie bieżących dni i tygodni, sprawdzaniu, w jakich okolicznościach R. sięga po pornografię, jak wygląda cały proces, kiedy tak naprawdę i pod wpływem czego podejmuje decyzję o sięgnięciu po treści pornograficzne lub rezygnacji z nich. Ta analiza plus zachęcenie R. do obserwowania stanów emocjonalnych pozwoliła zmniejszyć intensywności zachowań. R. powoli zaczął odzyskiwać kontrolę nad tymi aspektami życia, które przyprowadziły go do mojego gabinetu. R. spróbował zrezygnować z pornografii, przeglądania treści erotycznych w internecie i ograniczył się do masturbacji. W przypadku „wpadek” zaproponowałem,

żeby starał się nie obwiniać za ewentualne potknięcia, traktował je jako naturalne etapy nauki i notował wnioski. Z czasem strategia zaczęła przynosić rezultaty, kolejne dni bez pornografii budowały w R. wiarę w swoje możliwości, a pojedyncze epizody nie podkopywały jego poczucia sprawczości.

Historia Sz.

Sz., 23 lata, zgłosił się na konsultację, ponieważ chciał ograniczyć oglądanie pornografii oraz nauczyć się budować długoterminowe relacje z dziewczynami.

Mieszkał z dziadkami. Gdy miał 11 lat, rodzice zdecydowali się wyjechać zarobkowo za granicę. Najpierw na kilka miesięcy, z czasem zrobiły się z tego lata. Wracali co miesiąc do Polski odwiedzić syna, jednak na stałe nigdy nie wrócili, a Sz. nie chciał się do nich przeprowadzić. Porzucenie jedenastoletniego chłopca wydaje się okrutne, ale Sz. opisywał je beznamiętnie i wyglądało na to, że jest z tym pogodzony. Może dlatego, że rodzice oddali Sz. pod opiekę dziadków, wujków i ciotek. Sz. stał się oczkiem w głowie rodziny, a jej członkowie pozwalali mu na więcej niż matka i ojciec.

Sz. swoje doświadczenia z czasów, gdy jeszcze mieszkał z rodzicami, wspominał niechętnie. Ojciec już wcześniej wyjeżdżał na kilkumiesięczne wyprawy zarobkowe, a matka, pracując, nie miała za wiele czasu dla jedynego syna. Wspominał zabawki, które dostawał, wspólne święta, ale bardziej jako czas prezentów i niespodzianek niż bliskości i ciepła rodzinnego. Sz. dowiedział się o planach rodziców kilka dni przed ich wyjazdem. Po ich wyjeździe najpierw czuł się źle, było mu smutno, był zaskoczony, że oboje wyemigrowali i musi się przeprowadzić do dziadków. To wtedy zaczął oglądać filmy pornograficzne, które z czasem stały się dla niego odtrutką. Marzył i fantazjował o tym, żeby mieć jak najwięcej partnerek. Sz. bardzo

lubił sport, trenował sztuki walki, gry zespołowe i to przede wszystkim wypełniało jego czas w gimnazjum.

Mieszkał w domu dziadków, gdzie miał całe oddzielne piętro do dyspozycji i nikt mu nie przeszkadzał. Po gimnazjum poszedł do szkoły średniej i zmienił otoczenie. Chcąc zaimponować kolegom, organizował imprezy w mieszkaniu rodziców. Miał do niego klucze. Był przystojny, inteligentny, elokwentny, podobał się dziewczynom, więc szybko zaczął umawiać się na randki. Pierwszy stosunek seksualny odbył w wieku 15 lat z dziewczyną starszą od niego o cztery lata. Bardzo mu się to spodobało, jak mówił, „odkryłem świetną rzecz, która może dawać mi dużo radości i ekscytacji".

Od 16. roku życia do momentu zgłoszenia się na terapię życie Sz. przebiegało wedle schematu – w tygodniu trenował, uczył się, pracował, a w weekendy imprezował. Miał bardzo dużo partnerek seksualnych, często starszych. Twierdził, że na każdej imprezie wybierał jedną, z którą planował współżyć. W pierwszy poważny związek wszedł jako osiemnastolatek. Jak mówił, „spotkał superdziewczynę, bardzo ładną", o dwa lata starszą. Od razu zostali parą. Sz. opowiadał, że znajomość rozpoczął od stosunku seksualnego i przez pierwsze kilka tygodni ich relacja opierała się tylko na seksie. Współżyli kilkakrotnie w ciągu dnia, a spotykali się niemal codziennie. Po miesiącu Sz. zauważył, że dziewczyna zaczyna go nudzić i ma coraz mniejszą ochotę, żeby z nią współżyć. Zaczął unikać spotkań, jeździł na imprezy do sąsiednich miejscowości, żeby tam poznawać nowe partnerki. Po kilku miesiącach się rozstali, co jednak, jak mówi, bardzo przeżył.

Pociechę znalazł u nowej dziewczyny, z którą relacja wyglądała podobnie jak z poprzednią. Gdy pojawił się na konsultacji, właśnie rozpoczął nowy związek i to był jeden z powodów zgłoszenia, bał się, że sytuacja się powtórzy. Twierdził, że jest naprawdę zakochany, a dziewczyna jest wyjątkowa, z zasadami, nie współżyli od razu, dopiero na trzecim spotkaniu, po

dwóch tygodniach znajomości. Po pierwszych zbliżeniach seksualnych sytuacja jednak zaczęła się powtarzać. Spotkania sprowadzały się do seksu i ponownie Sz. zaczął odczuwać znużenie dziewczyną. Pojawiła się też chęć poszukania następnej. Zaczęliśmy się temu przyglądać, zastanawiać się, o co tu chodzi, jak on rozumie to, co się z nim dzieje. Przez czas, gdy spotykał się ze mną na sesjach, nie szukał innych partnerek, jednak trudno mu było zmusić się do współżycia z obecną partnerką. Mocno to przeżywał. Dziewczyna bardzo mu się podobała, ale wolał oglądać pornografię i masturbować się, niż współżyć.

Po kilku tygodniach Sz. zaprzestał oglądania pornografii. Postanowił, że skupi się na relacji, w której jest, zamieszka razem z dziewczyną, a potem wyjadą wspólnie do pracy do innego miasta. Zacisnął zęby. Miałem wrażenie, że im bardziej zacieśniało się nasze przymierze terapeutyczne i proces terapeutyczny wymuszał na Sz. reakcję na naszą relację, tym trudniej mu było. Gdy pracowaliśmy nad zatrzymaniem zachowań, był pełen zaanagażowania, bardzo skrupulatnie realizował zalecenia. Jednak gdy nasze spotkania skupiały się na uczuciach, na tym, jak mu jest w relacji z obecną partnerką, jak postrzega mnie, jakie emocje się w nim pojawiają podczas naszych sesji, zaczął uciekać. Najpierw spóźniał się na sesje, potem je odwoływał, zdarzały się nieplanowane wyjazdy służbowe, urlopy, choroby. Po ponad pół roku wspólnej pracy Sz. zrezygnował. Tłumaczył decyzję problemami zawodowymi i tym, że po części swój cel osiągnął, bo nie ogląda pornografii.

Gdy się rozstawaliśmy, był na etapie uczenia się, jak być z drugim człowiekiem jako człowiekiem, a nie obiektem, który ma zapewnić mu przyjemność.

Przykład Sz. pokazuje, jakie spustoszenie w sferze relacyjnej powoduje przykrywanie pornografią lęków przed byciem blisko w relacji. Wzrastał

w zepchniętym do podświadomości przekonaniu, że bliska relacja jest zagrażająca, łączy się z odrzuceniem, stratą, cierpieniem, a najbezpieczniejsza i najlepsza forma bycia z kimś to instrumentalne branie i dawanie przyjemności. Bez kontaktu emocjonalnego. Gdy pojawiała się choćby zapowiedź relacji emocjonalnej, Sz. uciekał. To miało miejsce i w przypadku dziewczyn, z którymi się spotykał, i w naszej relacji terapeutycznej, i w relacjach ze znajomymi. Sz. nie miał przyjaciół, wszystkie kontakty były powierzchowne, ale też w taki sposób traktował siebie. To dlatego łatwiej było mu pracować nad „poprawieniem siebie" w kontekście ograniczenia oglądania pornografii, bo to mógł wdrożyć mechanicznie, nie angażując emocji, to był proces behawioralny i rozumowy. Gdy tylko pojawiała się perspektywa głębszego zaangażowania emocjonalnego, Sz. uciekał, to było bowiem zbyt zagrażające.

Sz. postanowił jednak dalej pracować nad sobą. Pod koniec naszych spotkań zaczął uczęszczać na spotkania SLAA (Sex and Love Addicts Anonymous, grupy samopomocowe dla osób uzależnionych od relacji i seksu) i ufam, że we wspólnocie znajdzie miejsce na pracę nad bliskością.

Opowieść Stanisława Pilewskiego

Opowiem o chłopakach seksoholikach, którzy nigdy nie widzieli na żywo nagiej kobiety. Nigdy jej nie przytulili, nie poczuli, jak jej bije serce i jak pachnie skóra, ale znali tysiące sposobów pobudzania i nagradzania. Samych siebie. Najmłodszy chłopak seksoholik miał 16 lat. Masturbował się od 9. roku życia. Zaczęło się od tego, że przypadkiem, jak każdy dzieciak, który dostaje na komunię smartfon, odkrył strony z porno. Najpierw zastygł ze zdumienia, bo chciał obejrzeć filmik z kociakami, a zobaczył nagie kobiety. Z mężczyznami. Potem w miejsce zdumienia pojawiło się przerażenie, bo zrozumiał, że to filmik nie dla niego. Natychmiast odłożył tele-

fon, ale emocje były silne i nowe. Nie wiedział, co z nimi zrobić, jak je w sobie pomieścić. Nie mógł wyrzucić spod powiek obrazów zabronionej nagości. Czuł ekscytację pomieszaną z przerażeniem, że odpalając filmik i oglądając nagich mężczyzn i splecione z nimi kobiety, popełnił grzech. Nie wiedział, komu mógłby się z tego grzechu wyspowiadać. Nawet przez moment nie pomyślał, że mógłby o tym opowiedzieć rodzicom. Ojca się bał. Mama była zajęta młodszym bratem. Kiedy chciała mieć chwilę dla siebie, włączała mu film na telefonie. Młodszy natychmiast się uspokajał, wpatrzony w kolorowe, skaczące kuleczki.

Napięcie i niepewność chłopaka, o którym opowiadam, były tak silne, że po raz kolejny sięgnął po telefon. I ten sam film. Nie po to, żeby poczuć pobudzenie, ale zagłuszyć ekscytację i przerażenie. Pomyślisz: błędne koło. I tak właśnie działa uzależnienie. Również od seksu i pornografii. Chłopiec najpierw zastygł z przerażenia, a potem zauważył, że może uciec od niewygodnych dla siebie uczuć, zastygając po raz kolejny. Przez następne lata korzystał z tego odkrycia.

Oglądał porno, kiedy miał gorszy dzień w szkole. Odpalał je, kiedy przegrał w *League of Legends*, pokłócił się z młodszym bratem, zgubił pieniądze, które mama dała mu na szkolną wycieczkę. Nie musiał się z tym szczególnie ukrywać. Wystarczyło, że wyjął komórkę z tornistra, wklepał kilka zdań w przeglądarkę, zamknął się w pokoju, żeby odrabiać lekcje, albo zaryglował w łazience.

Ojciec karał go, zabierając mu telefon albo odcinając internet, ale umiał już masturbować się bez ciał z internetu. Zaczął też patrzyć na dziewczyny i kobiety – w szkole, na ulicach – jak na obiekty. Do pobudzenia, które miało zagłuszyć smutek, rozdrażnienie czy nudę, wystarczało rozbieranie ich w myślach i wpasowywanie w kadry z filmów z internetu. Obrazy i fantazje były jak strzykawka z heroiną. Mechanizm jest zresztą podobny: ma-

sturbacja pobudza układ nagrody w mózgu, produkując między innymi dopaminę. Strzał szczęścia.

Niestety, takie strzały trzeba powtarzać coraz częściej. Mózg dopomina się o więcej i więcej, żeby wyprodukować tyle szczęścia, ile początkowo. W fazach rozwoju uzależnienia nazywamy to wzrostem tolerancji.

W pewnym momencie porno, w którym występują mężczyźni z kobietami, nie wystarcza. Wtedy trzeba kopnąć mózg czymś mocniejszym.

Chłopiec zaczął oglądać seks młodych chłopaków z kobietami w wieku swojej babci. Kiedy i to przestało działać, zaczął szukać kolejnych, dziwnych i zaskakujących kompilacji ciał. Małych, dużych, młodych, starych, tej samej płci.

Nie chodzi o to, że chłopiec w ten sposób odkrywał swoją orientację seksualną albo chciał realnie zrobić krzywdę jakiemuś dziecku. On szukał twardych narkotyków dla mózgu przytępionego monotonią tradycyjnego porno.

Sam zgłosił się na terapię, bo był wykończony fizycznie. Nie mógł spać, skupić się na lekcjach, ciągle myślał, gdzie najlepiej się schować, żeby – w szkole, na dworcu, w kinie – rozluźnić się masturbacją przy smartfonie. Wpadł w błędne koło. Nie do zatrzymania samodzielnie, bo tu ktoś z boku musi wsadzić kij w kręcące się szprychy. Czyli: dotrzeć do źródła problemu, odpowiedzieć na pytanie, dlaczego na początku uzależnienia od seksu nie powiedział o filmie mamie, tacie, babci, dziadkowi. Dorosłemu, któremu ufa i którego się nie boi. Jeśli nie ma takiej osoby, znaczy, że to nie ze smartfonem jest problem (oczywiście są różne zdania na temat sprawiania dzieciom takich prezentów), ale z jego rodziną. Bo skoro dziecko przez prawie dziewięć lat dźwigało ciężar uzależnienia, gdzie była wtedy jego rodzina? Naprawdę nikt nie zastanawiał się, co chłopiec ogląda,

kiedy zamyka się w łazience, przegląda strony pod stołem podczas rodzinnej kolacji i tak dalej?

Opowiem teraz o kilku rodzinach chłopców uzależnionych od seksu. Nie poznawałem ich osobiście, docieraliśmy do nich podczas terapii.

Na pierwszy rzut oka to były rodziny idealne. Nikt nikogo nie bił, nie było alkoholu. Nic głośno nie wołało o znieczulenie. Z pewnością znacie takie, o ile sami nie wychowywaliście się w jednej z nich.

Weźmy rodzinę Macieja, studenta filozofii. Jego ojciec jest naukowcem. Ustawiał poprzeczkę wysoko. Maciej musiał zawsze być najlepszy. Ze wszystkiego. Kiedy przychodził z piątką zamiast szóstki, ojciec pytał: „Dlaczego tak słabo?”. Albo porównywał go ze starszym bratem, którego udało się wyhodować na kolejnego naukowca w rodzinie. Maciej zagłuszał poczucie bycia niedostatecznym wielogodzinnymi ciągami masturbacyjnymi.

Jest przystojny, ale kiedy umawia się z dziewczyną, nie wie, o czym z nią rozmawiać. No bo jak rozmawiać z butelką wódki? Strzykawką heroiny? Kreską mety? Seks z innym człowiekiem wydaje się stratą czasu. Szybciej i bezpieczniej zrobić to samemu, przy telefonie albo komputerze.

A teraz kilka słów o rodzinie dwudziestotrzyletniego Julka. Matka była wycofana. Julek nadwrażliwy. Ojciec powtarzał, że powinien być silny, nie mazać się, nie być jak baba. Czyli walczyć, bić się jak prawdziwy facet. Julek chciał chodzić na judo, ale ojciec zapisał go do sekcji boksu. Każdej nocy przed treningiem Julek nie mógł spać. Bał się boksu, ale bardziej bał się powiedzieć ojcu, że nie chce trenować bicia. Na boks chodził siedem lat. Najpierw masturbował się przed treningami, potem klasówkami i egzaminami. Wreszcie jego życie zamieniło się w marny dodatek do masturbacji.

A Mikołaj? Zdolny, wrażliwy, właściciel nieźle prosperującej firmy. Kiedy był dzieckiem, matka wzywała go, żeby rozstrzygał kłótnie między nią i ojcem. Przyznawał jej rację. Ze strachu, bo bał się matki. Ojciec pa-

trzył na niego z niechęcią. Nigdy nie udało im się zbudować relacji. Matka nazywała go swoim małym mężczyzną, jednak on nie traktował tego jak komplementu, ale jak ciężar ponad siły. Czuł, że od niego – ośmioletniego – zależy los całej rodziny. Na napięcie i strach szybko znalazł lekarstwo: substancje chemiczne wywołane podczas masturbacji w czasie oglądania filmów porno na jego nowym smartfonie. Prezencie od mamy.

Ich dramatem było jednak przede wszystkim to, że nie było przy nich odpowiedzialnego rodzica. Zaledwie jeden na stu chłopaków zgłaszających się na terapię miał bliską relację z ojcem, a brak wzorców to dla dziecka tragedia. Wielu z nich dorastało za to z matkami, które traktowały ich jak partnerów. Przewalały na nich frustrację z powodu nieudanego związku. Uwodziły, nazywając „swoimi małymi mężczyznami" czy „prawdziwymi facetami mamusi". Mogę godzinami opowiadać o młodych mężczyznach, którzy chcą uciec od cyfrowej masturbacji, aby stworzyć realny związek. Mają nadzieję, że kobiety wyciągną ich z bagna, w które – często nieświadomie – władowały ich własne historie rodzinne.

Ale nie wiedzą, jak się buduje relacje z żywymi kobietami. Umieją przewijać film porno do końca, żeby przyspieszyć wystrzał dopaminy w mózgu. Umieją uwodzić kobiety na rozmaitych komunikatorach, przekonywać je do wspólnej masturbacji przed kamerką, wysyłać zdjęcia swoich wzwodów i dostawać w zamian nagie, odsłonięte waginy. Nie mają pojęcia, co to znaczy „być mężczyzną". Po omacku, czepiając się kobiet, szukają w swoim życiu pierwiastka męskiego. Najczęściej strojąc się w piórka dominującego macho, czułego kochanka, który musi zasłużyć na względy pań, tak jak kiedyś musiał zasługiwać na względy mamy. Z wachlarza dostępnych kreacji wybierają też rycerza, który czeka na swoją księżniczkę z wysokiego zamku. Mówią, że nie chcą nikomu zatruwać życia swoją osobą i całe życie są sami. Są też mężczyźni ulegli, o których panie mówią,

że są grzeczni, szarmanccy i usłużni. Czyli zastygają w roli napisanej dla nich przez matki. Czasem ci mężczyźni trafiają na wspaniałe kobiety, ale one nie są w stanie ich wyleczyć z seksoholizmu. Nie one ranę zadały, nie one mają ją opatrzyć. Problem w tym, że nie mogą jej wyleczyć również rodzice. To rola mężczyzny. Musi dotrzeć do tej rany i zająć się nią sam.

To jednak długa droga. Łatwiej iść na skróty, czyli próbować wyjść z seksoholizmu, uprawiając seks. Problemem jest to, że kobiety z internetu są ładniejsze i łatwiejsze od realnych. Nie wymagają rozmowy, przytulenia, orgazmu. Obsługują mężczyznę i udają zachwyt. Na tym polega ich praca. Życie jest inne.

Poza tym, na co narzekają seksoholicy, realne kobiety nie są w stanie zaspokoić ich tak, jak oni sami. Dlatego często po seksie z partnerką idą do sąsiedniego pokoju, żeby się masturbować, pisać z przypadkowymi kobietami na komunikatorach czy przewijać profile na Tinderze. Robić wszystko, co zagłusza uczucia.

Uciekają, nawet jeśli żony czy partnerki czują, że coś jest nie tak. Na przykład mówią, że kochają, martwią się, chcą pomóc. Mężczyzna, któremu nikt tego nie powiedział, kiedy był chłopcem, nie rozumie, co to znaczy. Czuje lęk, że znów coś spieprzył. I chce znów uciec. Wskakuje więc w kolejne czaty, aplikacje, porno. Wszystko po to, żeby znów nie czuć, że coś z nim jest nie tak.

Czy taki mężczyzna zrozumie kiedyś, co znaczy być w seksie czułym, ciepłym, partnerskim? Tak, ale to długa droga.

Przede wszystkim musi przyznać, że został skrzywdzony przez rodziców, a to – szczególnie dla tych, którzy idealizują swoje dzieciństwo – bardzo trudne. I nie chodzi tu o obwinianie rodziców, którzy kochali go, jak umieli, nie mogli inaczej. Powinien też zrozumieć, że to, co robił, to był

gwałt na sobie. Pożałować samego siebie jako ofiary gwałtu. Zapłakać nad swoją utraconą niewinnością.

Dobrze, żeby był wśród swoich, w grupie terapeutycznej, miał obok siebie mentora i ratownika, czyli terapeutę, który bezpiecznie przeprowadzi go przez ból. Najpierw ten płynący z odstawienia internetu. Potem ten wynikający z dotarcia do źródła cierpienia. Czyli wspomnień z dzieciństwa.

Byłem świadkiem otwierania się chłopaków na ból. Płakali nie tylko po sobie, skrzywdzonym i zgwałconym, ale też z żalu, że nie byli obecni przy własnych synach. Docierało do nich, że zamiast się nimi zajmować, uganiali się za kolejnymi kobietami, realnymi albo cyfrowymi.

W takich chwilach, jako terapeuta, jestem blisko. Stoję obok. Zachęcam do tego płaczu. „Facet musi płakać, żeby był pełny” – mówię. „A ty jesteś facet”.

Rozmawiamy też dużo o ich rodzicach. Szczególnie ojcach. Dochodzimy zawsze do tego samego. W ich rodzinach ojcowie w pewnym momencie zniknęli. Najpierw to byli pradziadkowie, którzy nie wrócili z wojny albo wrócili złamani psychicznie. Pili i bili swoich synów albo ich poniżali, albo nie zauważali. Potem ten brak poszedł dalej – w dziadków, którzy powielili model ojca nieobecnego albo okrutnego. I tak aż do ich własnych ojców.

Wszyscy boją się, że sprzedadzą ten model również swoim synom. Powtarzam im wtedy: „Nie oczekuj od siebie doskonałości. Masz szansę skrzywdzić ich mniej, niż skrzywdzono ciebie”.

Wtedy się uspokajają.

CZĘŚĆ CZWARTA
BÓG

Kiedyś nie byłem tak durny, miałem i kredki, i piórnik
Miałem plan lekcji z Lionelem Messim
Uczyłem się w domu do każdej kartkówki
Kiedyś nie byłem tak durny
Grube katechetki przynosiły nam mleko i marchewki
I każdy je pił, i każdy je jadł, i każdemu uszy się trzęsły
Nie ma dobra i zła, są tylko ci grzeczni i ci niegrzeczni
I wymieniają figurki z Lego na naklejki
Codziennie o 7.30 był apel, a potem różaniec
Najpierw uczyli nas musztry, a potem mówiliśmy amen
Codziennie czytaliśmy Stary Testament i Nowy Testament
I słowo stawało się ciałem
Był taki łysy ksiądz w okularach i dawał nam fajne kazania
W pierwsze piątki chodziliśmy na msze, w czwartki były zebrania
Ale takie dla rodziców, a nie dla nas, robili nam kanapki na śniadania
A siostry dawały je bezdomnym, kiedy ktoś z nas nie dojadał
A siostry robiły nam tosty i kazały całować
Chleb, gdy upadał, i całowaliśmy ten chleb, gdy upadał
A teraz błagam, ty też mnie pocałuj, bo czekam na sygnał, by wstawać
I choć gołym okiem widzę, że gdzieś łączy się niebo i ziemia
To wciąż jest daleko i bardzo się boję, że w końcu opadnę z sił
I choć w sumie znam więcej dowodów na to, że wcale cię nie ma
To postaram się żyć tak, jakbyś był
I choć gołym okiem widzę, że gdzieś łączy się niebo i ziemia

To wciąż jest daleko i bardzo się boję, że w końcu opadnę z sił
I choć w sumie znam więcej dowodów na to, że wcale cię nie ma
To postaram się żyć tak, jakbyś był

Mata, *Żółte flamastry i grube katechetki*
(18 milionów wyświetleń na YouTubie)

Mesjasz z Instagramu

Siedzimy we czwórkę: ja, Stifler, Czarny Brat i Don Nachos. Nad nami i obok nas na półkach stoją miniaturowi bohaterowie męskiej wyobraźni: wykonane z plastiku figurki supermanów, herosów, sław z krainy Lego, wojowniczych Żółwi Ninja.

Czarny Brat czasem przenosi je na skórę klientów poznańskiego salonu Tuż Tusz Tattoo.

Dziś też miał dziarać Stiflera, ale ten nie czuje się najlepiej. – Może dlatego, że odstawiłem mięso? – zastanawia się. Wystawi i odda do dyspozycji Czarnego Brata kawałek swojego ciała, kiedy tylko skoczy mu odporność.

Dziaranie tylko na Instagramie wydaje się łatwe, proste i przyjemne, ale to wojna. Skóra jest wielokrotnie nakłuwana, narusza się jej ciągłość, przerywa bariery ochronne. Lepiej nie iść na tę wojnę osłabionym, bez energii, w depresji. No i człowiek musi na długo, od kilku do kilkunastu godzin, oddać się Czarnemu Bratu. Zaufać mu, uwierzyć, że bezpiecznie przeprowadzi go przez jego własną rzekę krwi. Bez zaufania nie ma dziarania.

Na razie jednak Stifler nie chce i nie powinien iść na kolejną wojnę. Dlatego nagramy we dwójkę InstaStory. Ja będę głosem z offu, a Stifler – jak zawsze – głównym bohaterem. Tym razem jednak nie będziemy rozmawiać o jego – wierząc wibratorowi z serii Stiflers Collection – szesnastocentymetrowym przyrodzeniu.

Czarny Brat bierze telefon. Ja siadam na krześle obok, Stifler chwyta w garść swoją świeżo wydaną autobiografię pod tytułem *Kryształowy Chłopak*. Sięga też po czytaną przeze mnie *iGen. Dlaczego dzieciaki dorastające w sieci są mniej zbuntowane, bardziej tolerancyjne, mniej szczęśliwe i zupełnie nieprzygotowane do dorosłości. I co to oznacza dla nas wszystkich*.

Fejm musi się zgadzać. Czyli być sprawiedliwie dzielony: trochę dla mnie, dla Stiflera i autorki książki, amerykańskiej psycholog, doktor Jean Marie Twenge.

Sprawdzamy, czy dobre światło. Stifler jest spokojny. Jean Marie Twenge nie ma pojęcia, że jej – raczej niszowa – książka ma właśnie reklamę w polskim internecie.

Mnie spala trema, bo przecież za moment będę mówić do pół miliona Polaków.

Próbujemy dwa razy, ale głos mi się załamuje, plączę się. Wreszcie się udaje. Przemawiam z offu do uśmiechniętego dobrotliwie Stiflera, który w jednej dłoni trzyma swoją autobiografię o tym, jak zmartwychwstał po odstawieniu mefedronu, a w drugiej książkę doktor Twenge o Amerykanach urodzonych po 1995 roku. Mówię do Stiflera:

– Dla mnie jesteś Mesjaszem, który zstąpił do polskiego internetu. Niesiesz ludziom dobrą nowinę, oddajesz im swoje ciało. Czynisz dobro. Tak jak umiesz.

Jedno muśnięcie palcem i poszło. Po minucie mamy już kilkaset odtworzeń. Po godzinie kilkadziesiąt tysięcy. Zanim film (po 24 godzinach) zniknie z sieci, wysłucha mnie prawie pół miliona Polaków.

Ale – co poczułam na własnej skórze – fejm i poczucie władzy nad internetowym ludem łatwo uzależniają. Tuż po wrzuceniu filmu pojawia się niedosyt. Chcę więcej. Najlepiej natychmiast – w ostateczności jutro.

– No dobra, to powiedz, dlaczego Stifler jest Mesjaszem? – pyta Stifler. Siada naprzeciwko. W jego uchu błyszczy kolczyk z krzyżykiem.

Wymieniam:

- Przy okazji Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy 2020 wylicytował upamiętniający donatora tatuaż na swoim ciele. Wygrał raper Szakal BDG, którego logo zostanie do końca życia ze Stiflerem.

- Po wizycie na ranczu zawodnika MMA Marcina „Różala” Różalskiego, który ratuje konie, cielęta i kozy idące na rzeź, podjął decyzję o niejedzeniu ssaków. Chce o tym pamiętać, więc wytatuował na kolanie uśmiechniętą świnkę.
- Na swoim kanale StiflerHub (prawie 100 tysięcy subów) wrzucił konkurs „Wydziaraj Stiflera” i oddał lewą nogę fanom, którzy za pośrednictwem komentarzy mieli zdecydować, co ma na niej wytatuować.
- Na łydce prawej nogi oddał cześć przyjacielowi z *Warsaw Shore*, Wojtkowi Goli, czyli WG. Wojtek wymyślił ksywkę Stifler, nawiązując do bohatera *American Pie* (pierwsza część trylogii była pokazywana w Polsce jako *American Pie, czyli sprawa dowCipna*). Razem uruchomili na YouTubie kanał Wyzwani, po którego sukcesie Wojtek stworzył federację freak fightów Fame MMA. A nazwę dla niej wymyślił właśnie Stifler.
- Na prawej nodze są też, pogardzane przez jednych, a pożądane przez innych, słynne cudzołożnice, czyli gwiazdy porno: Mia Khalifa, Alexis Texas, Sasha Grey. I jedyny facet w tym towarzystwie, czyli Ron Jeremy. Aktor, który zagrał w 1900 filmach porno, ale znany jest też z takich produkcji jak wielokrotnie nagradzany *Broken Vessels*[7], film o mechanizmach uzależnienia. Na ciele Stiflera miejsce znalazły też psy, o których mówi, że są najważniejszymi osobami w jego życiu.

– Ale i tak mój najsłynniejszy tatuaż nie istnieje, a świat w niego najmocniej uwierzył – przerywa Stifler. – Narysowałem go flamastrem na nodze, zdjęcie wrzuciłem na Insta. Co to było? Czterdziestocentymetrowy penis z napisem „Come to daddy”. Zainteresowały się nim portale w Holandii, Niemczech, Australii. Nawet „Daily Mail” o nim pisał. Tylko nasz swojski Pudelek nie dał się nabrać. Dziwny jest ten świat.

Na pożegnanie mówię, że jestem z niego dumna. Nie bierze mefedronu, czyli kryształu, od ponad tysiąca dni, docenił piękno świata na trzeźwo, niedawno zaadoptował ze schroniska dla bezdomnych zwierząt (przejechał całą Polskę) kolejnego, piątego wielorasowca. No i napisał książkę, którą zadedykował Wróżce Orianie, nieżyjącemu ojcu i swoim Aniołom Stróżom.

Dał mi egzemplarz z dedykacją: „Dla Eli. Topowej dziennikarki w Polsce. / Mesjasz showbiznesu”.

– Ale przecież nie czytałeś moich książek i wcale nie jestem topowa! – mówię.

– Wierzę w ciebie – rzuca na pożegnanie.

Zostajemy we trójkę: ja, Czarny Brat i Don Nachos.

Czarny Brat pokrzykuje i śmieje się głośno. Jak to on.

Don Nachos siedzi cichuśko, nerwowo popatruje to na mnie, to na Czarnego Brata.

Widać, że głodny, ale przecież nie powie.

Interesuje mnie, o czym ziomale mówią podczas tatuowania. I jak traktują Czarnego Brata, który – być może jako pierwszy człowiek od wielu miesięcy – jest blisko. Na wyciągnięcie ręki.

– Spowiadają się z całego życia – mówi Czarny Brat. – Lecą grube historie i widać, że to im potrzebne. Nie dzielę ludzi na lepszych i gorszych, wysłucham wszystkich: gangsterów i mecenasów, prostytutki i panie domu. Ciało jest ciało. Resztę ludzie sami sobie dopowiadają, a potem wrzucają te historie na Insta.

Historia Czarnego Brata jest taka: urodził się w Ornecie. Mama miała 19 lat, ojciec, nauczyciel wychowania fizycznego, nie łożył na dziecko. Przyjechał do Polski na studia z Hondurasu. Uciekł za granicę, kiedy Czarny Brat miał kilka lat. Ścigał go list gończy, bo zostawił w kraju nad Wisłą kilkoro dzieci, na które uporczywie nie płacił alimentów.

– Nigdy nie pogadałem z nim jak syn z ojcem – mówi Czarny Brat. – Mama opowiedziała mi o nim dopiero, kiedy byłem nastolatkiem. Ponoć jako pięciolatek chodziłem do niego na zajęcia z ping ponga. Niestety nie pamiętałem, czy odbijając piłeczkę, popatrzył na mnie jak na swoje dziecko. Wyprzeć się mnie nie mógł, bo w Ornecie latynosami byliśmy tylko on i ja.

Rolę ojca przejęli wujkowie, czyli bracia mamy. Chłopaki po wyrokach i więzieniach. Jeden z nich dziarał ziomkom więzienną metodą tribale, delfiny i napisy BKR (Boże Kopsnij Rozum), w czym Czarny Brat (wówczas jeszcze dziecko) mu asystował. Wtedy jednak nie myślał, że w przyszłości zostanie jednym z najlepszych tatuażystów w Polsce.

Chciał, jak wujkowie, mieć szacun na dzielni, żeby już nikt nie wymyślał mu od murzynów i nie kazał spieprzać do Afryki.

– W Ornecie chłopaki szybko dojrzewają, szczególnie gdy muszą bronić siebie i matek – mówi Czarny Brat, odpowiadając na pytanie, kiedy po raz pierwszy poczuł się mężczyzną. – Miałem 12 lat, kiedy razem z przyjacielem, Skinkiem, wyrzuciłem z domu pijanego ojczyma. Straciłem niewinność i nadzieję, że ktoś z dorosłych, na przykład policjant, mnie ochroni, zamiast dodatkowo spuścić wpierdol. Zacząłem sam się bronić. Razem z moim gangiem, czyli kilkoma chłopakami z Ornety.

Trzymali się razem od podstawówki. Walczyli o swoje, kiedy do Ornety wpadali chłopaki z Braniewa czy Morąga. Prawdziwe koksy, ale przecież oni byli u siebie, patriotyzm lokalny dodawał im odwagi i sił. Solidarnie nienawidzili policjantów, którzy robili wszystko, żeby nakryć ich na ćpaniu i handlu narkotykami.

– Ale wreszcie nakryli – mówi Czarny Brat. – Miałem do wyboru: więzienie albo 26 miesięcy w zamkniętym ośrodku terapeutycznym.

Wybrał to drugie. Na szczęście, bo dostał wszystko, za czym – jak mówi – nieświadomie tęsknił. Czyli spotkania z bezpiecznymi i mądrymi mężczyznami. Księdzem, psychologiem. Pierwszy przekonał go, że życie nie polega na bandyterce i ćpaniu. Drugi, że mężczyzna nie zawsze znaczy twardziel. A zasady są potrzebne, ale tylko wówczas, gdy służą życiu, a nie śmierci.

Chłopaki z gangu przyjęli go, nawet takiego odmienionego, z otwartymi ramionami. Do dziś utrzymują kontakt. Pierwszy wyjechał z Ornety do Niemiec i został spawaczem. Drugi robi karierę fajtera w USA. Walczy w MMA. Przed wyjazdem sprzedał ziomka policji. I wszyscy, oprócz Czarnego Brata, się od niego – konfidenta – odwrócili. Trzeci został w Ornecie. Pije.

– Dzwonię do pierwszego, czyli Skinka, do Niemiec i mówię: tęsknię za tobą, Skinek. Kocham cię jak brata – opowiada Czarny Brat. – Kiedy wszyscy wieszają psy na drugim kumplu i mówią, że mam odwrócić się od konfidenta i uciekiniera, mówię: „Dużo mi w życiu pomógł. Jego tu nie ma, a ja niosę jego krzyż”.

Za trzeciego, który czasem handluje towarem, modli się, żeby nie wpadł i nie poszedł do więzienia.

O całym gangu myśli na pielgrzymkach, na które stara się chodzić co roku. Przydomek Czarny Brat wziął się właśnie z pielgrzymki, gdzie wszyscy mówią do siebie bracie, siostro. Lubi klimat pielgrzymek.

– Idziesz przez wieś, ludzie stoją przy płotach, machają ci. Robisz przystanek, czerpiesz chochlą herbatę z garnków wystawionych przez miejscowych, zjadasz zrobione przez nich kanapki – mówi Czarny Brat. – Wieczorem obcy zapraszają do swoich domów. Płynie do ciebie energia z pól, od ludzi i z własnego, zmęczonego ciała. Tak właśnie dotyka mnie Bóg. Ale obok idą inni, których Bóg dotyka inaczej.

Dotyk Boga

Paweł Jaworski, najstarszy z moich rozmówców, któremu za chwilę oddam głos, ma 42 lata. Dopiero w ubiegłym roku zrobił maturę, jednak góruje nad pozostałymi nie tylko wzrostem, ale też siłą. Czerpie ze wszystkiego, co w Polsce najmocniejsze.

Po pierwsze, sam siebie nazwał Żołnierzem Chrystusa.

Po drugie, jest konserwatorem w warszawskim budynku PAST-y. Wcześniej był między innymi sushi masterem, ale nie przepadał za tą robotą. Kiedy Bóg go dotknął i dał mu nowe życie, zaczął organizować pielgrzymki do Medjugorje. Tam poznał pielgrzymującego do Maryi zarządcę PAST-y. Dla niezorientowanych: przed wojną (do 1934 roku) najwyższego budynku w Warszawie, w czasie wojny ostatniego bastionu powstańców, po wojnie prezentu od miasta dla żyjących powstańców. Czyli: oddanego w zarząd organizacjom kombatanckim, po to, żeby bazując na własnej pamięci, propagowały w nim historię. Zarządca zaproponował mu robotę.

Jaworski został tak zwaną złotą rączką. Ziomkiem od wszystkiego i wkrótce skarbnikiem jednej z organizacji kombatanckich. Do dziś wrzuca na swoje media społecznościowe zdjęcia z żyjącymi powstańcami. Fotki, na których – górując nad nimi – obejmuje ich, wręcza im paczki z żywnością. Publikuje też informacje o ich chorobach. Wreszcie śmierci. Chodzi na ich pogrzeby. Często zabiera głos, nazywa ich najbliższymi, nauczycielami życia, dziadkami. Wierzę w jego szczerość. W budynku PAST-y urzęduje prawicowa internetowa telewizja wRealu24 (z Marcinem Rolą w charakterze prowadzącego). Paweł również dostał swój program: „W służbie Bogu i Ojczyźnie”. Regularnie zaprasza między innymi Roberta Bąkiewicza, organizatora Marszu Niepodległości i Marszu Powstania Warszawskiego. Bywają u niego też ludzie związani z Ordo Iuris. Nie mają daleko – urzędują na

8. piętrze PAST-y. Do nich z kolei wpadają działacze Fundacji Pro – Prawo do Życia, więc i oni zaglądają do „W służbie Bogu i Ojczyźnie”.

Na moment odejdę od PAST-y i przeniosę się na drugą stronę ulicy. Czyli pod pierwszego otwartego w Polsce McDonalda. W czerwcu 1992 roku, w przeddzień symbolicznego przecięcia wstęgi, jedni triumfowali, że do polskich żołądków wreszcie trafi amerykański Happy Meal. Inni narzekali, że burgery i cola zastąpią Polakom ciało i krew Chrystusa. Tymczasem my, Polacy, okazaliśmy się potęgą, bo w dniu otwarcia machnęliśmy – niejako przy okazji – rekord świata w liczbie transakcji. A pół roku później pokonaliśmy samych siebie, bijąc ten rekord w Katowicach.

Prawie 30 lat później 5 z 10 ziomków, których pytam, kim był założyciel sieci McDonald, odpowiada: Polakiem. Jak Jezus.

Do zestawu Happy Meal niedługo dojdziemy.

Teraz wróćmy do budynku PAST-y, w którym Paweł Jaworski jest od rana do późnego popołudnia.

W prehistorycznych czasach początku XX wieku, czyli w 1922 roku, budynek należał do Polskiej Akcyjnej Spółki Telefonicznej. I długo był jedynym – jak wtedy mówiono – wysokościowcem. Ze szkodą dla nas, bo podczas Powstania Warszawskiego Niemcy mogli z niego obserwować i ostrzeliwać śródmieście. Ale do czasu, kiedy chłopcy z batalionu „Kiliński” wystrzelili na wysokość drugiego piętra – z sikawki strażackiej – mieszankę ropy i benzyny. A potem budynek podpalili, zrobili z boku włam i go zdobyli. Biało-czerwona flaga powiewała na ruinach do kapitulacji, którą w zależności od zapotrzebowania można ubrać w zwycięstwo albo porażkę.

Ziomkowie, z którymi rozmawiałam – przy okazji quizu dotyczącego tego, kim był Jezus i McDonald – przeszli obowiązkową w ich pokoleniu ścieżkę edukacyjną. Gimbusy, często w ramach zielonej szkoły, zwoziły ich

z całej Polski do Warszawy. Najpierw buszowali po pokazowych kanałach i bawili się przyciskami i głośniczkami w Muzeum Powstania Warszawskiego, potem stali w kolejce po Happy Meal w McDonaldzie, na koniec – jeśli jeszcze był czas – pędzili na Stare Miasto.

Z tej ścieżki edukacyjnej 6 na 10 najbardziej zapamiętało zestawy Happy Meal i śmichy-chichy na tylnych siedzeniach gimbusów podczas zerowania bronxa. Dwóm ziomkom powstaniec warszawski zaczął kojarzyć się ze stenem pod pachą, bimbrem w szklance i wesołą dziewczyną przy boku. Dwaj byli zdumieni, że prezentowany w muzeum kanał pokazowy okazał się tak ciasny. Jeden zapamiętał, że dostał opierdziel od pani, bo wrzucił na FB zdjęcie z muzeum, na którym hajluje, czyli podnosi do góry rękę w znaku Heil Hitler. Wszyscy deklarowali jednak, że chętnie wybraliby się na Marsz Powstania Warszawskiego. Lubią dymy, szaliki, kominiarki i walki z „psami”. Chcą poczuć powstanie na własnej skórze. Nawet jeśli będzie bolało.

Za moment Paweł Jaworski opowie, jak Bóg sprowadził go do PAST-y. Zaręczam, że jest bliżej pokolenia urodzonych po 1989 roku, niż nam się wydaje.

Drugim moim rozmówcą miał być Janek Bienias, kierowca furgonetki Pro – Prawo do Życia, który od ponad dwóch lat prowadzi na ulicach krucjatę w obronie dzieci nienarodzonych i uchronienia narodzonych przed deprawacją, czyli edukacją seksualną, która ma je wpychać w łapska pedofili.

To on siedział za kierownicą, kiedy w Warszawie na ul. Wilczej furgonetkę zatrzymała między innymi Margot. W sieci do dziś wisi film, nakręcony przez Janka, na którym Margot szarpie się z jego kolegą z furgonetki.

Jan Bienias miał być moim rozmówcą i w pewnym sensie był, bo przez kilka tygodni pisałam do niego maile, dzwoniłam. Chciałam, żeby wpuścił mnie do furgonetki, pozwolił usiąść obok i spojrzeć na ulice jego oczami.

Wstępnie był zainteresowany współpracą. Poprosił tylko o mail z pytaniami. Wysłałam:

Panie Janie, będę pytać Pana o to, w którym momencie życia zaczął Pan działać w fundacji. Czy to był impuls, czy propozycja od kogoś znajomego? Czy wcześniej miał Pan potrzebę udzielania się w jakiejś organizacji broniącej życia, czy zauważał Pan, że życie jest w Polsce lekceważone i spychane do paramedycznego i jednocześnie odczłowieczonego hasła – płód? Kolejna porcja pytań będzie dotyczyć Pana wiary w Boga. Jak Pan praktykuje? Czy modli się codziennie? W jaki sposób: czy również na różańcu, który okazuje się coraz bardziej powszechną formą modlitwy wśród mężczyzn? Kolejna porcja to zdarzenia z akcji fundacji, czyli czy zauważył Pan mężczyzn, którzy Was popierają? Gdzie ich widać? Czy wysyłają słowa wsparcia na FB*, podczas relacji, czy zatrzymują samochody, czy piszą do Pana? Co mówią, co piszą, jak nazywają to, co Pan i fundacja robicie? Misją, prawdą, normalnym, męskim zachowaniem w obronie słabszego?*

I ostatnie moje pytanie: o Pana definicję męstwa. Jak mógłby Pan je zdefiniować?

Najchętniej pojechałabym z Panem w tym samochodzie, uczestniczyła w jednej z akcji po to, żeby doświadczyć tego na własnej skórze.

Wdzięczna bardzo za spotkanie, pomoc i odpowiedź.

Elka

Odpisał, chyba siedząc za kółkiem, bo z błędami: „Pani Elżbieta, dziękuję za zainteresowanie ale niestety muszę odmówić. Widziałem tekst z Nwesweeka o nas i to mnie zniechęciło. Dziękuję, Jan Bienias”.

Niestety, nie miałam szansy wyjaśnić, że zanim siadłam do pisania tekstu o aktywistce Pro – Prawo do Życia Zuzannie Wiewiórce (już teraz nazywanej młodą Kają Godek), napisałam kilka maili do samej Fundacji. Do Zuzanny Wiewiórki, która robi swoją krucjatę w obronie nienarodzonych, rozsyłając obcym dziewczynom na FB zdjęcia płodów, także wysłałam wiadomość.

Pozostała nieodebrana.

Nikt z Fundacji również nie chciał ze mną ani porozmawiać, ani się spotkać, ani zaprosić na swój kawałek poletka nazywany szumnie walką o młode ciała i dusze.

A wszystko dlatego, że pracuję w „Newsweeku”.

Na szczęście – niezależnie od Pawła Jaworskiego i Janka Bieniasa – poznałam Michała, który pomógł mi dotrzeć do innego Jana. I innej Zuzanny.

Najpierw jednak śledziłam przez media społecznościowe, jak Michał, dźwigając na plecach sosnowy krzyż, przez 60 dni przemierzał Polskę.

Nikt go do tego nie namówił. Sam chciał i sam poszedł. Miał tylko opiekuna duchowego, ale o nim na koniec.

Spał u spotkanych na trasie obcych, modlił się z obcymi. Dla jednych obserwujących jego profil na FB to była podróż z dwudziestokilogramowym obciążeniem wzdłuż i wszerz kraju nad Wisłą. Dla innych – opasanie znakiem krzyża umęczonej ojczyzny.

Dla Michała – naznaczenie, niczym krzyżykiem na mapie, kraju, który Bóg ma uchronić w przypadku światowej apokalipsy.

Zanim kupił na Allegro białą albę i zarzucił na plecy krzyż, skończył liceum w Skarżysku-Kamiennej. Profil sportowo-strażacki. Jak mówi: ściema, bo z jego klasy tylko jeden ziomek został strażakiem. Większość, jak on, poszła w budowlankę. Najpierw w Polsce, potem we Francji, Niemczech, Belgii, Holandii i Luksemburgu. Michał został cieślą szalunkowym.

Rozbudowując zjednoczoną Europę, mieszkał w kilkuosobowych, dusznych pokojach z innymi ziomkami. I gdyby nie Bóg, robiłby to samo, co oni: na początku kontraktów płakał do smartfona z tęsknoty za swoimi, pod koniec odpalał internet w telefonie głównie dla porno i gubił się coraz bardziej w ciemnościach bez kobiet i dzieci.

Ale Bóg dotknął Michała. Za pośrednictwem internetu. Zesłał mu film na YouTubie z kazaniem salezjanina Dominika Chmielewskiego, założyciela męskiej Wspólnoty Wojowników Maryi. Najpierw poruszyła go historia księdza, dziś kaznodziei, kiedyś karateki praktykującego medytację zen i dyrektora ds. szkolenia w Polskim Związku Sztuk Walki w Bydgoszczy. Potem porwała go miłość księdza Dominika do Maryi, tak inna od tej, ja-

kiej doświadczał do tej pory – grzeszny pożądliwością – z przypadkowymi dziewczynami. Słuchał – przez internet – jak ksiądz Dominik radził ziomkom, żeby „uspokajać w sobie sferę pożądliwości”, umawiając się na randki z Maryją.

Do jednej ręki mają brać różaniec. Drugą – w myślach – chwytać Maryję za rękę.

Maryja, najpiękniejsza dziewczyna na świecie, podczas tego spaceru jest onieśmielona i oczarowana. Czar nastolatki przeszywa męskość ziomków, kiedy uczą się być z Maryją jak z pierwszą dziewczyną.

Potem mogą wyobrażać sobie, że są jak cieśla Józef. Przypakowani, postawni, stuprocentowi mężczyźni. Jak większość ziomków z ujemnym życiem seksualnym w realu. Tyle że tu brak bliskości ma sens, bo w relacji z Maryją nie ma przecież miejsca na miłość fizyczną.

Michał rozczarowany bezsensem życia cieśli szalunkowego w UE chciał zostać cieślą Józefem. Odnalazł księdza Dominika w realu, poprosił, żeby się za niego modlił, kiedy będzie oznaczał – dla Boga, na wypadek światowej apokalipsy – krzyżykiem nasz kraj.

I pewnie dalej czekałby na kolejny znak i dotknięcie. Albo wrócił do kolegów pod Skarżysko-Kamienną i żył od weekendu do weekendu, od wizyty w McDonaldzie do sumy w kościele, od sezonu do sezonu serialu na Netfliksie.

Ale na szlaku odnaleźli go organizatorzy męskiego różańca. Powiązani z Żołnierzami Chrystusa, Rycerzami Maryi, sympatyzujący z Ordo Iuris i Rotami Marszu Niepodległości. Namówili go, żeby ruszył w Polskę z misją i figurą Matki Boskiej. Wszystko po to, żeby umacniać stare i tworzyć nowe (sygnowane przez księdza Chmielewskiego, ale ksiądz sam przecież wszystkiego nie dopilnuje) krajowe struktury męskiego różańca.

Michał podróżuje więc trasą wyznaczoną mu przez innych. Ale i tak wszystkie drogi prowadzą do PAST-y.

Świadectwo Pawła Jaworskiego, Żołnierza Chrystusa

Daję Wam moje świadectwo.

Uprzedzam, że będzie mocne, ale przeczytajcie, proszę, do końca.

Jestem z Warszawy, z Bródna. Wychowywały mnie dwie kobiety, mama Elżbieta i siostra mamy Grażynka. Ojca nie pamiętam. Zostawił mamę, kiedy byłem mały. Płacił na mnie alimenty, ale cały czas zakładał sprawy o ich obniżenie. A przecież i tak były niewielkie. Mama wychodziła po zakupy do kiosku i wydawała je na dwa proszki do prania…

Długo byłem wściekły na ojca. Mama, która pokazała mi, czym są piękno i mądrość kobiety, powtarzała: „Paweł, ocenisz, jak dorośniesz”.

Wtedy tego nie rozumiałem.

W tamtych czasach imponowała mi siła fizyczna. Zauważyłem też, jaką moc ma strach. Siła i strach stanowiły prawdziwą mieszankę wybuchową. Poznałem ludzi, którzy umiejętnie posługiwali się tą mieszanką. Mieli respekt na dzielnicy.

Nie uczyłem się, tylko robiłem wszystko, żeby być jak oni. Ćwiczyłem sztuki walki, budowałem masę i siłę.

Wreszcie zaakceptowali mnie i zostałem jednym z nich. Robiłem to, co oni, bo kiedy wejdziesz między wrony, musisz krakać jak i one. Wszedłem w używki, alkohol, narkotyki, gry hazardowe. Wszystko, co złe. Nie było dla mnie życia poza tymi – jak o nich mówią niektórzy – złymi strukturami.

Mama widziała, co się ze mną dzieje, ale nie mogła nic zrobić. Była bezsilna. Bezradna.

A potem nagle zmarła. Zamurowałem się przed rozpaczą po jej śmierci. Potem, równie nagle, zmarła ciocia Grażynka. Zostałem praktycznie sam. Nie umiałem i nie chciałem przyjąć cierpienia. Wychodziłem z domu, żeby nie być sam. Usiłowałem też wychodzić ze złych struktur, ale okazywało się, że poza nimi nie było nikogo, kto by na mnie czekał. Nie mogłem sobie z tym wszystkim poradzić, ale też nie pozwalałem sobie na prośbę o pomoc.

Kogo zresztą miałbym prosić o pomoc w swoim cierpieniu? Jak przez nie przejść z kimś, skoro dotyka tylko mnie?

W tamtych czasach postrzegałem świat jak większość osób: nie wiedziałem, gdzie lewa, gdzie prawa strona, i byłem skłonny głosować na partię typu PO. Ale z reguły w ogóle nie głosowałem, bo nie obchodziły mnie losy Ojczyzny. Liczyłem się tylko ja. Oglądałem TVN i łykałem newsy, że księża to mafia, a Bóg jest potrzebny słabiakom albo starym kobietom w moherowych beretach. Czyli nie mnie. W pewnym momencie jednak coś pękło. Uklęknąłem przed starym obrazem Pana Jezusa i zwróciłem się do Boga: „Jeśli jesteś, to mi pomóż”.

I pomoc napłynęła. Jeszcze tego dnia zadzwonił do mnie kolega z Irlandii. Za małolata chodziliśmy razem na spacery z psami. Dzwoni i mówi: „Paweł, ja wiem, że w twoim życiu dzieje się coś złego. Otwórz Pismo Święte na Przypowieściach Salomona”.

Poczułem ciarki na plecach. Jak dziecko prowadzone za rękę podszedłem do szafy. Otworzyłem ją, a tam leżało stare Pismo Święte, pamiątka po dziadkach. Otwieram na Przypowieściach Salomona i czuję, że właśnie czytam odpowiedź Boga na moje, zadane w myśli, pytanie. W kolejnym wersecie daje mi odpowiedź na kolejne. Następne pytanie i natychmiastowa, ukryta w wersetach, odpowiedź.

Zacząłem płakać. Długo. Mocno. Byłem cały mokry od łez, jakby ktoś, trzymając mnie za głowę, wylał na mnie wiadro wody.

Poczułem wielkie ciepło, dobro. Czułem też, że ten, kto mi odpowiada, jest żywy.

Że rozmawiam z żywym Bogiem. I to mój ojciec.

Zawsze szukałem ojca biologicznego, nigdy Boga.

Kiedy uświadomiłem sobie, że moim ojcem jest Bóg, nagle jakby do mojego pustego mieszkania wlała się olbrzymia dawka miłości i wypełniła pustkę.

Myślałem, że ta miłość wlała się do mojego domu, ale teraz wiem, że Pan Bóg wypełnił nią moje serce.

Poczułem się jak dziecko. Boże dziecko.

Śmiałem się, płakałem, a Bóg rozbawiał mnie tak, jakby od dzieciaka patrzył na mnie i poznawał moje poczucie humoru.

Zadzwonił kolega. Zawsze podpity, zawsze namawiał mnie do złego.

– Nie mogę gadać – rzuciłem w słuchawkę.

– Chcesz, żebym ci pomógł? – zapytał. Ale inaczej niż zawsze, takim męskim, mądrym i przeszywającym głosem. Powtórzył to pytanie jeszcze parę razy.

Aż zrozumiałem, że przez kolegę sam Jezus mówi do mnie.

– Chcę, Boże, pomóż mi – odpowiedziałem.

Kiedy następnego dnia zadzwoniłem do niego, powiedział, że nie miał w wybieranych mojego numeru, ale ja i tak wiedziałem, że to Bóg dał mi znak. I zamilkł. Tak mi się przynajmniej wtedy wydawało. Spodziewałem się, że nagle stanie się coś spektakularnego. Że kiedy będę czytał Pismo Święte, cały czas będą takie cuda.

Nie stało się jednak nic takiego. Było normalnie, jakby świat nie chciał ode mnie usłyszeć niczego wspaniałego.

Ale Bóg czekał. Był obok jak ojciec, którego syn właśnie uczy się jeździć na rowerze. Asekurował mnie, ale nie dotykał. Biegł obok, kiedy niebezpiecznie się rozpędzałem. W tamtym czasie spotykałem się z dziewczyną. Bywała u mnie.

Miesiąc po pierwszym spotkaniu Ojca obudziłem się o 3.00 nad ranem. Patrzę, a obok mnie dziewczyna kołysze się na łóżku w przód i w tył. Białka oczu ma wywrócone i powtarza: „Oni cię chcą, ona cię chce”.

Wybudziłem ją, poszliśmy do sąsiedniego pokoju. Opowiedziała, że kiedyś, bawiąc się z koleżanką, czytały biblię szatana i wezwały demona. Od tamtej pory w jej życiu dzieją się złe rzeczy.

Odszedłem od niej, ale Zły nie odpuszczał. Niedługo potem byłem na urodzinach u kolegi. Nad Wisłą. Był alkohol, jakaś awantura. Przewróciłem się na lewą rękę, poczułem, jak mi się kości łamią. I nagle dziewczyna, z którą wcześniej zerwałem, pojawiła się obok mnie. Pomogła mi wstać z ziemi, pojechaliśmy do szpitala. Zaopiekowała się mną, odwiedzała.

Lekarze załadowali mnie w gips, powiedzieli, żebym zapomniał o boksie. I że grozi mi kalectwo. „Osiem kości zmiażdżonych, przed panem skomplikowana operacja wstawienia specjalnej płytki” – powtarzali. Dziś wiem, że Bóg dał mi kolejny znak, nie zrezygnował ze mnie, ale powalił na ziemię. Wiedział, że to jest mi potrzebne. Jak dobry, silny Ojciec.

Wtedy jednak myślałem, że nie wykorzystałem szansy. Zostałem w szpitalu. Nie było specjalisty, który podjąłby się operacji. Nie było płytki. Miałem dość czekania. Chciałem wyjść na czarno ze szpitala. Uciec.

Przechodziłem koło kaplicy szpitalnej. Wszedłem. Upadłem na kolana przed obrazem Matki Boskiej.

Błagałem Maryję, aby uprosiła Boga o jeszcze jedną szansę. Zostałem na mszy, chociaż czułem, że coś albo ktoś mnie stamtąd wygania. Wróciłem do sali z nadzieją. „Paweł, nie uwierzysz, co się stało” – przywitał mnie współlokator. Chłopak potrącony na rowerze przez samochód. „Szukał cię ordynator, specjalista od nadgarstków. Będzie cię operował”.

Na drugi dzień znów poszedłem do kaplicy. Wracam, a tu okazuje się, że jest dla mnie płytka do wstawienia podczas operacji! Był 13 sierpnia, a 13 to liczba maryjna! Od razu wiedziałem, że Maryja i Bóg są ze mną. Poczułem nadzieję.

Przed operacją zupełnie się nie denerwowałem. „Panie Pawle, proszę nie liczyć na cuda” – powiedział ordynator, ale ja byłem spokojny. Wiedziałem, że czeka mnie cud.

Kiedy wychodziłem ze szpitala, lekarze powiedzieli, że wszystko poszło tak dobrze, że po trzech miesiącach rehabilitacji mogę wracać do boksu.

Do domu odwoził mnie cioteczny brat. Czekał przed szpitalem. Zanim wyszedłem, zajrzałem do kaplicy. Pomodlić się i podziękować. I wtedy po raz kolejny w tej kaplicy zobaczyłem Patrycję – kobietę, która potem bardzo mi pomogła i robi to do tej pory. Przypominała mi wtedy Matkę Boską. Nosiła długie sukienki i spódnice. Miała czarne włosy. Modliła się żarliwie. Była z małym dzieckiem w wózku.

Czułem olbrzymie pragnienie, aby podejść do niej po mszy, zagadać, ale nie wiedziałem jak.

I wtedy ona sama do mnie podeszła. „Czuję, że w twoim życiu coś jest nie tak” – powiedziała. „Musisz pojechać do Częstochowy na mszę Wspólnoty „Mamre” prowadzoną przez księdza egzorcystę. Zrób spowiedź z całego życia. Tu masz rachunek sumienia”.

Wróciłem do domu, gdzie czekała na mnie dziewczyna, o której opowiadałem wcześniej.

– Musimy jechać do Częstochowy – mówię.

– Ona mi się nie podoba – odpowiada dziewczyna i nagle zmienia głos. Spojrzałem na nią i aż mi się zimno zrobiło. Zacząłem się modlić (w gipsie miałem schowany medalik Matki Bożej).

– Wychodź stąd – mówię do niej. – Ty tu nie nocujesz.

Zamknąłem drzwi na zasuwę, zadzwoniłem do Patrycji i wtedy mój telefon zaczął wibrować od wiadomości. Nadawcą była Patrycja, ale nie mogła przecież wiedzieć, co robię! Wiedziałem, że to Zły wysyła do mnie sms-y. Ona wyszła, Zły pozostał. „Po co do niej dzwonisz” – pisał Zły. „Ona ci nie pomoże. Powiedz jej, że się nią zajmiemy. Tej nocy nigdy nie zapomnisz…”

Chwyciłem laptop i po raz pierwszy w życiu zacząłem szukać modlitw o wypędzenie demona z mieszkania. Odczytałem różne modlitwy. Potem nawet wyspowiadałem się, korzystając z internetu. Modliłem się trzy godziny, ale Zły nie odpuszczał. Wysyłał kolejne sms-y: „To ci nic nie pomoże, idziesz na łatwiznę”. Rzeczywiście tamtej nocy nigdy nie zapomnę. Spałem przy zapalonym świetle.

Bóg, mój Ojciec, wiedział, jak ze mną postępować. Najpierw wylał na mnie miłość, potem zdystansował, aby znów przygarnąć, a na koniec postraszył. Pokazał, że to nie są żarty. Nie chciał, żebym – jeszcze za słaby na walkę – poczuł się zbyt pewnie.

Patrycja nie była zdziwiona tym, jak Zły przeszkadza mi w życiu. Poradziła, żebym – przed wyjazdem do Częstochowy – zrobił rachunek sumienia, ale nie w myślach, tylko wszystko spisał na kartkach. „Połowę z tego Zły może wyrzucić ci z głowy podczas spowiedzi. Albo odebrać głos” – ostrzegła.

Spisałem wszystkie swoje grzechy. Wyszło tego pięć stron A4. Patrycja miała rację. Kiedy podszedłem do konfesjonału, nie mogłem wykrztusić słowa. Gdyby nie kartki, nic bym nie powiedział. Ksiądz niektóre grzechy mówił sam za mnie. Po spowiedzi poczułem olbrzymią ulgę.

Ale to był początek uwolnienia. Wiedziałem, że jest coś, co magluje się we mnie i nie może uwolnić. To była między innymi złość na mojego ojca biologicznego. Nie byłem w stanie po ludzku mu wybaczyć. A raczej nie chciałem.

Na mszy o uwolnienie stałem z boku. Było mnóstwo ludzi, którzy się przepychali do księdza.

Pomyślałem, że jak Bóg będzie chciał, to mnie uwolni bez względu na to, gdzie stoję.

Po godzinie ksiądz sam podszedł do mnie. Położył mi rękę na ramieniu:

– Paweł, ty nie wybaczyłeś z serca swojemu ojcu – powiedział.

– Nie umiem. Co mam zrobić? – zapytałem.

– Pomódl się i powiedz w konfesjonale, że pragniesz pragnąć wybaczyć – odparł ksiądz. – Bogu to wystarczy.

Powiedziałem. I również ten kamień ze mnie spadł. A potem, kiedy ksiądz zaczął mnie egzorcyzmować, uwolnił mnie od różnych złych duchów agresji, buntu, zła.

W puste miejsce Bóg wlał za jego pośrednictwem Ducha Świętego, z jego darami, charyzmatami.

To był kluczowy moment.

Od tamtej pory wszystko się zmieniło. Poczułem, że mam misję.

Koledzy się ze mnie śmiali, ale wiedziałem, że to element walki demonicznej. Wstąpiłem do Wspólnoty „Mamre”. Patrycja powtarzała, że nie będę już bokserem w ringu, ale zostanę bokserem duchowym. I takim się stałem. Ściągałem do Częstochowy na msze o uwolnienie całe autokary

młodych ludzi. Zagubionych jak ja, bez ojców biologicznych, z nałogami i pytaniami, gdzie jest Bóg.

W 2016 roku, kiedy w mediach zaczęły się pojawiać informacje o uchodźcach napływających do Europy i o postępującej laicyzacji, poczułem, że moją kolejną misją jest ochronić Polskę przed inwazją Europy. Trzeba działać.

W tamtych czasach zainteresowałem się mocniej historią Polski, szczególnie czasami wielkiego króla Jana Sobieskiego.

Zrozumiałem, że szykuje się powtórka z rozrywki, czyli ofensywa islamu. Atak na naszą wiarę. Poczułem potrzebę działania, ale też siłę do pociągnięcia za sobą współczesnych spadkobierców idei husarii.

Brakowało tylko struktur, które utrzymałyby ideę w ryzach. Pomyślałem, że mógłbym stworzyć grupę, wspólnotę. Postanowiłem założyć najpierw fanpage.

Poprosiłem Boga o podpowiedź, jak go nazwać. Otworzyłem Biblię i pierwsze słowo, na jakie wpadłem, to „żołnierze". Pomyślałem: dobrze, zostanę Twoim żołnierzem, Ojcze. Pokażę zagubionym chłopakom, co znaczy współczesne męstwo i co znaczy być spadkobiercą husarii. Zorganizowałem – połączoną z mszą o uwolnienie – pielgrzymkę mężczyzn na Jasną Górę. Podczas jednej z nich usłyszeliśmy definicję współczesnego męstwa. Brzmiało to mniej więcej tak:

> *Uprawiacie sztuki walki, stawiacie na siłę fizyczną. A czy na waszych rękach są szramy po walce ze Złym? Czy wypychacie go z waszych sypialni i zapraszacie tam Jezusa? Czy jesteście całe życie wierni jednej kobiecie, tak jak przyrzekaliście przed ołtarzem? Czy ratujecie najsłabszych, bezbronnych braci, dzieci nienarodzone? Czy powstrzymujecie przed aborcją kobiety, dajecie im pomoc i nadzieję na przyszłość? Jeśli nie, zapytajcie samych siebie, czy jesteście mądrymi wojownikami, czy napompowanymi testosteronem pseudomężczyznami.*

W ten sposób Bóg wskazał nam właściwy kierunek obrony. I ataku.

Pomyślałem jednak, że chłopaki muszą dostać coś jeszcze, co pozwoli im – dosłownie – spojrzeć na siebie jak na armię Boga.

Nagraliśmy płytę Żołnierzy Chrystusa.

Religijne pieśni często kojarzą się z obciachem, chcemy to zmienić i nagrać hip-hop w nowym, katolicko-patriotycznym wydaniu!

To jeden z elementów strategii Żołnierzy Chrystusa.

Kolejny to stroje.

Stworzyliśmy linię ubrań z militarną, żołnierską stylistyką i religijnymi hasłami. Wszystko po to, aby wspólnota była bardziej atrakcyjna dla młodych ludzi. Potem powstał różaniec Żołnierzy Chrystusa. Zależało mi, żeby różnił się od tego, na którym polskie babcie, przez wielu pogardzane i nazywane moherowymi, wymodliły dla Polski wolność i łaskę. Żołnierze Chrystusa przejmują od nich modlitwę – niczym pochodnię – ale niosą ją inaczej. W swoim własnym, żołnierskim stylu.

Ale mężczyzna nie staje się ot tak żołnierzem. Musi na to zasłużyć i przejść ślubowanie. Tak było zawsze i tak powinno pozostać. Pierwsza dwudziestka Żołnierzy Chrystusa została zaprzysiężona w ubiegłym roku, w rocznicę Cudu nad Wisłą, czyli 15 sierpnia, w Sanktuarium św. Jana Pawła II w Radzyminie. To była piękna i podniosła uroczystość.

Powtarzaliśmy za księdzem słowa przysięgi:

> *Pragnę walczyć z tym, aby z jednej strony nie ulegać tendencjom tak zwanego Kościoła otwartego, który głosi fałszywe miłosierdzie, potrzebę pogodzenia się ze współczesną kulturą i uznania wszelkiego rodzaju ideologii na froncie walki z duchem tego świata. Pragnę walczyć ze złem, które zostało uznane za coś oczywistego w mojej rodzinie. Pragnę walczyć z błędnymi przekonaniami moich przyjaciół i znajomych. Pragnę walczyć o to, aby nie godzić się, że coś jest normalne tylko dlatego, że za takie zostało uznane w mediach społecznościowych.*

Ksiądz mianował mnie jako pierwszego – szablą husarską – na Żołnierza Chrystusa. Potem ja mianowałem pozostałych, a ksiądz błogosławił

wszystkich relikwią Świętego Stanisława Papczyńskiego, spowiednika Króla Sobieskiego, patrona dzieci nienarodzonych. Następnie nakładał nam różańce na szyję jako symboliczne miecze Żołnierzy Chrystusa do walki ze złem.

Czuliśmy, że jesteśmy coraz bardziej gotowi na walkę z grzechem. Jednak nie w sensie dosłownym, fizycznym, ale duchowym. Właśnie modlitwą różańcową.

Ta bitwa nadeszła kilka tygodni później. Zły zaatakował, kiedy mężczyzna nazywający siebie kobietą zbezcześcił tęczową flagą figurę Chrystusa przed Kościołem Świętego Krzyża.

Figurę, która przetrwała Powstanie Warszawskie, czasy komuny i tak zwanej wolnej Polski.

Stanęliśmy z żołnierzami przed kościołem. Modliliśmy się pokojowo na różańcu. Może inni tego nie słyszeli, ale my w głosach ludzi zbierających się wokół nas – zwolenników LGBT, młodych, których wciągnęła ta ideologia – słyszeliśmy wielokrotnie wycie demoniczne. Byłem przy wielu egzorcyzmach. Znam ten głos.

Narastający chór tych głosów słyszany był potem przed kościołem na Placu Trzech Krzyży. Tam też byli Żołnierze wraz z innymi wspólnotami. Bronili kościoła modlitwą przed nacierającym, wyjącym tłumem biednych ludzi. W większości młodych kobiet.

Uświadomiły mi wtedy te wydarzenia, w jakiej kondycji jest społeczeństwo, młodzież. Jak szybko posuwa się laicyzacja. Z jaką siłą wtargnęła ideologia LGBT do naszej Ojczyzny.

To samo, co dzieje się w Europie, dzieje się już u nas.

Do tego jeszcze pandemia przyspiesza laicyzację.

Dlatego jako Żołnierze Chrystusa musimy grać larum. I własnym przykładem pokazywać, co robić.

Na mnie, jako założycielu, ciąży odpowiedzialność za pozostałych. Dlatego walczę ze Złym, również dając przykład i nieustanne świadectwo.

Codziennie staram się być na mszy. Minimum raz w tygodniu spowiedź.

Pozostali żołnierze dają przykład innym, spoza struktur. Walczą o polskie rodziny, młodzież.

Bronią wartości narodowych, takich jak Bóg, Honor, Ojczyzna. Krzewią ducha męstwa. Pokazują młodym ludziom, w którą stronę iść, gdzie szukać ratunku.

To wszystko nie jest łatwe i często upadam, ale Bóg Ojciec za każdym razem mnie podnosi. Ociera moje łzy i prowadzi za rękę, nie pozwalając mnie skrzywdzić.

Opowieść Jana

Dobrzy ludzie, dziękuję, że mnie wysłuchacie. Nie jestem nikim ważnym. Mam 29 lat, prowadzę razem ze szwagrem firmę elektryczną. Mam żonę, Zuzannę, czwórkę dzieci i mieszkam na wsi w Małopolsce. Przed laty mieszkali tu również moi rodzice, ale przeprowadzili się za chlebem na Śląsk.

Dobrzy ludzie, opowiem Wam, jak umarł mój ojciec, a ja sam – dzięki księżom, którzy mówili do mnie z internetu – narodziłem się jako kochający tata.

Najpierw jednak wyspowiadam się Wam ze swoich grzechów. Byłem pełen pychy. Wydawało mi się, że ojcostwo polega na zarabianiu i kupowaniu. Kiedy żona zaszła w pierwszą ciążę, wyjechałem do Niemiec skręcać domy dla bogaczy. Takie domy – składające się z modułów – skręcaliśmy w trzy tygodnie. Potem zjeżdżaliśmy do kraju. Po drodze, w sklepach bezcłowych po czeskiej stronie, kupowaliśmy samoloty, czekoladki i batony

dla dzieci. Siedzieliśmy w domu przez dwa, trzy dni. Niektórzy – w tym ja – robili kolejne dziecko. Większość jednak kupowała materiały budowlane na własne domy, oglądała działki albo najmowała półdarmo budowlańców z Ukrainy. W tym czasie żony ładowały im do słoików obiady na kolejne tygodnie, a dzieci psuły samoloty, zjadały czekoladki i batony. Obiecywaliśmy, że zwieziemy kolejne prezenty, ale teraz musimy jechać do pracy. I lecieliśmy na służbowego busa. W bezcłówce po czeskiej stronie kupowaliśmy taniej wódkę, otwieraliśmy ją i robiliśmy w busie, aby nazajutrz zacząć kolejną fuchę w Niemczech, Austrii czy Francji.

Dzień w dzień pracowaliśmy po 12 godzin przy skręcaniu domów. Za dnia, na rusztowaniach, nie było czasu na odkręcanie słoików, więc jedliśmy piwo. Około godziny 22.00 docieraliśmy do hotelu, wyjmowaliśmy krajowe, zapeklowane mięso i zagraniczny chleb tostowy z półroczną datą przydatności. No i odkręcaliśmy pół litra z bezcłówki. W niedzielę zawsze gotowałem chłopakom z hotelu rosół. Przypalałem, jak matka, cebulę nad ogniem (dla smaku i koloru) i zastanawiałem się: co ja tu robię? Powinienem być w domu, z żoną, dwoma (a potem trzema) synami. Ale nie byłem, bo ciągle było mi mało i pieniędzy, i wolności.

Zuzka, zostawiona w domu z trójką urwisów, zaczęła mi w końcu truć głowę: „Janek, zmęczona jestem. Chłopaki się mnie nie słuchają. Nie mam na kogo liczyć. No i znów jestem w ciąży”.

Zjechałem na stałe, ale bez przekonania, że dobrze robię. Chłopcy się mnie bali, ale nie dlatego, że byłem dla nich srogi. Nie znali mnie. Kojarzyli mnie z samolotami, czekoladą i pytaniami babć czy dziadków:

– A kochasz ty tatusia?

– Kocham.

– A za co?

– Za to, że przywozi mi słodycze.

Oj, nieswojo mi było, nieswojo. Początkowo nie musiałem pracować, bo kasa była na koncie. Ważyłem – od żarcia po nocy i picia wódki – ponad 100 kilogramów, ale nie czułem się jak panisko. Byłem bardziej jak dziki zwierz. To uczucie zostało mi po robocie przy skręcaniu domów. Bałem się wszystkich oprócz swoich, z ekipy. Byli obcy, mówili w obcym języku. Nie rozumiałem ich. I bałem się. Szczególnie muzułmanów, których nie rozumiałem podwójnie: z powodu mowy i zachowania. Z tego strachu przed Turkami nie kupowaliśmy u nich świeżego chleba, tylko jedliśmy tostowy z półroczną datą przydatności. Jeden drugiego wypychał do piekarni, ale nikt nie wiedział, jak powiedzieć po ichniemu: „Da pani połówkę bochenka, ćwiartkę pan daj tego spieczonego i chałkę”.

Dzikość brała się też z braku słów. Skręcaliśmy domy, milcząc, ale od środka było ssanie na słowa. Najlepiej, żeby mówił ktoś mądry. Najlepiej o Bogu, bo Bóg daje człowiekowi pewność, że skoro go wybrał, nie jest jednak dzikim zwierzem.

Siedziałem w domu, zajmowałem się chłopakami, tęskniłem za mądrym kazaniem, ale nie chodziłem do kościoła. Był za mały, było mi w nim zbyt duszno.

Pewnego dnia wrzuciłem w przeglądarkę internetową hasło: kazanie. W ułamek sekundy wyskoczyło 86 tysięcy filmów. Bogactwo, z którego nie zdawałem sobie sprawy.

Ksiądz Kaczkowski, ksiądz Pawlukiewicz, Glas, Chmielewski. A wszyscy na wyciągnięcie palca, zatrzymanie, przewinięcie do przodu i do tyłu. Do wyboru, do koloru! Jeden krzyczy, drugi uspokaja, dla jednego Bóg jest groźny, dla drugiego dobrotliwy. Człowiek może sobie w tych kapłanach i Bogach przebierać, jakby sam był Bogiem.

Ale taka wiara to jest, dobrzy ludzie, o kant dupy potłuc. Trzeba wybrać sobie jednego kapłana i jednego Boga. Wybrałem księdza Dominika

Chmielewskiego, bo spodobały mi się organizowane przez niego męskie spotkania różańcowe, nazywane spotkaniami Wojowników Maryi. Brakowało mi chłopaków z budowy. Gdyby można było, pomilczałbym znów z nimi, ale oni nadal zarabiali kasę dla żon, dzieci i najemnych robotników z Ukrainy.

Ale, co jest moim kolejnym grzechem, byłem niedowiarkiem. Pojechałem na jedno ze spotkań Wojowników Maryi. Wysłuchałem kazania księdza Chmielewskiego, wyspowiadałem się (poczułem się o 30 kilogramów lżejszy) i, tak jak wszyscy, zawierzyłem swoje życie Maryi.

Wróciłem do domu. Była niedziela po obiedzie. Położyłem się na tapczanie naładować bateryjkę na resztę dnia.

Przed snem pomyślałem: Maryjo, jeśli jesteś, dotknij mnie. Przysnąłem na chwilę, ale obudził mnie harmider. Dzieci piszczą, znad niedalekiego stawu dochodzi zawodzenie teściowej: „Heniuś wpadł do wody, ratujcie, dobrzy ludzie!”. Heniuś to mój najmłodszy, trzyletni. Wybiegłem z domu, pędzę nad staw, ale już szwagierka biegnie w moją stronę z Heniusiem. Siny, mokry, ale oddycha. Wziąłem go na ręce, przytuliłem. Serce trzepotało w nim jak schwytany wróbel. Wymyłem Heniusia ze szlamu, ponosiłem na rękach, a kiedy odzyskał kolory, położyłem spać. Zuzka płakała, że trzeba do szpitala, bo może ma wodę w płucach, ale ja się uparłem.

Nie będziemy dzieciaka męczyć.

Nazajutrz obudził się wesoły jak zawsze. Mimo to pojechaliśmy do szpitala. Lekarz był zdziwiony, kiedy powiedzieliśmy, że był pod wodą. Nie było śladu w płucach. A więc jesteś, powiedziałem w myślach do Maryi.

I zapisałem się na kolejne spotkania Wojowników Maryi: w Krakowie, Nowym Sączu, Katowicach, Dąbrowie Górniczej. Jedna z konferencji prowadzonych przez księdza Chmielewskiego nosiła tytuł „Ojciec i syn”. Słuchało jej dwa tysiące chłopa z różańcami. Kiedy położyliśmy się krzyżem

na posadzce, aż grzmot po kościele poszedł. A potem szloch, bo te dwa tysiące chłopa miało najpierw w myślach, a potem przez telefon albo osobiście powiedzieć swoim ojcom: „Kocham cię, tatuś”.

Mój tatuś, dobrzy ludzie, był zawsze bardzo wymagający. Nigdy nie powiedział, że jest ze mnie dumny. Nigdy mnie nie pochwalił, nawet kiedy zdałem maturę i egzamin zawodowy uprawniający do wykonywania zawodu spawacza.

Dwa dni po zakończeniu konferencji, tak jak kazał ksiądz Chmielewski, zadzwoniłem do tatusia.

– Kocham cię – mówię, a z drugiej strony słuchawki płacz. To mój tatuś płakał, bo sam nigdy czegoś takiego swojemu ojcu nie powiedział. Jego tato też mu nigdy nie powiedział, że go kocha. Pewnie – co akurat zapamiętałem z kazania księdza Dominika – ten brak szedł z pokolenia na pokolenie. Kiedyś mój prapradziadek zapomniał o tym słowie, a dziadek utwierdził się w przekonaniu, że to słowo istnieje dla innych, a nie dla własnego syna. I tak brak tego słowa dotknął również mnie. Do czasu.

– Kocham cię, synek – powiedział mi tato.

Opowiadaliśmy potem o tej rozmowie innym Wojownikom Maryi. Ich rozmowy i historie braku wyglądały podobnie.

Po 10 miesiącach spotkań formacyjnych (osiem regionalnych i pięć ogólnopolskich) zostałem pasowany na Wojownika. Z osobistym mieczem, który – na pamiątkę i dla przypomnienia, że zostałem zaprzysiężony Maryi – ma zawisnąć w domu, był największy problem. Zamówiłem go późno, na Allegro (kosztował 400 złotych i był reklamowany jako miecz królów Polski), i dotarł tuż przed pasowaniem.

Nie potrzebowałem takiej pamiątki, ale potem przeżycie było. Wyobraźcie sobie, dobrzy ludzie: kościół wypełniony po brzegi samymi chłopami, każdy dzierży w dłoni miecz, jakby za moment miał iść na bitwę.

Między nimi kapłani, którzy czytają tekst ślubowania, a potem pasują ich, każdego jego własnym mieczem. Nie powiem, łezka się w oku zakręciła.

A potem wybuchła pandemia i zachorował mój tato. Całe życie ciężko pracował jako górnik. Nigdy nie zabrał mnie na wakacje nad wodę, bo zawsze było coś do roboty: a to budowa domu, a to nadgodziny. Potem dorosłem, nie potrzebowałem go, a on zachorował na nowotwór i serce. Wstawili mu zastawkę, ale i tak się posypał.

Nie wpuścili mnie do taty, do szpitala. Dzwoniłem do niego codziennie. Głos miał coraz słabszy. „Tatuś, zawołaj kapelana, przyjmij Jezusa, weź ostatnie namaszczenie” – prosiłem, ale po drugiej stronie słuchawki słyszałem tylko jego urywany oddech.

Nazajutrz znowu zadzwoniłem.

– Tatuś, co jest?

– Komunię przyjąłem. Kocham was. Oddaję za was swoje cierpienie.

– Z Bogiem, tatuś. Kocham cię.

Ubłagałem lekarza, żeby wpuścił mnie do niego. Chciałem się pożegnać. Leżał sam w sali. Nie mógł już mówić. Patrzył na mnie, a ja nigdy nie widziałem takich ogromnych ludzkich oczu. W nocy Heniuś rzucał się na łóżku. We śnie powiedział: „Dziadek nie żyje”.

Rano zadzwonili ze szpitala, że tatuś umarł.

W przeddzień pogrzebu leżałem krzyżem w naszym kościele. Był luty, podłoga zimna. Żona z synem przynieśli mi czerwony, wełniany dywanik.

Wstałem na chwilę z posadzki, podszedłem do Heniusia, z którym ze wszystkich dzieci byłem najdłużej.

– Kochasz mnie, synek?

– Kocham, tato.

– A dlaczego?

– Bo ty mnie kochasz, tatuś.

---

[7] *broken vessels* (ang.) – rozbite naczynia. Nawiązanie do nowotestamentowego określenia Jezusa jako garncarza, który z rozbitych naczyń skleja nowe (przyp. aut.).

CZĘŚĆ PIĄTA
OJCZYZNA

Słowo ojczyzna pochodzi od rzeczownika ojciec. Pierwotne znaczenie ojczyzny to majątek odziedziczony po ojcu.

Mirosław Bańko, etymologia słowa *ojczyzna*

z Poradni językowej PWN

Kamienice, aferzyści, lokalni mistrzowie statystyk
Amatorzy sportów walki, choć nie zawsze gramy do jednej bramki
To interesują nas zyski, szacunek, a nie cuda-wianki
A w skuteczność policji nie wierzy tu nikt oprócz głuchej sąsiadki
Nie wierzysz, wyjdź sobie na Kalwaryjską, tu chinol i mleczak to jedyne bistro
Widać, co jest nie tak i komu nie wyszło, o winę nie pyta nikt, każdy chce cisnąć
Nie widzę tego jak turysta, bo nie przyjechałem się tutaj pobawić
Chociaż wystroje sklepowych wystaw nie straszą tak bardzo jak kiedyś pustkami
Kamer atrapy mają niby sprawić, że biznes jest wielce kontrolowany
A małolaty i tak napychają fanty w kiermany i długa do bramy
Tu morale z moralnością nie współgra, tego pierwszego jest w chuj na podwórkach
Drugiego ze świecą trzeba poszukać, bo tego nie da się ukraść
Lombard na lewo, handel pół serio, złotnik na prawo, nie plaża w Palermo
Hotspot dla ludzi, którzy mieli prosto, tylko kiedy rozpamiętują przeszłość
Kantor co kilka kroków, nieważne, jaki masz dochód

Nikt tu nie słucha Mezo, choć to świat pełen pokus

Ja jestem u siebie, ja jestem u siebie

Ja tu jestem, to KRK PDG

Ja jestem u siebie, ja jestem u siebie

Ja tu jestem u siebie, jestem u siebie

Kocham i szanuję dzielnicę jak matkę, pamiętam ludzi, którzy dali mi zajawkę

Nigdy nie wiedziałem, że to tak zadziała na mnie, najwyraźniej to naturalne

Przez deskę po keny, panele, do sceny, dziś jestem, gdzie jestem, i nic bym nie zmienił

Życie teksty mi pisze, gdy wychodzę na rewir

Uwielbiam to miejsce jak Wilku Mokotów i to moja przestrzeń, choć ja to nie Doniu

Jak by nie było daleko do domu, aby wrócić zawsze znajdzie się powód

Nie jestem nadęty jak puzon, Stare Podgórze nie „Pensjonat pod Różą”

I nie wiem, kto tutaj sprawuje urząd, ale dziękuję wszystkim moim ludziom

Ja jestem u siebie, ja jestem u siebie

Ja tu jestem u siebie, to KRK PDG

Ja jestem u siebie, ja jestem u siebie

Ja tu jestem u siebie, jestem u siebie

Kobik, *Jestem u siebie*

(ponad 300 tysięcy wyświetleń na YouTubie)

Złoty regał na buty

Na rozmowę o ojczyźnie umawiam się w Gdańsku. Moim rozmówcą będzie Franek urodzony w 1995 roku. Syn Michała „Pistoleta" Wojciechowicza, najmłodszego uczestnika strajku w Stoczni Gdańskiej im. Lenina, który w sierpniu 1980 roku wjechał na teren stoczni żukiem po dach zapakowanym chlebem.

Miał 16 lat. Dostał przydział do strajkowej drukarni. Mógł wjeżdżać i wyjeżdżać, drukować i rozrzucać ulotki o tym, co działo się w stoczni. Pisali o nim w „Le Monde", a on czuł się jak Maciek Chełmicki z *Popiołu i diamentu* Andrzeja Wajdy. Na zdjęciu we francuskiej gazecie przypominał zresztą Zbigniewa Cybulskiego grającego Chełmickiego. Rola – legenda. Film to gorzka opowieść o tych, którym udało się wyjść z kanałów.

Za moment wrócimy pod Stocznię i do Franka, ale najpierw opowiem o innym spotkaniu.

Kilkadziesiąt lat po śmierci legendarnego Zbyszka Cybulskiego spotkałam się z jego żoną. Wspominała, że mąż czuł się odpowiedzialny za kieleckie i rzeszowskie, ale o nią nie potrafił zadbać. Syn, Maciek, go drażnił. Nie wiedział, co z nim robić. Denerwował się, kiedy mały chciał się bawić, a on próbował nową rolę. Nie rozumiał, na czym miałaby polegać rola ojca, te wspólne wakacje i niedziele. Uciekał przed Maćkiem w Polskę. Żona nigdy nie wiedziała, gdzie i z kim jest.

Telefon z wiadomością, że Cybulski wpadł pod pociąg, zmienił niewiele. Teraz definitywnie i już dla wszystkich aktor zlepił się z rolą. Kiedy umarł, jego syn Maciek kończył siedem lat. Matka nie zabrała go na pogrzeb, i dobrze, bo tłum wielbicieli mógłby go stratować. Nigdy nie rozmawiali o Zbyszku, nigdy razem nie poszli na jego grób. Nie było czasu. Mu-

siała zarabiać na dom, bo renta po Zbyszku starczała na drobne wydatki. Pracowała w Spółdzielni Pracy Artystów Plastyków „Wzór” – projektowała sztandary.

Mały Maciek był tak zwanym trudnym dzieckiem. Psycholodzy orzekli, że powinien trafić do szkoły specjalnej z internatem. Oddała go. Maciek miał dziewięć lat.

Wiesław Sokoluk (o którym opowiadałam w rozdziale „Seks”) zaczynał w tym czasie karierę pedagoga w eksperymentalnym oddziale dziecięcym szpitala psychiatrycznego w Garwolinie. Wcześniej, mniej więcej wtedy, kiedy Maciek Cybulski miał siedem lat, zbierał materiały do pracy magisterskiej o polskiej psychiatrii dziecięcej. Wtedy, choć i dziś jest niewiele lepiej, to był obraz nędzy i rozpaczy. W garwolińskim oddziale eksperymentalnym miało być inaczej. Młodzi psychopaci, jak wtedy nazywano chłopaków z rozmaitymi problemami (nie byli chorzy psychicznie), mieli być traktowani w myśl ideałów przywiezionych z USA przez ówczesnego herosa polskiej psychiatrii i szefa Sokoluka, Kazimierza Jankowskiego. Czyli w myśl psychiatrii i psychologii humanistycznej. W praktyce wyglądało to tak, że leki, szkoła i terapia miały być jedynie dodatkiem do relacji terapeuty z pacjentem. Słowem – Sokoluk i inni terapeuci zostali zaprogramowani na dawanie zagubionym chłopakom ojcowskiego ciepła, miłości, zrozumienia. Eksperyment trwał kilka lat i zakończył się konkluzją, że dawanie miłości w warunkach przymusu nie ma sensu. Mimo to kilku chłopaków wyszło po Garwolinie na prostą. Niestety, Maciek Cybulski nie był na oddziale eksperymentalnym. Matka odwiedzała go raz, dwa razy w miesiącu, a kiedy po roku wrócił do domu, zaczął robić, czego od niego oczekiwano. Miał dobre stopnie, dostał się do liceum. Ale potem jakby stracił zasilanie albo nie miał pojęcia, jaką rolę teraz ma odgrywać. Rówieśnicy Maćka wyjeżdżali za granicę, pracowali na przyszłe biznesy, a on, jako cy-

kliniarz-parkieciarz, zarabiał poniżej średniej krajowej. Oni zakładali rodziny, on do swojego chłopięcego pokoju z czarną meblościanką i starym magnetofonem sprowadzał kolejne kobiety. Odrzucał propozycje wywiadów, zaproszenia na imprezy ku czci Zbyszka Cybulskiego, genialnego słowiańskiego Jamesa Deana, czy te z okazji odsłonięcia tablic, nadania imienia albo cyfrowego szlifu wrzucanych do YouTube'a dramatów obyczajowych z lat 60. Role ojca – z wyjątkiem kilku komediowych – mu nie leżały.

Kiedy ziomale zakładali czarne okulary, zielone kurtki wojskowe i buty na traktorach, on farbował, zapuszczał albo golił włosy, przekłuwał uszy. Długo był sam. Wreszcie poznał i sprowadził do domu kolejną kobietę. Już wtedy miał problemy z alkoholem. Pił, krzyczał coś do matki i nowej kobiety, groził. A potem matka została oskarżycielem posiłkowym w sprawie karnej przeciwko niemu. Wystąpiła z wnioskiem o zakaz kontaktu, dozór policyjny i nakaz opuszczenia domu. Zbliżała się do osiemdziesiątki. Nie oceniam jej, z pewnością nie miała już sił na macierzyństwo. Po eksmisji, dożywotnio pozbawiony roli syna, Maciek przeżył rok. Zmarł w jednej z opuszczonych altanek działkowych. O jego śmierci poinformowały – z dużym opóźnieniem – tylko brukowce.

Teraz opowiem o jeszcze jednym spotkaniu. Tym razem z X., mężczyzną współodpowiedzialnym za wprowadzenie do Polski kultu żołnierzy wyklętych. Początkowo zgodził się na opowieść o nieżyjącym ojcu, z którym za jego życia miał słaby kontakt. Po śmierci zaś stał się nie tylko synem wielkiego polskiego patrioty, ale też współtwórcą ścieżek edukacyjnych dla chłopaków urodzonych po 1989 roku. Stopił się z rolą ukochanego i kochającego syna tak mocno, jak Zbyszek z rolą żołnierza podziemia antykomunistycznego. Spotkaliśmy się w budynku TVP przy ulicy Woronicza. Wracał z Łączki. Kiedyś kawałka ziemi poza Cmentarzem Wojskowym na Powązkach, na którym od 1945 do 1956 roku chyłkiem grzebano zabitych

w więzieniu mokotowskim. Ten kawałek ziemi tylko dla nielicznych był cmentarzem. Dla większości spełniał rolę kompostownika i śmietnika. X. przemyślał wszystko i nie chciał rozmawiać o ojcu. W zamian podarował mi kilka opowieści synów wyklętych, nazywanych Wilczętami. Na cześć ojców, którzy walcząc, a potem kryjąc się po lasach, żyli prawem wilka.

Spotykają się kilka razy w roku, w coraz szczuplejszym gronie. Kiedy są razem, czują, że są niczym rozbite gliniane naczynia, którym historia podarowała wytęskniony lepik. Wśród nich jest W., który miał kilka lat, kiedy w latach 50. tatuś wyszedł na spacer z psem. Pies wrócił sam. W. przez całe życie szukał ojca. Kiedyś, stojąc na Łączce, usłyszał, że za jego plecami ktoś szepcze: „Tu jest twój tata”. Odwrócił się, ale nikogo nie było.

Jest też Z., który od dziecka słyszał, że ojciec zniknął z jego życia, bo odszedł do innej kobiety. Był bandytą i kryminalistą. Z. ułożył sobie ten obraz ojca w głowie. Pomogło mu to uporać się najpierw z rozpaczą po jego odejściu, a potem ze złością, że wybrał inną kobietę i być może innego syna. Odkrycie prawdy o ojcu zabitym przez bezpiekę i pochowanym na śmietniku zburzyło to wyobrażenie. Musiał na nowo ułożyć sobie tego ojca bohatera w głowie. A to trudne, kiedy jest się starzejącym mężczyzną. Metrykalnie starszym od własnego ojca, który zginął młodo.

Czasem do stowarzyszenia – duchem, czyli śląc pozdrowienia, albo ciałem, czyli dzieląc się opłatkiem na corocznych wigiliach – wpadają inne Wilczęta. Na przykład dzieci słynnego patrioty o pseudonimie Druh. Jego nazwisko widnieje na polskich rondach, ulicach, szkołach. Córka, która ojca znała niewiele, zrobiła sobie z niego – jak mówi X. – święty obrazek.

Syn czasem w wywiadach opowiada, że ojciec, zanim został zabity w więzieniu mokotowskim strzałem w tył głowy, starał się być obecny w jego życiu. Dawał, co mógł i jak umiał, na przykład kazał mu zdawać meldunki z porannych obowiązków. Dopiero kiedy wyrecytował, że łóżko

pościelone, a on sam przebrany i umyty, mógł zasiąść do śniadania. Wspomina też, jak ojciec uczył go pływać tak zwaną metodą tatarską, czyli znienacka zaskoczonego i przerażonego wrzucał na głęboką wodę.

Albo jak nie zjadł kiedyś owsianki (powiedział, że zjadł, ale upchnął ją do mysiej dziury) i ojciec – jeden raz w życiu – sprał go tak mocno, że aż posikał się z bólu. Pamiątkę po tamtym laniu ma do dziś – bliznę po oparzeniu, pod kolanem. Dlaczego właśnie tam? Ojciec kazał mu potem wysuszyć zasikane spodnie przy otwartym piecu. Stał karnie, dopóki na nim, prawie płonąc, nie wyschły.

Ale też pamięta, że kiedy ze swoją drużyną harcerską pojechał odgruzowywać Warszawę, ojciec obserwował go z ukrycia. Widać tęsknił. Już wtedy ukrywał się przed bezpieką, która jednak go złapała i okrutnie męczyła przed śmiercią. W synu, dziś niespełna dziewięćdziesięcioletnim, wszystko się gotuje, kiedy myśli, że robili z bezbronnym niczym dziecko ojcem, co chcieli. W wywiadach powtarza, że może i miał ojca herosa, ale sam był dzieckiem ulicy. Dlatego bez ogródek mówi o tych, którzy wyrwali ojcu paznokcie i połamali obojczyki: skurwysyny.

X. jest wciąż młodszy od ojca, który zmarł jako stary człowiek. Ma ten przywilej, w odróżnieniu od innych Wilcząt, że pożegnał się z nim przed śmiercią, był na jego pogrzebie, może zadbać o jego grób. O tym, jakim był ojcem, jednak nie opowie. Nie teraz. Może jedynie opowiedzieć, jak ojciec przygotowywał go do roli kustosza narodowej pamięci i od małego woził w miejsce kaźni narodu polskiego. I przy okazji jego własnej rodziny.

A teraz wracamy pod Stocznię. Do żywych, czyli do dwudziestodwuletniego Franka Wojciechowicza, syna najmłodszego uczestnika strajku w Stoczni Gdańskiej im. Lenina.

Zanim opowiem ci o Franku, przedstawię jego ojca, Michała. Długo nie miałam pojęcia, że „za dzieciaka” wjechał do stoczni, rozrzucał ulotki, sie-

dział w więzieniu, a potem wyemigrował na kilka lat do USA, gdzie między innymi pracował jako rybak, kierowca, kelner (kiedy Lech Wałęsa dostał pokojową Nagrodę Nobla, wszyscy chcieli, żeby ich obsługiwał „ten przyjaciel Walesy"). W 1992 roku wrócił do Gdańska, żeby cieszyć się życiem w wolnym kraju. Dla mnie był przede wszystkim autorem pierwszego skandalizującego bloga erotycznego w raczkującej polskiej blogosferze.

Blog nosił nazwę *Życie podziemne mężczyzny* i opowiadał o uwikłaniu w romans, o obsesyjnym seksie i jednocześnie o próbie utrzymania małżeństwa. W blogu oprócz żony Michała pojawiał się syn. Czyli Franek.

Na fali sukcesu Michał przeniósł blog z internetu na papier. Okładka zachęcała do przeczytania zdjęciem nagiej kobiety, zasłaniającej swoje wdzięki gigantyczną (były późne lata 90.) klawiaturą komputerową. Dziennikarze szybko ochrzcili Wojciechowicza naczelnym wiarołomcą polskiego internetu, zapraszali do wywiadów, programów telewizyjnych. Na temat bloga i książki, o których mówiono, że bezceremonialnie pokazują męską seksualność i zagubienie, powstało nawet kilka prac magisterskich.

Od tamtej pory Michał napisał parę innych książek, między innymi ostatnio wydaną *Walkę o brokat* i szykowaną do ekranizacji powieść futurystyczną *Zabić bogatych*. Śledziłam go w social mediach, widziałam w telewizji, gdzie jako aktor naturszczyk wcielał się w różne role w tasiemcach typu *Prawdziwe historie*.

Był nauczycielem zarządzania czasem, trenerem krav magi, współautorem scenariusza filmu fabularnego o Annie Walentynowicz, ale też wielkim Polakiem odznaczanym przez prezydentów Lecha Kaczyńskiego i Andrzeja Dudę.

– Ojcem był obecnym, bo większość biznesów rozkręcał z domu. Kiedyś na spotkaniu rodzinnym jakaś krewna zarzuciła mu, że mógłby zarabiać więcej – opowiada o nim Franek. – Ale tata powiedział, że kasa i podróże

to tylko dodatek do ojcostwa. Najbardziej liczy się kontakt. A my byliśmy w ciągłym, bywało, że burzliwym, kontakcie. Często się spieraliśmy i bardzo to lubiłem. Kiedyś zapytał mnie, czy pójdę na jeden z pierwszych Marszów Niepodległości. Byłem oburzony i powiedziałem, że pójdę, ale tylko na Marsz Równości! Potem przekonywał, żebym zrezygnował z wegetarianizmu. Nie dałem się, a dziś również on odstawia mięso. Chciał mnie nauczyć sztuk walki, ale jestem przeciwny stosowaniu siły fizycznej wobec kogokolwiek. Kiedy powiedziałem, że krav maga nie jest dla mnie, był trochę zawiedziony, ale przestał namawiać. A potem z zainteresowaniem obserwował, jak przekładałem na życie swoje lewicowe poglądy.

Michał najpierw patrzył z boku, jak Franek angażuje się w protest klimatyczny i działa w ramach Greenpeace. Był dumny, kiedy syn razem z grupą młodych ludzi z Europy pojechał na grecką wyspę Lesbos, żeby budować kuchnie polowe dla uchodźców z Iraku, Syrii, Algierii, Pakistanu i Turcji. A potem razem ruszyli w Marszu dla Aleppo, symbolicznej pielgrzymce z wymarzonego miejsca uchodźców, czyli Berlina, do Aleppo w Syrii. Jeden etap tej odwróconej trasy uchodźców przeszli razem, Michał oddzielnie zrobił kilka kolejnych odcinków. Szedł z kolegami w wieku jego syna. Również po to, żeby spojrzeć na świat ich oczami.

– Czy się różnimy? Oczywiście. Jestem bardziej konserwatywny niż tata. Żyję z jedną kobietą od sześciu lat, jestem jej wierny i jest cudownie – mówi mi Franek. – Tata lubi media społecznościowe, ja nie mam konta na FB, korzystam tylko z Twittera, z którego czerpię informacje o świecie. Wchodzę głównie na strony polskich mediów centrolewicowych i „Guardiana”. Ojciec z mamą i moim młodszym rodzeństwem żyją w mieście. Ja przeprowadziłem się na kaszubską wieś do narzeczonej. Wyremontowaliśmy stary budynek gospodarczy, stajnię w gospodarstwie jej rodziców. Ja, narzeczona i nasze trzy psy mieszkamy na 50 metrach ogrzewanych kozą,

urządzonych tak, jak lubimy, czyli również starymi, wyremontowanymi przez nas sprzętami. Mamy pamiętający czasy komuny regał magazynowy. Ewelina go wysprejowała na miedziany kolor, dodała pomalowane w tym samym kolorze płyty. I jest piękny, złoty regał na buty.

– Czujesz się mężczyzną? – pytam.

– Staram się uczyć nowej męskości – odpowiada Franek. – Napatrzyłem się na testosteronowy model mężczyzn twardych i panujących nad emocjami. Nie pasuje mi. To nie moje buty. Mężczyźni testosteronowi coś muszą, zawsze coś są komuś winni i coś powinni udowadniać albo o coś nieustannie walczyć. Ja muszę tylko to, co postanawiam. Na przykład to, że nie będę pił alkoholu. I nie piję. Albo że będę dzielić się z Eweliną obowiązkami domowymi bardziej niż mężczyźni z pokolenia mojego taty. W mojej nowej męskości jest miejsce na czułość, miękkość, ale przede wszystkim na rozmowę z moją partnerką. To są banalne sprawy typu, co dziś robimy. Dobra, ja chcę to, a ty co? Czego dziś potrzebujesz? Albo trzeba coś postanowić, co dotyczy nas dwojga, typu praca czy wyjazd. Dobra, to powiedz, jak ty to widzisz. Ja tak. A ty, jak to widzisz? I dochodzimy do konsensusu. Jesteśmy obok siebie, ale jedno nie stara się górować nad drugim.

– Wiesz, że odpowiedź na pytanie „czego potrzebujesz?” nie dla wszystkich ziomali jest łatwa? Oni są uczeni tego, co powinni, a nie słuchania samych siebie – mówię.

– Wiem i czuję się przedstawicielem grupy uprzywilejowanej, czyli mężczyzn, w których życiu był obecny ojciec – odpowiada Franek. – Miałem się przeciwko komu buntować i mogłem się uczyć na popełnianych przez niego błędach. A to faktycznie przywilej i kapitał nielicznych chłopaków w moim wieku. Większość poznaje ojców wyłącznie jako herosów zastygłych w jednej roli. Albo w ogóle ich nie zna, bo umarli albo wyjechali.

A z herosami nieobecnymi i martwymi się nie dyskutuje. Tylko jak żyć bez buntu? Jak przejść inicjację z chłopca w mężczyznę? Z kim walczyć? Nie ma z kim, więc buntują się przeciwko przedstawicielom swojego pokolenia, którzy choć w jakiś sposób się od nich różnią.

Dzwonię do Michała. Pytam, co zapamiętał z *Popiołu i diamentu*. Odpowiada, że dialog Maćka Chełmickiego z przyjacielem i dowódcą. Maciek mówi:

– Było kiedy tylu fajnych chłopców i dziewcząt, co?

– Co z tego – odpowiada tamten – wszyscy zginęli.

Proszę, żeby do 21 postulatów Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego z sierpnia 1980 roku (23 lata później wpisanych przez UNESCO na listę najbardziej wartościowych dokumentów świata) dopisał własny.

Wysłał mi go w mailu. „Dwudziesty drugi: Jeżeli chcesz być normalny i normalnie żyć, to PIERDOL HISTORIĘ i skup się na matematyce, a jak jesteś humanistą, to na logice. Ale najważniejsze, to pierdol historię!”.

A potem poszedł na spacer ze swoim psem Arbusem.

Don Nachos to też pies.

Równy gość.

ANEKS

Moje pokolenie nosi ślady na nadgarstkach
Albo przez ból, albo pana policjanta
W głowie Trump oraz jakaś naga laska
Trochę kodeiny, trochę sprite'a
Ona jest pogubiona
Jara jointa w samych majtkach
On jest pogubiony co weekend, jak w Ameryce
Nie mam już idoli – nie żyją lub się skurwili
Więc jeśli jestem twoim, zawdzięczam ci moje życie
Pośród mych przyjaciół są przestępcy
I nie cieszy mnie to wcale
Bobym wolał, żeby mieli prace i spełniali pasje
To piętnastolatek jeździ z jebanym towarem
Bo chciał mieć lepsze buty i nie prosić o nie mamę
Posłuchaj, młody, może właśnie ty masz talent
Jebać przemoc, jebać dragi
Może już pora na zmianę?
Jeśli słuchasz moich rzeczy, bo nie wiesz, co robić dalej
To pamiętaj: możesz stracić wszystko, oprócz swoich marzeń!

Bedoes i Lanek, *Doda :**

(prawie 400 tysięcy odsłon w ciągu 24 godzin od debiutu teledysku)

Szybcy i wściekli, czyli skąd się wzięła ta książka

Wywiad z Krzysztofem Pacewiczem, socjologiem, filozofem, publicystą „Gazety Wyborczej”.

Na początek podziękowania. Gdyby nie ty, nie byłoby tej książki. Konkretnie, gdyby nie wymyślone i nadzorowane przez ciebie badania dużej grupy Polaków urodzonych po 1989 roku. Ich wynik mnie zaszokował: okazało się, że kiedy my, ich rodzice czy dziadkowie, ekscytujemy się wojną między PO i PiS, oni toczą swoją batalię. Wojnę płci, w której walkę o związek i seks przegrywają konserwatywni i słabiej wykształceni.

To była niezwykle ciekawa praca. Dostałem od mojego pracodawcy, czyli „Gazety Wyborczej”, wolną rękę i wsparcie Działu Badań i Analiz. Zaprojektowaliśmy badanie, opracowaliśmy pytania, ułożyliśmy próbę badawczą tak, żeby było w niej dużo młodych Polaków. Realizację zleciliśmy firmie Kantar. Wyniki analizowałem potem i publikowałem w „Gazecie Wyborczej”. W dużym skrócie są takie: w pokoleniu Polaków urodzonych po 1989 roku singli jest ponaddwukrotnie więcej niż singielek. Co najmniej jedna czwarta młodych mężczyzn nie ma szansy na znalezienie partnerki, bo są już zajęte – mają o kilka lat starszych mężów lub partnerów. Dlaczego młode kobiety nie wybierają rówieśników? Statystycznie są lepiej wykształcone, mają bardziej liberalne i progresywne poglądy i nie chcą się wiązać z facetami bez studiów, którzy do tego są pełni uprzedzeń. One są tolerancyjne. Oni są bardziej homofobiczni. Świat poszedł do przodu, dziewczyny też, ale chłopcy zostali w poprzedniej epoce.

Podróżowałam po Polsce szlakiem twoich badań. Wojnę płci, przegraną dla młodych mężczyzn, widać najlepiej na Podlasiu. Kobiety wyjechały do Polski centralnej, świetnie radzą sobie w krajach Unii Europejskiej. Zostali samotni mężczyźni, którzy prosili: „Oddajcie nam nasze kobiety!". Opowiadali mi też, jak usiłują wychować sobie partnerki, sięgając po młodsze. Niestety, one też po jakimś czasie wyjeżdżały do miast i wiązały się z innymi.

Jeżeli masz wyższe wykształcenie, dochody i mieszkasz w dużym mieście, to znalezienie dziewczyny będzie bardzo proste. Ale jeśli jesteś młodym facetem bez wykształcenia, dochodów, z konserwatywnymi poglądami na świat i do tego jeszcze mieszkasz na wsi, to możesz sobie darować. Jedyną namiastką relacji i seksu zostaje wtedy internet.

Przekichane.

Totalnie. Naprawdę szkoda mi tych młodych facetów, bo na wielu poziomach i etapach swojego życia doświadczają porzucenia. W domach nie dostają właściwego wzorca męskiego, bo ojciec jest albo nieobecny fizycznie, albo się nimi nie interesuje, albo stosuje przemoc. Trafiają do przepełnionych klas, w których mają być przede wszystkim cicho i nie przeszkadzać. Nauczyciele to głównie kobiety, a ich koleżanki lepiej radzą sobie z czytaniem, pisaniem, kolorowaniem. Od dziecka słyszą, że są słabi w nauce, więc stają się mężczyznami przekonanymi, że edukacja to domena kobiet.

Do tego dochodzą wzorce hollywoodzkie. Chłopcy od dziecka są karmieni kinem z superbohaterami, którzy są pełni niezgody na rzeczywistość i z nią walczą. Fabuła każdego z tych filmów jest podobna: zaczyna się od krzywdy, przechodzi przez niezgodę, kończy walką. Problem w tym, że superman nie wygrywa wrażliwością, ale siłą i przemocą. Okazanie czułości

i słabości to dla niego powód do wstydu, dowód przegranej, prosta droga do upadku. Jest przekonany, że tylko szybki i wściekły zdobędzie kobietę. W tym samym czasie dziewczynki są karmione kinem obyczajowym i romantycznym, w którym jest dużo relacji, rozmów, czułości, słabości, łez. Jak widzisz, wzorce komunikacyjne sprzedawane w mainstreamie są kompletnie inne dla dziewczynek i chłopców. Szybki i wściekły mężczyzna nie nawiąże relacji z kobietą, która oczekuje rozmowy i łez.

Szybcy, wściekli i samotni stają się więc rycerzami Chrystusa, żołnierzami wyklętymi i gladiatorami walczącymi na oczach milionów internautów w Fame MMA…

I często wpadają w sieci nacjonalistów, którzy wyczuwają w nich jakiś brak i usiłują go wypełnić. Zwróć uwagę, jak w mediach ultraprawicowych jest konstruowany obraz Polaka. Tu dumę dostajesz na wejście, za darmo, tylko za sam fakt urodzenia się w tej szerokości geograficznej i w kraju o takiej, a nie innej historii. Do dumy z faktu narodzin dochodzi też duma z powodu koloru skóry i płci. Wystarczająco dużo, żeby zapełnić – przynajmniej na początek – brak relacji nie tylko z kobietą, ale też z własnymi emocjami, smutkiem, lękiem.

A młodzi mężczyźni mają dziś naprawdę wiele, również ekonomicznych, powodów do frustracji.

Dlaczego akurat ta grupa młodych mężczyzn została pominięta przez polityków PiS czy PO? Przecież to cała armia potencjalnych głosujących!

Kolega z jednej z polskich partii politycznych powiedział mi, że każda partia, która stawiała na młodych, przegrywała. Dziś wybory wygrywa się ludźmi po czterdziestce. Młodsi mogą się czymś podekscytować, ale potem nie zrobią tłumów przy urnie. Dlaczego? Może dlatego, że nie wierzą

w skuteczność swoich głosów? Nie wierzą, że cokolwiek od nich zależy i na cokolwiek mają wpływ? Już zapomnieliśmy o gigantycznej skali bezrobocia wśród młodych wchodzących na rynek pracy przed naszym wejściem do Unii Europejskiej. Według badań GUS stopa bezrobocia młodych Polaków (wiek od 15 do 24 lat) w 2003 roku wynosiła prawie 47 procent! Dla porównania, w ubiegłym roku to było niespełna 9 procent. Niepotrzebni na polskim rynku pracy byli głównie młodzi mężczyźni. Ci niepotrzebni mężczyźni wyjechali do Niemiec, Wielkiej Brytanii, Holandii.

Rozmawiałam z nimi na OmeTV, darmowej platformie randkowej. Wracają do kraju, ale mało kto na nich czeka. Nie są też atrakcyjni dla kobiet, bo wracają jeszcze bardziej konserwatywni i głusi na emocje, niż byli wcześniej.

Startowali z gorszej pozycji i wylądowali w gorszej pozycji. Kiedy wyjeżdżali, słyszeli, że są nieudolni, bo nie umieli utrzymać pracy w Polsce. Zapomnieliśmy już, że taki przekaz płynął od liberalnego rządu i mainstreamowych mediów: jeżeli sobie nie radzisz, to wyłącznie twoja wina. Zobacz, twój kolega skończył studia i zarabia 20 tysięcy jako programista, a ty nie potrafisz nawet utrzymać pracy w warsztacie samochodowym. Państwo się, delikatnie mówiąc, na tych młodych chłopaków wypięło. Wyjechali więc do roboty za granicę, ale tam też nie było lepiej, bo przecież nie byli obywatelami pierwszej kategorii. Z kolei ci, którzy zostali – mówimy cały czas o tej jednej czwartej pokolenia mężczyzn urodzonych po 1989 roku – poszukiwali swojej tożsamości i męskiej dumy na stadionach…

I słyszeli, że są dziczą stadionową.

Nie wiem, czy pamiętasz, jak PO wprowadziła możliwość sądów dwudziestoczterogodzinnych specjalnie po to, żeby móc z pominięciem wszystkich procedur wsadzać tych młodych chłopaków do więzienia? Wszyscy im

przyklaskiwali. Wyśmiewanie, piętnowanie i kary to nie jest dobry sposób na wychowanie społeczeństwa obywatelskiego.

Ale kobiety z tego pokolenia właśnie wychodzą na ulice, walczą o swoje prawa. Nie dają się zastraszyć. Byłam na kilku demonstracjach z udziałem młodych nacjonalistów i feministek. Po jednej stronie ulicy stali młodzi mężczyźni skandujący hasła typu „Chłopak i dziewczyna normalna rodzina". Z drugiej strony stały młode kobiety z tęczowymi flagami krzyczące „Moja macica, moja sprawa". Pomiędzy nimi gruby kordon policji. Jedni nie słyszą drugich.

I nie mają szansy na realne spotkanie, bo dziewczyny z jednej strony ulicy z pewnością nie umówiłyby się na randkę z chłopakami z drugiej. Dlatego w krzyku młodych facetów jest wiele frustracji seksualnej. Oglądają pornografię, ale albo nie mają partnerek, albo nie mają ich tyle, ile by chcieli. Frustruje ich, że – jak wynikało z opisywanych badań – młode Polki nie są zbytnio skłonne do seksu zabawowego czy przygodnego. A jeśli na taki się umawiają, to przecież nie z nimi, wygłodniałymi, smutnymi chłopakami bez wykształcenia. Tymczasem kobiety, które stoją po drugiej stronie barykady, zwyczajnie się ich boją. A kiedy się kogoś boisz, to za tym idą kolejne emocje, niechęć, dystans, chęć podkreślenia różnic i tak dalej.

Dobrze, że kobiety masowo wychodzą na ulice, że walczą z patriarchatem. Nie sugeruję, żeby zmieniały styl czy język tej walki, obecny wydaje mi się bardzo adekwatny. Dobrze byłoby, gdyby poza tym młode Polki rozmawiały ze swoimi gorzej wykształconymi rówieśnikami. Nie w warunkach pikiety, ale pokojowo. Podobnie jak Sylwia Chutnik, która mówi często w wywiadach, że jeździ po Polsce i tłumaczy kolejnym grupkom mężczyzn na spotkaniach autorskich, czym jest feminizm. I nie ma co zniechę-

cać się prześmiewczo-ironicznym tonem pytających. Grunt, że pytają. To już dużo.

Może przydałaby się też jakaś akcja społeczna o tym, że jakkolwiek to dziwnie zabrzmi, młodzi mężczyźni są dziś w Polsce emocjonalnie dyskryminowani.

Ale mężczyźni są w Polsce emocjonalnie dyskryminowani, to fakt! Niedbałość o ich uczucia zaczyna się już w szkole podstawowej. Jest duża szansa, że jeśli ktoś uderzy dziewczynkę, to jej rodzice zgłoszą się do wychowawczyni. Tymczasem bicie chłopca to norma i lepiej, żeby się nie skarżył, bo znów dostanie. A potem to już z górki. Czyli kolejne pokolenie chłopaków zamyka się na własne potrzeby i emocje, bo nikt nie daje im do nich prawa. Najlepiej, gdyby choć w szczątkowej formie zajęła się tym szkoła. Nie trzeba odkrywać Ameryki, wystarczy dać w jakiś sposób chłopakom prawo do słabości i szukania pomocy. Niestety, nie wydaje mi się, żeby obecny rząd miał w tym jakiś interes. Wystarczy przyjrzeć się, w jaki sposób manifestują swoją męskość politycy z partii rządzącej. To model prymitywny, w którym jest przedkładana rywalizacja nad kooperację, a podczas walki z wrogiem politycznym nie bierze się jeńców. Ten rząd jest zresztą odpowiedzialny za wprowadzenie kolejnego – obok płynących do nich z mediów modeli hollywoodzkich – wzorca męskiego. Czyli żołnierzy wyklętych, którzy nie dość, że nie okazywali emocji, to jeszcze poświęcali swoje dzieci i kobiety w imię obrony ojczyzny. Byli samotni, w ciągłej walce i nieustannym zagrożeniu. W rządowym panteonie bohaterów nie ma miejsca na słabość, wrażliwość, przestrzeń do dialogu.

Nie mamy innych wzorców męstwa?

Mamy, ale są tym chłopakom klasowo niedostępne. Wymagają większego poziomu samoświadomości, edukacji. I kasy. Jednym z takich wzor-

ców jest metroseksualny facet, mąż i ojciec, który jeździ z kolegami na przykład na kitesurfing, ale też dużo czasu spędza ze swoimi dziećmi. Jest też mężczyzna stateczny, acz wrażliwy, który utrzymuje żonę i dzieci, ale jest daleki od modelu patriarchalnej głowy rodziny. Jest również inny, najbliższy mi model mężczyzny, który postrzega swoją męskość jako problem do przezwyciężenia. Oducza się agresji i dominacji w sytuacjach społecznych, odchodzi od przeświadczenia, że wie lepiej i niezależnie od sytuacji postawi na swoim, uczy się słuchania kobiet. Wchodzi z nimi w relację równorzędną, a nie opartą na dominacji. Niestety, mężczyzna feministyczny jest całkowicie niedostępny dla tej najgorzej wykształconej jednej czwartej męskiej populacji, o której rozmawiamy. Odebranie wiary w nadprzyrodzoną moc męskości i polskości pozostawiłoby tych chłopaków z niczym. Ale może ty masz jakiś trop, jakiś współczesny wzorzec męstwa, który byłby dla nich dostępny?

Przejrzałam Netflix i seriale na HBO i nic nie znalazłam. Większość filmów współczesnych kręci się wokół kobiet. Biały, heteroseksualny, przeciętny mężczyzna pojawia się tam jako dodatek, rzadko główna postać. Często głównym bohaterem jest gej, który świetnie dogaduje się z kobietami. Nawet w telewizji publicznej, co akurat zarzucają jej działacze nacjonalistyczni, jest serial, w którym występuje para gejów.

To akurat dobre wzorce, ale dla współczesnych młodych mężczyzn kompletnie nieprzyswajalne. Nie chcę, żeby to zabrzmiało niepoważnie, ale mam pomysł na serial zrobiony w dobrej sprawie. To byłby serial o mężczyźnie, który osiąga sukces dzięki wrażliwości. Jest wrażliwszy niż jego koledzy. Jest na przykład terapeutą, pedagogiem szkolnym, pracownikiem socjalnym. Nie ma szczególnie rozbudowanych mięśni, ogromnych pieniędzy, ale posiada niezwykły dar empatii, umie rozmawiać i słuchać. I ta jego

wrażliwość sprawia, że jest niezwykle atrakcyjny seksualnie dla kobiet. Wymyśliłem sobie, że ten film – cynicznie dość zaprojektowany, mam nadzieję, że kobiety mi to wybaczą – byłby feministycznym praniem mózgu dla facetów, programowaniem ich na większą wrażliwość wobec innych i jednocześnie samoświadomość.

Również w seksie.

Prowadzimy teraz z filozofką Aleksandrą Hirszfeld, seksuolożką Alicją Długołęcką, filozofem Remigiuszem Ryzińskim i dramaturgiem Marcinem Cecką badania nad fantazjami erotycznymi mężczyzn. Problem polega na tym, że młodzi mężczyźni nie rozmawiają ze sobą o seksie, nie czytają o nim, nie oglądają filmów, które traktują seksualność głębiej. Zamknięci w bańce porno nie mają pojęcia o swoich potrzebach, lękach, zahamowaniach. Mam nadzieję, że dzięki temu projektowi rozpoczniemy dyskusję o seksualności młodych mężczyzn. I o tym, czy uda jej się spotkać z seksualnością kobiecą. Nie w internecie, ale w realnym życiu.

Spis treści:

Karta tytułowa
Wstęp
Część pierwsza. Dom
Prorodzinni, patostreamerzy i juhasy z Londynu
Sylwek „Silver Fox”
Opowieść Sylwka „Silver Foxa”
Mirek z Tindera
Opowieść Mirka z Tindera
Krzyś z Grindra
Opowieść Krzysia
Część druga. Idole
Selfie z Wojtkiem Golą
Amadeusz „NoLove Ferrari” Roślik
Opowieść Amadeusza „NoLove Ferrari” Roślika
Paweł „Pablo Tybori” Tyburski
Opowieść Pawła „Pablo Tybori” Tyburskiego
Kasjusz „Don Kasjo” Życiński
Opowieść Kasjusza „Don Kasja” Życińskiego
Część trzecia. Seks
Wirtualna potęga seksu
Staszek i Paweł
Notatki Pawła Komara o swoich pacjentach
Historia R.
Historia Sz.
Opowieść Stanisława Pilewskiego
Część czwarta. Bóg

Mesjasz z Instagramu
Dotyk Boga
Świadectwo Pawła Jaworskiego, Żołnierza Chrystusa
Opowieść Jana
Część piąta. Ojczyzna
Złoty regał na buty
Aneks
Szybcy i wściekli, czyli skąd się wzięła ta książka
Karta redakcyjna

Elżbieta Turlej

*F*ck, fame & game. Co faceci robią w sieci*

Warszawa 2022

Copyright © by Elżbieta Turlej, 2022

Copyright © for this edition by Wydawnictwo Krytyki Politycznej, 2022

Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-67075-52-7

Redakcja: Sylwia Mieczkowska

Korekta: Beata Kozieł

Opieka redakcyjna: Jaś Kapela

Zdjęcia na okładce: Kohei Hara / Stone / Getty Image

oraz Grzegorz Skowronek / Agencja Wyborcza.pl

Zdjęcie autorki: Jakub Szafrański

Projekt graficzny: Marcin Hernas | tessera.org.pl

Wydawnictwo Krytyki Politycznej

ul. Jasna 10, lok. 3

00-013 Warszawa

redakcja@krytykapolityczna.pl

www.krytykapolityczna.pl

Książki Wydawnictwa Krytyki Politycznej dostępne są w redakcji Krytyki Politycznej (ul. Jasna 10, lok. 3, Warszawa), Świetlicy KP w Trójmieście (Nowe Ogrody 35, Gdańsk), Świetlicy KP w Cieszynie (al. Jana Łyska 3)

oraz księgarni internetowej KP (wydawnictwo.krytykapolityczna.pl), a także w dobrych księgarniach na terenie całej Polski.

Na zlecenie Woblink

woblink.com

plik przygotowała Katarzyna Rek